Tusk vs Nawrocki • Nasze śledztwo: pośmiertne reanimacje • Kto zabił Papałę
Kulisy pracy kurierów • Smolar: Trump nie jest idiotą • Agresja psychoterapeutów

POLITYKA.PL

POLITYKA

NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

USA 5 USD; WIELKA BRYTANIA 4 GBP; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO TYGODNIK, nr 43 (3587), 21.10–27.10.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



DZIKI PROBLEM

Raport s. 10

ISSN 0032-3500
9 770032 350602 43
Wydanie w sprzedaży do 27.10.2026

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f2420985f2

PODRÓŻE I REJSY

15 LAT

PODRÓŻ Z REJSEM

– I PILOTEM SPECJALISTĄ –

CHINY

• Rejs po Jangcy 5★ •
• Hotele 5★ •
• Wylot z Warszawy •



zeskanuj kod i sprawdź

terminy i ceny

15 DNI / 13 NOCY

ZWIEDZANIE & REJS PO JANGCY

Ilość miejsc ograniczona. Oferta ważna do 15 listopada 2026 roku lub wyczerpania miejsc.

Cena zawiera: polskiego pilota, loty, napiwki, opłaty portowe, ubezpieczenie*, pełne wyżywienie, wstępy i wycieczki**, składki UFG i TFP

WIZYTY: PEKIN - SZANGHAJ - YICHANG - RZEKA JANGCY (TAMA TRZECH PRZEŁOMÓW) - CHONGQING - XI'AN - LUOYANG (GROTY DZIESIĘCIU TYSIĘCY BUDDÓW) - KLASZTOR SZAOLIN

zeskanuj kod i wysłuchaj wideopodcastu

WIĘCEJ INFORMACJI:

Telefonicznie: prosimy o podanie kodu: POLITYKA2607

12 345 26 29

Przez internet: podrozeirejsy.pl/chiny

* Statek i hotele w standardzie 5 gwiazdkowym norm lokalnych.
** ŚWIAT KL 65 000 EUR / NNW 15 000 PLN / BP 2 000 PLN (w tym choroby przewlekłe zgodnie z OWU Bezpieczne Podróże zat. Uchwałą Nr 42/Z/2021)
*** Wycieczki według programu zawarte w cenie podstawowej rejsu. Reklamodawcą jest Travelinc Sp.z o.o z siedzibą w Krakowie, ul. Głowackiego 4/11 Kraków, zarejestrowaną przez Sąd Rejonowy dla m. Krakowa, XI Wydział Gospodarczy Krajowego Rejestru Sądowego pod numerem KRS 0000400124, wpis do Rejestru Organizatorów Turystyki i PUNPUT nr Z/38/2013. Zabezpieczenie finansowe SIGNAL IDUNA Polska. Oferta na wyłączność Podróże i Rejsy.

Kod: POLITYKA2607

POLITYKA

w numerze 43 21.10–27.10.2026



© ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

36
Co zżera kuriera?

Temat tygodnia

10 Zbigniew Borek
Dzik w polskim mieście

Polityka

14 Michał Danielewski
Nawrocki na ringu z Tuskiem
18 Michał Piedziuk, Joanna Sawicka
Coraz bardziej skłócona lewica
21 Anna Dąbrowska **Marcin Horała: Rozwój Plus czy osobisty?**

Społeczeństwo

24 Zbigniew Borek
Spiskowa teoria reanimacji
27 Psycholożka **Justyna Żukowska-Gołębiewska** o dzieciach rozwodników
30 Kto zabił gen. Papałę? – ekspolicjant **Marek Siewert** nie ma wątpliwości
33 Agnieszka Gierczak-Cywińska
Menopauza za młodu

Rynek

36 Rozmowa z **Katarzyną Dudą**, autorką książki „Uberyzacja. O warunkach pracy kurierów"
40 Adam Grzeszak **Nasza cicha rewolucja energetyczna**

Świat

50 **Eugeniusz Smolar** o silnych mocarstwach i słabych sojuszach
54 Artur Domosławski BRAZYLIA
Bolsonaro junior idzie po władzę
57 Łukasz Wójcik GRECJA **Upadek bałkańskiej namiestniczki Trumpa**
60 Leon Pińczak ROSJA
Drony bombardują boty

Nauka/projekt pulsar.pl

63 Prof. **Przemysław Bąbel** o prawdziwych i fałszywych psychoterapiach

Esej

66 Jakub Halcewicz
Na 80. urodziny Adama Michnika

Historia

69 Krzysztof Persak
Jak Gomułka kłócił się z Chruszczowem

Kultura

76 Piotr Sarzyński
Powrót Cepelii
80 Pisarz i wydawca **Zygmunt Miłoszewski** o patologiach rynku książki
83 Raper **Szczyl** opowiada, jak z nudów nagrał płytę
86 Dorota Szwarcman
„Matki Chersonia" – opera-dokument czasu wojny

26 NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

90 Katarzyna Czarnecka
Laureaci 26. edycji naszego konkursu stypendialnego

Ludzie i style

96 Bartek Kaftan, Julia Zabrodzka
Ukryty skarb Niemiec
97 MEA PULPA
Kuby Wojewódzkiego

Stałe rubryki

- **4** Przypisy
- **6** Ludzie i wydarzenia
- **72** Afisz
- **92** Chutnik i Plebanek
- **93** Orliński
- **94** Mizerski
- **95** Do i od redakcji
- **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl f2420985f2



Wszem wobec

Bartek Chaciński

Część Polaków kocha i szanuje język polski tylko wtedy, kiedy dobrze służy on ich interesom. Bo język językiem, ale sprawiedliwość – trawestując dialog z komedii – musi być po naszej stronie. W połowie października wicemarszałek Sejmu Marcin Horała wydał więc internetowe oświadczenie, które miało formę i powagę orędzia do Polaków. Grzmiał w nim, że w parlamencie miały miejsce działania bezprawne. „Żeby zostać sędzią [Trybunału Konstytucyjnego], trzeba złożyć ślubowanie w obecności prezydenta Rzeczpospolitej" – mówił polityk, kiedyś Prawa i Sprawiedliwości, dziś Rozwoju Plus, bliski obozowi prezydenckiemu. Sprawny medialnie i marketingowo, jak go opisujemy w tym wydaniu POLITYKI (s. 21), choć nieżyczliwi tę postawę skwitowaliby hasłem „cwana gapa".

Dlaczego? Otóż wicemarszałek zastępuje wyrażeniem „w obecności" przyimek „wobec", który jest użyty w ustawie o statusie sędziów TK. Ustawę tę przyjął Sejm za rządów PiS, głosami PiS, w tym samego Horały, który odbywał właśnie swoją pierwszą kadencję w polskim parlamencie, jednak dziś – gdy sędzia TK Maciej Berek złożył ślubowanie wobec prezydenta, ale w obecności marszałka Sejmu – w ramach mądrości etapu zapis ustawy zapomniał.

Prezydent Karol Nawrocki kolejne zamieszanie wokół TK opisał jako cyrk. Byłby to w takim razie pierwszy przypadek cyrku, w którym znaczącą rolę odgrywa Godzilla. Nazywany w ten sposób prezes TK Bogdan Święczkowski miał naruszyć nietykalność osobistą sędziego Berka, który z kolei poprosił o zabezpieczenie nagrań z monitoringu. Pożytek z tego mamy wyłącznie semantyczny: swoją kontaktową grą (poprzez zablokowanie drogi) prezes zademonstrował ten szczególny przypadek, kiedy jakiś gest wykonujemy zarazem wobec kogoś, jak i w jego obecności.

Zoo staje się tymczasem zwykłym elementem naszej rzeczywistości. Dokładniej rzecz biorąc: dziki. Jeszcze dziesięć lat temu młodzież mianem „dzika" określała kogoś szalonego, zdolnego do brawury, kozaka. W 2026 r. doszliśmy do momentu, gdy Witnicę (w Lubuskiem) dziki, te dosłownie rozumiane, ryją po całości, w Warszawie nikogo już nie dziwią – to wszystko według doniesień mieszkańców w tekście Zbigniewa Borka (s. 10). Problem jest międzynarodowy. Władze Marsylii podjęły np. specjalny program ograniczający uciążliwość tych zwierząt wobec mieszkańców. Nie przewidziały za to niedawnego wtargnięcia mieszkańców do ratusza podczas wyjątkowo uciążliwych ogólnofrancuskich demonstracji.

W Warszawie w ciągu ostatnich trzech lat trzyipółkrotnie wzrosła liczba kolizji z udziałem dzików. I to akurat ten rodzaj zagrożenia, na które odpowiedzią mógłby być latający samochód Tesli, który tak zelektryzował w ostatnich dniach opinię publiczną. Był to jednak przypadek testowy i niewdrożony do normalnego ruchu. W Polsce za to spotykany już w praktyce za sprawą wypadających z rond na dużej prędkości kierowców na tzw. podwójnym gazie. Kilka takich aut, m.in. pozornie zwyczajne Suzuki Swift pod Łodzią, zarejestrowały w locie kamery monitoringu.

Wróćmy jednak na ziemię. I do paradoksów związanych z „wobec" i „w obecności". W świecie, w którym coraz więcej robimy na odległość i bez kontaktu, łatwo o tym rozróżnieniu zapomnieć. Rozmowę z Katarzyną Dudą (s. 36) w tym wydaniu poświęcamy kurierom rowerowym, samotnym wobec bezdusznej aplikacji i spychanym w społeczną izolację przez klientów, którzy życzą sobie obsługi, ale już nie ich obecności.

Prezydent Nawrocki rozróżnienie powinien rozumieć lepiej. W szczególności historyczny kontekst słów „wszem wobec i każdemu z osobna", które nie nakazują, by ogłoszenia, o których powinni się dowiedzieć wszyscy, przekazywać w obecności tych wszystkich osób. W głośnym – dosłownie i w przenośni – przemówieniu z 15 sierpnia prezydent mówił: „Dla mnie (...) to także dzień zobowiązania nie tylko wobec przeszłości, wobec historii, wobec pamięci", mimo że ani historia, ani pamięć nie stały tego dnia w tłumie podczas warszawskiej defilady. Karol Nawrocki wygłaszał te słowa, owszem, wobec historii i przeszłości, ale w obecności co najwyżej widzów.

Ostatnie wypowiedzi naszego prezydenta wpisują się, niestety, w grę na zwiększanie polaryzacji. W jednej tylko rozmowie z Polsat News Karol Nawrocki wypomniał Donaldowi Tuskowi, że „ściskał się z Putinem" (ponad 16 lat temu, przyjmując kondolencje po katastrofie smoleńskiej), a zarazem zadeklarował dialog z partią Grzegorza Brauna. Jest więc bezwzględny wobec polityka, który twardo przeciwstawia się rosyjskiej agresji na Ukrainę, ale przyjazny wobec człowieka, który w obecności polityków AfD opowiedział się ostatnio za uruchomieniem na nowo gazociągu Nord Stream, realizując de facto rosyjską agendę.

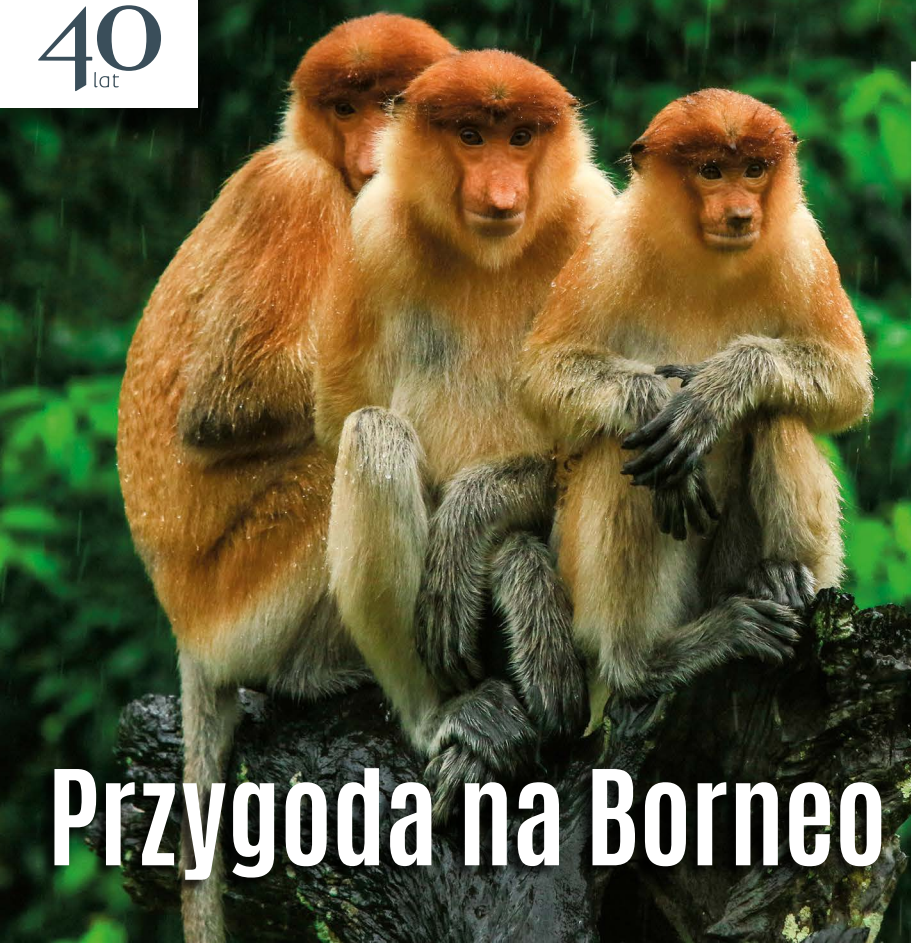
Nie pomaga po raz kolejny Donald Trump. Zdaniem Eugeniusza Smolara (rozmowa na s. 50) amerykański prezydent „jest kretynem, ale nie idiotą". Ekspert Centrum Stosunków Międzynarodowych zakładał jednak, że Trump będzie mógł Putina postraszyć nowymi, uchwalonymi przez Kongres sankcjami. Nie przewidział, że zanim jeszcze ten numer trafi do druku, prezydent USA sankcje zamrozi specjalnym rozporządzeniem.

Swoją odwagę amerykański prezydent postanowił tymczasem pokazać w inny sposób: publikując w sieci film wygenerowany przez AI, w którym to on (a nie anonimowy mężczyzna, bohater dość przerażającego wirala, który swój wyczyn przypłacił życiem) wchodzi na wybieg brytyjskiego zoo i poskramia gołymi rękami biegającego tam tygrysa. Prezydent atomowego supermocarstwa myśli, że pozuje na niezłego dzika, w rzeczywistości robiąc z siebie raczej osła. Wszem wobec.

eprasa.pl f2420985f2

Albatros travel

Albatros 40 lat



NOWOŚĆ



Przygoda na Borneo

Odkryj Borneo – krainę tropikalnych lasów deszczowych, orangutanów, nosaczy oraz niezwykłych safari na rzece Kinabatangan. Zamieszkamy w hotelu położonym pośród natury w środku dżungli, a podczas podróży odwiedzimy oba malezyjskie regiony Borneo: Sarawak i Sabah, a także Kuala Lumpur i historyczną Malakkę w Malezji.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Malezji i historyczna Malakka. **Dz. 3** Malakka – życie nad rzeką, kolonialna historia i urokliwe uliczki. **Dz. 4** Lot Kuala Lumpur – Kuching, Borneo. **Dz. 5** Kuching, kolonialna atmosfera i rejs po rzece Santubong. **Dz. 6** Park Narodowy Bako – nosacze i las deszczowy nad Morzem Południowochińskim. **Dz. 7** Przelot Kuching – Kota Kinabalu i Park Narodowy Kinabalu. **Dz. 8** Góra Kinabalu – Sepilok i okolice Sandakanu. **Dz. 9** Sepilok, orangutany, malajskie niedźwiedzie i spacer w koronach drzew lasu deszczowego. **Dz. 10** Sepilok – rzeka Kinabatangan i lodge w dżungli. **Dz. 11** Rzeka Kinabatangan. Safari rzeczne i wieczorny spacer po lesie deszczowym. **Dz. 12** Rzeka Kinabatangan – jaskinia Gomantong – Kuala Lumpur. **Dz. 13** Kuala Lumpur – wielkomiejskie życie, kolonialna historia i Petronas Towers. **Dz. 14** Czas wolny do wylotu. **Dz. 15** Powrót do kraju.

15 dni | Wyloty z Warszawy 29/05, 06/10 2027

od **17.998,-**



Nowy Rok w Rzymie

Powitaj Nowy Rok w wiecznym mieście – Rzymie. Poznaj jego największe atrakcje i daj się uwieść niepowtarzalnemu urokowi tego wspaniałego miasta.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot z Warszawy do Rzymu. **Dz. 2** Zwiedzanie Rzymu pieszo z przewodnikiem. Ołtarz Pokoju, Schody Hiszpańskie, Fontanna Barcaccia i Fontanna di Trevi oraz Panteon, czas wolny i kolacja w hotelu. **Dz. 3** Wycieczka do Castelli Romani, w programie wizyta w Castel Gandolfo i Frascati z lekkim obiadem (dodatkowo płatna). Wieczorem kolacja Sylwestrowa. **Dz. 4** Dzień wolny w Rzymie. Możliwość odwiedzenia Bazyliki św. Piotra lub podziwianie noworocznych skoków do Tybru z Ponte Cavour. **Dz. 5** Spacer po Watykanie z przewodnikiem. Wylot z Rzymu do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od **5.798,-**



Zagadki Peru i Chile

Odkryj jedne z najbardziej tajemniczych miejsc na Ziemi – opuszczone miasto Inków, Machu Picchu oraz Wyspa Wielkanocna z jej milczącymi posągami.

Przygodę rozpoczniemy w Peru, odkrywając Limę, Cuzco, Świętą Dolinę i tajemnicze Machu Picchu. Następnie odwiedzimy Santiago de Chile oraz Wyspę Wielkanocną, gdzie niemal 900 monumentalnych posągów moai strzeże sekretów dawnej cywilizacji.



14 dni | Wylot z Warszawy 22/02 2027 | od **30.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL40**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl f2420985f2

PiS pod Trybunałem



Po zaprzysiężeniu w Sejmie Macieja Berka jako nowego sędziego Trybunału Konstytucyjnego Prawo i Sprawiedliwość wezwało do wielkiej manifestacji przed TK w obronie „jednej z dwóch ostatnich niezależnych instytucji" w Polsce. Wyposażony w opinię Komisji Weneckiej Berek złożył przysięgę wobec prezydenta, ale bez obecności prezydenta, Karol Nawrocki nie uznaje bowiem jego wyboru, kwestionując doświadczenie Berka w roli radcy prawnego. W każdym razie takie jest oficjalne uzasadnienie, a nieoficjalnie wiadomo, że chodzi o uniemożliwienie zdobycia większości w Trybunale przez sędziów wybranych w trakcie obecnej kadencji Sejmu. Mamy więc do czynienia z konfliktem politycznym przebranym w szaty sporu prawnego.

Przy okazji partia Jarosława Kaczyńskiego próbuje wykorzystać sytuację wokół TK do wzmocnienia opowieści o „dyktaturze Tuska", która w służbie Brukseli i Berlina zawłaszcza kolejne niezależne instytucje. Budowa tego mitu idzie jednak dość opornie. Zwołana przez PiS „wielka manifestacja" pod Trybunałem w rzeczywistości była niewielka, gromadząc w Warszawie ok. 4 tys. osób. Atmosfera również nie była zbyt rewolucyjna, a **przemówienie Kaczyńskiego** przypominało do złudzenia jego występy podczas kolejnych miesięcznic smoleńskich.

Prezes PiS ogłosił więc, że mamy do czynienia z wszechogarniającym „wielkim kłamstwem" obecnej władzy, która wybory wygrała przez pomyłkę, z pomocą zagranicznych wspólników infekując opinię publiczną czarną wizją rządów PiS. Usłyszeliśmy też, że za wszystkim stoją Niemcy wydający polecenia Tuskowi, a skutkiem przejęcia TK ma być „narzucenie tego, co nas prowadzi do biedy i nędzy", czyli wprowadzenie w Polsce euro.

Pod Trybunałem wystąpił też prezydencki minister Paweł Szefernaker, zapewniając, że Karol Nawrocki będzie „stał na straży konstytucji", oraz szef Solidarności Piotr Duda, który ogłosił, że jego związek dołącza do obrony TK, choć nie wiadomo do końca, co miałoby to w praktyce oznaczać.

Wydaje się też, że na razie Jarosław Kaczyński bardziej niż na obaleniu „reżimu Tuska" koncentruje się na dyscyplinowaniu konkurencji po prawej stronie sceny politycznej. Przy okazji manifestacji padły więc słowa o potrzebie jedności i zjednoczeniu prawicy w obliczu „zamachu na demokrację". Jednocześnie przyboczni prezesa – ostatnio Patryk Jaki – wskazują na „zdrajców" w postaci obozu Mateusza Morawieckiego. Można się spodziewać, że presja na byłego premiera będzie rosła, Kaczyński z powodzeniem stosował już tę taktykę lata temu wobec Zbigniewa Ziobry i jego Solidarnej Polski. Morawiecki na razie trzyma się twardo, ale kiepskie sondaże mogą wkrótce osłabić jego determinację.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Droga Morawieckiego



Trzy miesiące po rozłamie w PiS Mateusz Morawiecki urządził w warszawskim Teatrze Palladium konwencję Rozwoju Plus. Odbyła się ta impreza w momencie dla Rozwoju Plus trudnym. Efekt świeżości minął, sondaże Morawieckiego nie rozpieszczają (ok. 5 proc.).

Sala pełna, działacze machali flagami i skandowali „Mateusz, Mateusz", gościnią specjalną była wywodząca się z Razem posłanka niezrzeszona Paulina Matysiak, przemówił prezydent Kalisza Krystian Kinastowski. Morawiecki przedstawił kilka pomysłów: opodatkowanie banków, przejęcie przez budżet kosztów ubezpieczeń społecznych dla pracowników do 26. roku życia, zmiany w prawie spółdzielczym. Przede wszystkim była to jednak okazja, by określić swoje miejsce na scenie.

Morawiecki nie rzucił wyzwania Jarosławowi Kaczyńskiemu, praktycznie nie krytykował byłej partii. Można by rzec: zaakceptował swoją niszowość. Rozwój Plus aspiruje do roli koalicjanta, mitygującego „antyeuropejskość PiS i Konfederacji" i wnoszącego do tego układu elementy eksperckości i umiarkowania – tak swoją ekipę próbuje opakować Morawiecki.

Rozwój Plus bije w Donalda Tuska (działacze obejrzeli film o tym, jak premier łamie obietnice, rujnuje finanse i niweczy dorobek Morawieckiego). To gra na sentymencie do rządów PiS, bo z sondaży wynika, że Polacy oceniają je lepiej niż czasy Tuska. Ale to także próba uodpornienia stowarzyszenia na zarzuty ze strony PiS, który nazywa Rozwój Plus „koncesjonowaną opozycją".

Rozwój Plus chce być zaporą nie tylko przed Tuskiem, lecz także przed Koroną Grzegorza Brauna; Morawiecki nazwał ją „siłą prorosyjską" i oskarżył o działania sprzeczne z racją stanu. Co nie przeszkodzi zapewne temu samemu Rozwojowi Plus współtworzyć z tą samą Koroną paktu senackiego prawicy.

Morawiecki kieruje ofertę głównie do ludzi rozczarowanych PiS oraz do byłych zwolenników Trzeciej Drogi; były premier nazwał wręcz swoje ugrupowanie „autentyczną Trzecią Drogą" i narzekał na polaryzację, z której przez ostatnią dekadę korzystał jako polityk PiS.

Z tej „autentyczności" Rozwoju Plus w roli Trzeciej Drogi można się śmiać, ale ta figura retoryczna była Morawieckiemu potrzebna także po to, by przypomnieć, że Tusk na finiszu kampanii w 2023 r. zachęcał do taktycznego głosowania na sojusz Szymona Hołowni i PSL, by nie potknął się na progu wyborczym. I o takiej deklaracji Kaczyńskiego marzy dziś Rozwój Plus.

Bieda w tym, że na razie Nowogrodzka ma całkiem inne plany, w których miejsca na Rozwój Plus nie uwzględnia. Kampania może tę logikę zmienić na korzyść Morawieckiego, ale najpierw musi do tej kampanii dotrwać. I to w niezłym sondażowym zdrowiu, tak by Kaczyński był zmuszony ujrzeć w nim koalicjanta. WBS

O Rozwoju Plus czytaj też na s. 21.

© MARYSIA ZAWADA/REPORTER, PAP/PAWEŁ SUPERNAK, WU ZHIZUN/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

eprasa.pl f2420985f2

Wspólna lista



Karolina Lewicka

Dziennikarka Radia TOK FM, wykładowczyni Collegium Civitas, politolożka

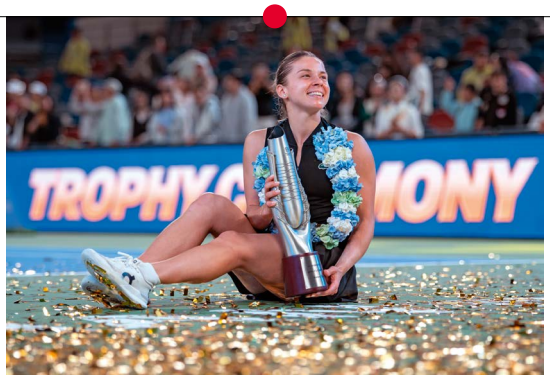
Będąca modnym tematem w kampanii przed wyborami w 2023 r. jedna lista właśnie powróciła na agendę. Jej wielkim zwolennikiem jest Donald Tusk i – jak słyszę od jednego z jego bliskich współpracowników – premier jest przekonany, że tym razem powstanie, bo to jedyna droga do utrzymania władzy przez koalicję 15 października. Rozmowy z PSL są zaawansowane, bo ludowcy, choć oficjalnie wciąż bajają o samodzielnym starcie „w koalicji z samorządowcami, rzemieślnikami", to za zamkniętymi drzwiami uczciwie oceniają swoje możliwości (istnieją pojedyncze sondaże, w których zbliżają się do progu wyborczego). Na horyzoncie nie widać też nikogo, z kim PSL mógłby połączyć siły, jak choćby trzy i pół roku temu, kiedy też szykowano się na wspólny z KO start, ale ostatecznie sprzymierzono się z Szymonem Hołownią, co dla Tuska było sporym i nieprzyjemnym zaskoczeniem. Trzecia Droga odniosła wówczas sukces, ale dziś nie ma jej z czego złożyć. Na pokład zostanie też wzięta Unia Centrum oraz Polska 2050, choć nie cała formacja, istniejąca pozornie, bo to środowisko dawno temu uległo atomizacji, ale konkretni posłowie, którzy dzięki swojej osobistej popularności w regionie mogą jesienią 2027 r. przynieść w wianie głosy wyborców.

Negocjacje są bardziej skomplikowane w przypadku Nowej Lewicy, która według sondaży sama wchodzi do Sejmu. Najbardziej pożądanym scenariuszem byłyby wspólny start z Razem, jako drugi, obok centroprawicowego, blok demokratów, ale na takie wyborcze porozumienie utracono już nadzieję. Stąd od kilku tygodni ludzie Czarzastego ostro atakują formację Zandberga, zarzucając jej i lenistwo, i niepraktyczne pięknoduchostwo. Wspólna z KO i ludowcami lista szczególnego entuzjazmu nie budzi. Niektórzy twierdzą, że będzie to równoznaczne z wyprowadzeniem przez marszałka Sejmu sztandaru Nowej Lewicy. Sceptycy wskazują też na przypadek Barbary Nowackiej; jest jednak subtelna różnica między Inicjatywą Polska, która była bytem pozornym, a Nową Lewicą, która stoi wprawdzie nie na szczególnie mocnych, ale własnych nogach. Niechętni przypominają też wspólny start ówczesnej opozycji do PE w 2019 r., wówczas do sojuszu nie dołączyła Wiosna Roberta Biedronia, czym osłabiła jego siłę, a sama ledwo przekroczyła próg.

Teraz rolę Wiosny będzie odgrywać Razem, jedyna nieprawicowa partia opozycyjna, trudno bowiem zakładać, że będzie chciała pójść na wybory wspólnie z nieustannie krytykowanym przezeń Tuskiem. Politycy KO uważają jednak, że świetne relacje Czarzastego i premiera oraz pełna kontrola marszałka nad swoją partią pozwolą bez większych problemów dopiąć porozumienie. Komitet miałby być zresztą koalicyjny, nie byłby to start mniejszych partnerów z list KO, o nazwie tegoż jeszcze nie rozmawiano. Podobnie jak i o tym, jaka to opowieść miałaby towarzyszyć jednej liście.

Ostatecznie decyzje mają zostać podjęte i ogłoszone wczesną wiosną przyszłego roku, kiedy też aktualne sondaże będą pokazywały, kto na czym stoi oraz – co dość istotne – w jakim stanie rozdrobnienia lub konsolidacji wybierze się na Wiejską prawa strona sceny politycznej. To, co obecnie zajmuje głowy szeregowych posłów, to ich indywidualne szanse na mandat w swoim okręgu z takiej wspólnej listy. To bardzo ludzkie lęki, które liderzy będą musieli przezwyciężać.

Maja urośnie do maja



Maja Chwalińska w październiku skończyła 25 lat i właśnie zdobyła swój pierwszy tytuł WTA (turnieje rangi niższej niż WTA 250 nie są ujmowane w statystyce). Sukces jest niepodważalny: turniej w Wuhanie jest tysięcznikiem, więcej punktów dają tylko Wielkie Szlemy. Dla Chwalińskiej to ogromny zastrzyk finansowy (665 tys. dol.) i punktowy. Do turnieju w Chinach przystępowała jako 22. zawodniczka na świecie, od poniedziałku jest 11. Iga Świątek jest dziewiąta.

Dwóch Polek w pierwszej jedenastce rankingu WTA nie było jeszcze nigdy, nie mieliśmy też w historii dyscypliny dwóch Polek w półfinale turnieju tej rangi. Na tym etapie przecięły się w Wuhanie ścieżki Świątek i Chwalińskiej. W sobotę ta bardziej utytułowana musiała uznać wyższość mniej doświadczonej Mai. Kontuzjowana Świątek dograła mecz – jak się sądzi – z szacunku dla rywalki, ale przez długi czas walczyły jak równa z równą. W niedzielnym finale Chwalińska zmierzyła się z Sonay Kartal. Ranking przeciwniczki (170. WTA) nie oddaje skali trudności, Brytyjka wróciła do gry po półrocznej przerwie, jest bojowo nastawiona, wyrzuciła z turnieju m.in. Elinę Switolinę i Jelenę Ostapenko. W pierwszym secie finałowej rozgrywki Polka nie miała wiele do powiedzenia, ale przy stanie 0:2 w partii drugiej zawodniczki nieomal zamieniły się rolami. Chwalińska zwyciężyła na pełnym dystansie (2:6, 6:4, 6:2) i podniosła puchar. Co ciekawe, Wuhan Open to jeden z zaledwie dwóch (na 10) tysięczników, których nie wygrała dotąd Iga Świątek.

Chwalińska rozgrywa najlepszy sezon w karierze. Długo na to czekała – są z Igą równolatkami. Po sensacyjnym występie w wielkoszlemowym Rolandzie Garrosie we Francji część ekspertów i kibiców nie wróżyła jednak Mai świetlanej przyszłości. Gra z polotem, kombinacyjnie, ale nie ma warunków, by uderzać z pełną mocą, tak jak dziś to robi większość tenisistek z czołówki. Pojawiały się głosy, że Paryż był przypadkiem, jednorazowym wyskokiem, i jeśli Chwalińska jeszcze coś ugra, to najwyżej na mączce. Maja zagrała sceptykom na nosie, na twardych kortach też jest sprytna i przewidująca. Jak to ujął w podkaście Breaking Point trener i komentator Dawid Celt: dzięki nieustępliwości Maja każdej rywalce potrafi obrzydzić tenis. Przed Wuhanem dotarła do półfinału w Singapurze. Jako debiutantka w światowej czołówce aż do kolejnej edycji Rolanda Garrosa w maju nie ma wielu punktów do stracenia, a dużo do zyskania. Awans do pierwszej dziesiątki rankingu w niedalekiej przyszłości jest więc zupełnie prawdopodobny. AŻ

eprasa.pl f2420985f2

Chory kraj?



W całej Francji manifestowało w sobotę 550 tys. osób. Do demonstrantów, głównie licealistów – domagających się poprawy warunków nauki i życia w ogóle – dołączają inne grupy niezadowolonych, w tym nawet żółte kamizelki, który urosły w siłę jesienią 2018 r., protestując przeciw cenom paliw. A na obrzeżach spokojnych manifestacji atakowały zakamuflowane bojówki, rozbijając witryny sklepów, przewracając zaparkowane samochody i podpalając, co się da. Bilans: sytuacja, która w wielu miejscach wymknęła się spod kontroli, tysiące aktów miejskiego wandalizmu – symbolem tego barbarzyństwa stało się **spalenie ratusza w Limoges**, 1,5 tys. splądrowanych sklepów, 2 tys. zatrzymanych osób, 200 rannych policjantów. Prezydent Emmanuel Macron w wystąpieniu telewizyjnym powiedział pod adresem sprawców zniszczeń: „Co oni mają w głowie? Jak Francuzi mogą czynić to własnemu krajowi?". Zapowiedział jeszcze większą stanowczość wobec wandali.

Sytuacja jest bardzo poważna, gdyż przemoc jest również rezultatem obecnego systemu politycznego zdominowanego przez dwie skrajne partie: Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen i Francji Niepokornej Jeana-Luca Mélenchona. Pierwsza sprzyja brutalnemu tłumieniu wystąpień, druga je podsyca. Jednak żadna z nich nie ma pomysłu na to, skąd zdobyć ogromne fundusze na remonty szkół i rozgęszczenie klas. Nie mówiąc już o pozyskiwaniu tańszego paliwa do samochodów.

Ekonomiści alarmują w sprawie narastającego zadłużenia Francji, w której za pół roku odbędą się wybory prezydenckie. Kryzys polityczny i atmosfera powszechnego buntu – czy wręcz powstania – zatrują zapowiedzianą jeszcze w tym miesiącu debatę budżetową. Wydaje się, że oba skrajne ugrupowania, prąc do zwycięstwa w przyszłorocznych wyborach, kierują się zasadą: „Najpierw rozwalmy dzisiejszą władzę prezydenta Macrona, a potem się zobaczy".

Francuski kryzys wykorzystują propagandowo zarówno trumpowy ruch MAGA, Władimir Putin, jak i skrajna prawica europejska. Identycznie – i tak samo fałszywie – przedstawiają go jako skutek napływu imigrantów i przejaw schyłku Zachodu. Putin od dawna mówi o wyższości moralnej Rosji na tle chaosu, jaki rzekomo ogarnia całą Europę. A amerykański wiceprezydent J.D. Vance zamieścił wpis niby to współczujący: „Modlę się za Francję" – i ostrzegł Amerykanów, że jeśli zagłosują na Demokratów w wyborach połówkowych, to Ameryce zagrozi taka sama sytuacja. Każdy dziś gra Francją swoją grę.

MAREK OSTROWSKI

Dylemat Alberty



Zostać w Kanadzie czy iść na swoje? Przed takim wyborem stanęli obywatele Alberty, najbogatszej kanadyjskiej prowincji. W poniedziałek 19 października wzięli udział w **referendum**, które mogłoby zapalić zielone światło do przeprowadzenia kolejnego, już wiążącego referendum niepodległościowego oraz do hipotetycznego wykrojenia państwa z niespełna 5 mln mieszkańców, o powierzchni ponad dwóch Polsk i bez dostępu do morza. Choć wyniki spłynęły po zamknięciu tego numeru POLITYKI, to sondaże wskazywały, że ok. 70 proc. uprawnionych opowiadało się za pozostaniem w dotychczasowych granicach.

Alberta od zawsze pielęgnuje poczucie krzywdy. Jako miejscowy odpowiednik Teksasu, stojący ropą, rolnictwem i konserwatywnymi wartościami, jest przekonana, że stołeczna Ottawa ją okrada, a dochody odbiera wydumanymi podatkami i coraz bardziej skrupulatnymi przepisami środowiskowymi. Na takim podglebiu łatwo kiełkują separatystyczne namiętności. Latami trwały w głębokim ukryciu, jednak ostatnio – na tej samej fali, na której rośnie globalny populizm – zostały rozruszane. Ich objawem była petycja upominająca się o referendum. Nie zgodził się na nie miejscowy sąd. Uznał, że ewentualne nowe granice międzynarodowe uderzą w prawa rdzennych mieszkańców.

I tu pojawiła się premierka Alberty, która pytanie o uruchomienie procesu rozwodowego dopisała do dziewięciu punktów referendum zaplanowanego już wcześniej, dotyczącego głównie spraw imigracyjnych. Przed wejściem do polityki 55-letnia Danielle Smith robiła karierę skrajnie konserwatywnej i antyszczepionkowej dziennikarki. Próbując obłaskawić zwolenników separatyzmu, stanęła w niewygodnej dla siebie pozycji po obu stronach barykady, gdyż sama opowiada się za utrzymaniem kanadyjskiego kursu.

Na rzecz secesji angażował się Elon Musk, najbogatszy człowiek świata, mający oprócz obywatelstwa południowoafrykańskiego i amerykańskiego także kanadyjski paszport. Musk wzywa do odłączenia jeszcze dwie prowincje – Saskatchewan i Quebec, który w 1980 i 1995 r. głosował w sprawie swojej suwerenności. W drugim przypadku różnica była niewielka, zwolennikom niepodległości zabrakło ledwie 54 tys. głosów. Albertę przed pochopnymi decyzjami przestrzegał wychowany tam premier całej Kanady Mark Carney: „To referendum – powiedzmy sobie jasno – odbywa się w najgorszym możliwym momencie". O próbę rozbicia jedności kraju oskarża Donalda Trumpa, który obwinia Kanadę o szereg niewdzięczności, karze ją cłami i sugeruje, że powinna stać się 51. stanem USA. Jednak w Albercie nawet zwolennicy separacji za nim nie przepadają. JW

© ELISE CABANE/HANS LUCAS AGENCY/FORUM, RON PALMER/ZUMA PRESS/FORUM, X.COM/FAWOLLO13, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl f2420985f2

Znak towarowy Meloni



Premierka Włoch Giorgia Meloni wystąpiła do Urzędu Unii Europejskiej ds. Własności Intelektualnej (EUIPO) z formalnym wnioskiem o prawną ochronę swego głosu jako znaku towarowego. Zdeponowała w tym celu czterosekundowe nagranie, w którym dwukrotnie przedstawia się własnym nazwiskiem. Prawnicy są podzieleni co do szans powodzenia całego przedsięwzięcia. Sceptycy wskazują na jego bezprzedmiotowość, ponieważ w przypadku Meloni chodzi ewidentnie nie o działalność komercyjną, lecz polityczną. Zwolennicy widzą w tym zaś nowatorski pomysł na sprawną i skuteczną obronę przed podszywaniem się propagatorów skrajnych treści pod celebrytów (ścieżka przetarta już w Stanach Zjednoczonych, m.in. przez piosenkarkę Taylor Swift) w perspektywie dalszej ekspansji rewolucji AI. Może się okazać, że Włochy – po raz kolejny w najnowszej historii – zapowiadają w ten sposób trend, który wkrótce podchwyci reszta zmagającej się z dezinformacją Europy.

Wniosek Meloni można tłumaczyć jak najgorszymi doświadczeniami osobistymi z manipulacją jej słowem i wizerunkiem za pomocą coraz bardziej wymyślnych **deepfake'ów**. Gdy idąc po władzę w 2019 r., uczyniła swój sztandarowy slogan z wiecowego okrzyku: „Jestem Giorgia, jestem kobietą, jestem matką, jestem Włoszką, jestem chrześcijanką", internet przetworzył go natychmiast na taneczny remiks, który stał się wiralem, także w młodzieżowych klubach. Większym upokorzeniem musiało być rozpowszechnianie w kolejnych latach w sieci roznegliżowanych zdjęć czy wprost pornograficznych filmów z wmontowaną twarzą urzędującej już pani premier. Meloni nie tylko wystąpiła wówczas na drogę sądową, ale też zwracała uwagę na szkodliwość społeczną podobnych manipulacji: „Ja mogę się bronić, wielu innych – nie".

Ostatecznie rządowa większość uchwaliła rok temu skierowane przeciwko twórcom deepfake'ów sankcje wpisane do kodeksu karnego. Mimo to niedawno ultraprawicowy generał Roberto Vannacci obsadził panią premier samowolnie w roli rzymskiej imperatorki w filmiku, w którym wzywał do egzekucji liderów. Gorzkiej ironii całej sprawie nadaje fakt, że Meloni, niegdysiejsza suwerenistka, prosi o pomoc unijnych biurokratów, bo to z jednej strony pierwsza kobieta na urzędzie premiera Włoch, ale z drugiej – liderka skrajnej prawicy, oskarżana o postfaszystowską nostalgię i agresywny populizm. I to ona występuje teraz w obronie prawdy i uczciwości wyborów.

PIOTR PODEMSKI

Kto zatrzyma Huti

Nie był to dobry tydzień dla koalicji zwalczającej jemeńskich rebeliantów. Huti najpierw uderzyli na **lotnisko w Rijadzie** – trzy pociski przebiły się przez system obrony, zabijając w jednym z terminali 13 osób. Atak zbiegł się z dużą konferencją o przyszłości ropy naftowej zorganizowaną przez Saudyjczyków, którzy chcieli pokazać, że nadal są stabilnym i bezpiecznym państwem. W ostatni piątek Huti uderzyli na pałac prezydencki w Adenie, czyli siedzibę oficjalnych władz Jemenu. Najważniejszych polityków nie było na miejscu, ale straty prestiżowe rządu wspieranego przez Arabię Saudyjską są znaczące. W niedzielę zaś pociski Huti spadły na Nadżran, duże saudyjskie miasto niedaleko Jemenu. Tego samego dnia Saudyjczycy przyznali się, że w ostatniej chwili zestrzelili wystrzelony przez Huti pocisk zmierzający w kierunku kluczowego terminalu naftowego Janbu nad Morzem Czerwonym.

Wojna wznowiona na początku września między szyicką organizacją Huti z gór północno-zachodniego Jemenu a oficjalnym rządem tego państwa wspieranym przez Saudyjczyków nie zakończy się rychłym sukcesem tych drugich. I niewielkie znaczenie ma tu ogromna przewaga militarna i finansowa obozu „anty-Huti". Przypomnijmy, że obowiązujące od 2022 r. zawieszenie broni załamało się, gdy w lipcu Huti próbowali odblokować lotnisko w kontrolowanej przez siebie Sanie – przy próbie lądowania samolotu z Iranu zostało ono zbombardowane przez Saudyjczyków. W odpowiedzi 9 września ruszyła ofensywa, w trakcie której Huti zajęli całe zachodnie wybrzeże Jemenu z miastem Mokka, aż po brzeg cieśniny Bab al-Mandab, łączącej Morze Czerwone i Ocean Indyjski. Cieśnina ta stała się kluczowa dla eksportu saudyjskiej ropy po zablokowaniu przez Iran cieśniny Ormuz. A teraz jest zamknięta dla saudyjskich towarów.

Z początkiem października ruszyła kontrofensywa jemeńskiego rządu i Saudyjczyków, ale Huti zatrzymali ją przy minimalnych stratach własnych. Jednocześnie zaczęli oblężenie trzeciego co do wielkości miasta Jemenu, Taiz – jego upadek otworzy im drogę do Adenu. Nasilili też ostrzał Arabii Saudyjskiej, państwa o jednym z najwyższych budżetów wojskowych na świecie, które jednak nie radzi sobie z obroną przed robionymi w chałupniczy sposób pociskami. Rebelianci odrzucili też najnowszą saudyjską propozycję rozmów w Omanie. Do pomocy Saudyjczykom nie palą się amerykańscy sojusznicy, a strony tzw. paktu mekkańskiego, czyli Turcja i Pakistan, wsparli Arabię głównie słowami. Rijad się obawia, że jeśli rząd w Adenie upadnie, to w następnym ruchu Huti wraz z sojusznikami z Iranu spróbują obalić rządy rodziny Saudów. ŁW



eprasa.pl/12420985f2



Miasto dzików

Dziki przeprowadziły się do polskich miast i już się nie wyniosą. Najpierw było zabawnie, ale coraz częściej jest również strasznie. Czy miejsce dzików jest w klatce, czy pod naszą klatką, no i jak się z nimi oswoić?

ZBIGNIEW BOREK

Na początku września cztery dorosłe i ósemka maluchów wtargnęły do przedszkola Bajka w Witnicy. Konserwator Jerzy Walczak siedział w swojej kanciapie, gdy usłyszał odgłos racic, a chwilę później krzyki kucharek. – *Dobrze, że nie było jeszcze naszych ludzkich dzieci* – mówi Elżbieta Kudelska. Jako pomoc przedszkolna z innymi kobietami pomagała Jurkowi, gdy dzika rodzina wkroczyła na plac zabaw: one hałasowały z jednego krańca, on uchylił furtkę przy drugim i nawigowali je za płot. – *Jeden samiec był tak potężny, że jak w panice przywalił w ogrodzenie, musiałem prostować metalowe słupki* – mówi pan Jerzy.

Dziki idą zebrą

Widok watahy przecinającej osiedlowe uliczki, ryjącej trawniki pod blokami czy spacerującej wzdłuż miejskich promenad, przestał być osobliwością. Zwierzęta wpisały się w tkankę polskich miast w wyniku procesu „synantropizacji i synurbanizacji", czyli przystosowania do środowiska przekształconego przez człowieka. Populacja dzików w obwodach leśnych i rolnych w ciągu ostatniej dekady spadła (według GUS) z 265 tys. do 60 tys. sztuk – głównie w wyniku odstrzału w walce z afrykańskim pomorem świń (ASF). W miastach trend jest odwrotny: liczba zwierząt gwałtownie rośnie. Stały się pełnoskalowym wyzwaniem z zakresu bezpieczeństwa, gospodarki komunalnej i ochrony środowiska.

– *Witnicę ryją po całości* – mówi Agnieszka Piwkowska, mieszkanka tego 6-tysięcznego miasteczka w Lubuskiem. Pokazuje wybebeszony klomb przy reprezentacyjnym pałacu ślubów. Po drugiej stronie ul. Sikorskiego dziki przeorały trawnik. Przy Pocztowej też – wzdłuż barierek przy jezdni i na podwórku, gdzie nie ostał się nawet kawałek nienaruszonej zieleni. Wszystko w centrum miejscowości, jednej nocy w połowie października.

Mieszkańców najbardziej chyba jednak oburzyło to, że dziki nie uszanowały świętości i defekowały pod kościołem. – *To ponoć były dziki katolickie, ale na święcenie zwierząt nie przyszły* – żartuje proboszcz Paweł Terzyk. Generalnie nie jest mu do śmiechu. Podobnie jak władzy świeckiej. – *Na początku pokazywały się w pobliżu ogrodów działkowych, teraz są wszędzie. W zeszłym roku mieliśmy od mieszkańców 12 zgłoszeń, a w tym roku tylko do końca września już 86* – wylicza burmistrzyni Agnieszka Chudziak. Najchętniej zleciłaby wyłapanie i wywózkę do lasu, ale na przeszkodzie stoi ASF. Wysoce zjadliwy wirus, który namnaża się głównie w komórkach układu odpornościowego (dla ludzi nie jest groźny), zagraża hodowlom świń, a restrykcje obejmują zakaz transportu zwierząt. – *Mamy związane ręce* – kwituje Chudziak.

Witnica próbowała hukinolu, silnego środka odstraszającego zwierzynę zapachem. Nasączone nim szmatki rozwieszano

eprasa.pl f2420985f2



Aleja Piłsudskiego w Olsztynie

© ROBERT ROBASZEWSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

na płotach, skraplano rejony, w których pokazywały się dziki, ale szybko przywykły. Nie pomogły hukery, czyli sznury hukowe, na których w równych odstępach umieszczone są specjalne petardy, zwykle 12 sztuk na jednym. Rozwiesza się je na drzewie lub palu i podpala jeden koniec. Sznur tli się przez kilka godzin, co kwadrans lub dwa żar dociera do kolejnej petardy i ją detonuje. – *Trudno uwierzyć, ale i to nie działa, a nawet jeśli, to na krótko, bo dziki wracają. Mieszkańcy się boją, dlatego z ciężkim sercem zdecydowaliśmy się na odstrzał* – mówi burmistrzyni. Oberwała za to od lokalnych miłośników przyrody, ale w tym roku odstrzelono 25 sztuk i gmina złożyła wniosek o 35 kolejnych. Decyzję podejmuje starostwo, szczegółowo weryfikując wniosek, zadanie wykonują myśliwi. Wywabiają dziki do nęciska 500 m od zabudowań i tam zabijają.

Po ostateczne rozwiązanie sięgnęła też Warszawa: w latach 2022–26 uśmiercono tu niemal 1,9 tys. dzików (1326 w wyniku odłowu z uśmierceniem i 550 w wyniku odstrzału redukcyjnego). W 2024 r. zredukowano 466 sztuk, w 2025 r. – 465 sztuk, a tylko w pierwszych ośmiu miesiącach 2026 r. – już 426 dzików. Pod koniec września radni sejmiku mazowieckiego zezwolili na odławianie z uśmiercaniem bez limitu. Obrońcy zwierząt protestują, władze stolicy wskazują, że inaczej nie da się zwalczyć zagrożenia. W 2024 r. Lasy Miejskie (jednostka budżetowa stolicy) odnotowały 59 ataków na ludzi, rok później 121, a do końca sierpnia tego roku już 182. Zgłoszenia pochodzą od mieszkańców, nie zawsze są weryfikowane, a dzik bywa odbierany jako agresywny, nawet jeśli nikogo nie atakuje. Kilka osób odniosło jednak ciężkie obrażenia.

W maju 2025 r. przy ul. Łysogórskiej na Gocławku locha z młodymi zaatakowała 22-latkę spacerującą z psem. Zwierzę powaliło ją na ziemię i pogryzło. Z ranami oraz stłuczeniami głowy i barku trafiła do szpitala. W kwietniu 2026 r. dzik zaatakował mężczyznę przy Forcie Bema, raniąc go głęboko w łydkę, pacjent trafił do szpitala. W lipcu przy ul. Jabłecznej w Wawrze dzik ugryzł mieszkańca wynoszącego odpady do śmietnika. Inny w połowie września wbiegł w 36-letnią kobietę spacerującą z psem przy ul. Klaudyny na Bielanach. Efekt: złamanie kości biodrowej z przemieszczeniem. W sierpniu 2026 r. na Sadybie za Fortem Czerniakowskim rodzina dzików ruszyła w pogoń za pieszą i jej psem. W październiku 2025 r., na ul. Okrężnej i Powsińskiej, też na Sadybie, nagrano watahę liczącą ponad 40 osobników.

– *Dziki na Sadybie już nikogo nie dziwią. Całymi rodzinami spacerują po chodnikach, słychać, jak chrząkają* – mówi dziewczyna pracująca w kawiarni Zegarmistrzowskiej przy ul. Okrężnej. Z jej okien regularnie można obserwować rodzinę z pokaźnym odyńcem. Dziki widywane są też między willową zabudową i wśród szeregowców. Wokół jest mnóstwo zieleni, ale nawet tam, gdzie wyrosły bloki deweloperskie, czują się jak u siebie.

Zimą mieszkańcy ul. Aluzyjnej na warszawskim Tarchominie skarżyli się, że zadomowiło się u nich stado liczące kilkanaście sztuk. Niszczyły altany i pojemniki śmietnikowe, ludzie bali się wychodzić z domów. – *Nie podchodzimy do dzików za blisko, mijamy się grzecznie* – mówi Mariola Cipiur. Zamieszkała tam trzy dekady temu, gdy w okolicy był niemal sam las i to ludzie wprowadzali się do niego, a nie dziki do Tarchomina. Spotyka je codziennie, gdy wychodzi na spacer z psami w okolice Wału Wiślanego czy ul. Mehoffera, a jadąc samochodem, musi się nieraz zatrzymać, żeby przepuścić te, które przechodzą zebrą, jakby znały przepisy. Na drogach też jednak stanowią zagrożenie. Liczba kolizji samochodów z dzikami wzrosła w Warszawie z 95 w 2022 r. do 341 w 2025 r. oraz 302 do końca sierpnia tego roku. 7 września wtargnęły na Południową Obwodnicę Warszawy, doprowadzając do karambolu z udziałem pięciu samochodów.

Szarża na stołówce

Najbardziej jaskrawym przykładem kryzysu pozostaje stolica, gdzie według różnych szacunków żyje od 5 do 7 tys. dzików, a liczba zgłoszeń od mieszkańców rośnie skokowo. 2020 r. – 432 zgłoszenia, 2021 r. – 707, 2022 r. – 2497, 2023 r. – 4713, 2024 r. – 5128, 2025 r. – 8804 zgłoszenia. I uwaga: w tym roku tylko do sierpnia liczba zgłoszeń przekroczyła 18 tys.! Najbardziej obciążone są dzielnice: Białołęka (3658 zgłoszeń), Wawer (3047), Bielany (1646) i Mokotów (1147). Zwierzęta wkraczają jednak głęboko do centrum – na Żoliborz (503 zgłoszenia), Wolę (478), do Śródmieścia (198) i na Ochotę (184).

Skąd się biorą w miastach? W opinii ekspertów składa się na to kilka kluczowych czynników. Po pierwsze, chaotyczna urbanizacja, czyli wkraczanie zabudowy na tereny leśne, polne i podmokłe, bez uwzględniania naturalnych ostoi i korytarzy migracyjnych zwierząt. Po drugie, miasto to dla zwierzyny darmowe i łatwo dostępne stołówki, bo tak trzeba nazwać otwarte wiaty śmietnikowe i kontenery (zwłaszcza z bioodpadami), oraz celowe dokarmianie przez ludzi. Po trzecie, ucieczka przed polowaniami (tzw. efekt ASF). Według dr. hab. Michała Żmihorskiego ▶

eprasa.pl f2420985f2



Jak to się robi za granicą

W Barcelonie modyfikuje się architekturę miejską tak, aby utrudnić napływ zwierząt z terenów naturalnych. W 22 dzielnicach położonych przy masywie Collserola, obejmującym park narodowy, zainstalowano specjalne drewniane wiaty i ogrodzenia chroniące kontenery na śmieci. W pojemnikach zamontowano bloki i wyczepy uniemożliwiające dzikom ich przewracanie i plądrowanie. Przeprowadzono pionierskie badania nad szczepionką immunokastracyjną GonaCon (pojedyncza dawka powoduje wieloletnią bezpłodność samic bez zaburzania struktury watahy). W strefach szczególnej aktywności zwierząt wycina się krzaki itp., a za dokarmianie grożą wysokie kary.

W Berlinie powołano służbę łowczych miejskich (Stadtjäger) do precyzyjnego, selektywnego eliminowania osobników agresywnych. Badania żołądków 247 miejskich dzików wykazały, że mimo przebywania w mieście żywią się głównie pokarmem naturalnym, co pozwoliło odpowiednio kształtować korytarze zieleni.

▶ z Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży dziki szybko się nauczyły, że miasta to jedyne ostoje wolne od polowań (myśliwi polemizują, bo w obwodach wokół miast dzików też przybywa). Po czwarte, w miastach nie ma naturalnych drapieżników, np. wilków, które w naturze regulują populację. Po piąte, w zabudowie zimą bywa nawet 10 stopni cieplej niż w lesie, dlatego dziki chronią się przed mrozem.

Jak podkreślają eksperci, miejskie dziki to już kolejne pokolenia, które urodziły się na osiedlach. Przestrzeń miejska jest jedynym środowiskiem, jakie znają; mają tu zapewnione bezpieczeństwo i pożywienie, więc nie czują potrzeby, by wracać do lasu. Próby wywożenia nie przynoszą efektów ze względu na silny instynkt powrotu – zwierzęta pokonują dziesiątki kilometrów, by wrócić do miejskich śmietników. I powtórzmy: relokacja jest zakazana ze względu na obostrzenia epizootyczne unijnego i krajowego prawa dotyczącego ASF.

Czym dzik miejski różni się od leśnego? Mimo że biologicznie to ten sam gatunek (*Sus scrofa*), wykształcił odmienne cechy zachowawcze i fizjologiczne. Leśny na widok człowieka zachowuje dystans, płoszy się, ucieka. Miejski nie boi się ludzi, aut i hałasu – eksperci mówią o pełnej habituacji. – *Dla dzika leśnego człowiek jest zagrożeniem. Dla miejskiego dostawcą pożywienia* – mówi rzecznik Polskiego Związku Łowieckiego Wacław Matysek. Mają odmienny tryb życia: jeden skryty, głównie nocny i zmierzchowy, a drugi – całodobowy lub wręcz dzienny, dostosowany do godzin wyrzucania śmieci. Dziki leśne dojrzałość płciową osiągają w drugim roku życia i mają jeden miot rocznie (wiosną), miejskie dojrzewają w pierwszym roku życia i rok w rok mają dwa mioty, w każdym średnio pięć, sześć prosiąt, ale bywa i czternaście, dlatego na osiedlach ciągle widać warchlaki. Przyrost populacji dzików leśnych zależy od bazy żerowej, a w przypadku dzika miejskiego jest eksplozyjny: nawet od 200 do 300 proc. rocznie. W reakcji na zagrożenie dzik leśny ucieka w głąb lasu, a miejski przy skróconym dystansie szarżuje.

Miłośnicy przyrody uważają, że wystarczy zostawić zwierzęta w spokoju, ale Marcin Możdżonek, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej, ostrzega: – *Pod koniec pierwszego roku życia dzik może ważyć 40 kg. W mieście zachowuje pełną siłę i potencjał agresji. O zetknięciu się z dorosłym osobnikiem o wadze 100 czy 200 kg lepiej nie myśleć* – mówi rzecznik PZŁ.

U dorosłych samców dolne kły są wyraźnie rozwinięte i mogą być ostre. Podczas szarży lub walki dzik może nimi spowodować głębokie rany. Dziki mają stosunkowo małe oczy i słabo widzą, ale rozpoznają ruch i orientują się w otoczeniu nawet po zmroku. Pomaga im w tym bardzo czuły aparat węchowy (dzięki niemu potrafią znaleźć jedzenie w śmietnikach), a także dobry słuch. Biegają znacznie szybciej niż człowiek: dorosły dzik w krótkim sprincie osiąga prędkość rzędu 30–40 km/h, potrafi gwałtownie skręcać, pokonać przeszkodę i ogrodzenie, a nawet pływać. Szczególnie niebezpieczne mogą być spotkania z lochą prowadzącą warchlaki. Generalna zasada jest taka: nie podchodź, nawet jeśli zwierzę nie reaguje na twoją obecność. Nie zastępuj mu drogi ucieczki. Nie biegnij w jego kierunku ani nie próbuj go przepędzać. Zachowaj dystans, spokojnie się wycofaj, daj zwierzęciu przestrzeń i powiadom o jego obecności miejskie służby.

Obwód łowiecki Polska

W miastach nie wyznacza się obwodów łowieckich, ale PZŁ postuluje masowy odstrzał redukcyjny. Miałby się odbywać w parkach i lasach miejskich, przy udziale policji i straży municypalnej, ale najpierw trzeba by zmienić regulamin polowań (zabrania strzelania w odległości mniejszej niż 150 m od zabudowań), zlikwidować – jak to nazywają myśliwi – biurokratyczne przeszkody i przełamać opór społeczny. Takie rozwiązania wiążą się z marnotrawstwem dziczyzny (mięso podlega utylizacji) i wysokimi kosztami. Odstrzał jednego osobnika w mieście pochłania nawet 2,5 tys. zł, bo to nie tylko pociągnięcie za spust, ale też praca weterynarza, transport i utylizacja. Państwowa Rada Ochrony Przyrody wyliczyła, że odstrzał w walce z ASF w latach 2019–23 pochłonął aż pół miliarda złotych.

– *Myśliwi najchętniej zamieniliby całą Polskę w obwód łowiecki* – krytykują obrońcy zwierząt. Domagają się zakazu zabijania, uszczelnienia systemu gospodarki odpadami (zamykane wiaty śmietnikowe), zakazu dokarmiania pod karą mandatów, montażu barier architektonicznych oraz wdrażania humanitarnej sterylizacji i antykoncepcji. Pomysły ekspertów i biologów sprowadzają się do zintegrowanego zarządzania populacją (monitoring, odcięcie bazy pokarmowej, ochrona korytarzy ekologicznych, płoszenie, farmakologiczna kontrola płodności, a w przypadku mieszkańców – szeroko zakrojona edukacja. Odstrzał lub eutanazja miałyby być stosowane wyłącznie jako punktowa metoda ostateczna wobec osobników agresywnych. Podejście naukowe wymaga jednak aparatury badawczej, ekspertyz i modyfikacji urbanistycznych, czyli sporych pieniędzy, długich procedur oraz harmonijnej współpracy wielu służb i decydentów – także w poprzek politycznych podziałów. A czas nagli, bo dziki są w miastach tu i teraz, mieszkańcy zaś żądają zwykle reakcji natychmiastowej.

Jak sprawdził portal xyz.pl, w Gdańsku do końca sierpnia uśmiercono w ramach interwencji 131 dzików (w 2025 r. 406 sztuk). W Lublinie w latach 2023–26 odłowiono i uśmiercono łącznie 347 dzików, 69 tylko w tym roku. W Krakowie w zeszłym roku odłowiono i uśmiercono 220 osobników. Echo wystrzałów najgłośniej jednak słychać w Warszawie.

30 marca tego roku na placu zabaw przy ul. Wolfkego na Bemowie pojawiły cztery lochy i 12 warchlaków. Zwierzęta utknęły, bo ktoś zamknął furtkę, a nagranie dzików biegających wokół

eprasa.pl f2420985f2



MAREK KWIATKOWSKI

Populacja wzrasta

Polska nie ma spójnego systemu monitorowania populacji dzików w miastach, dlatego samorządy liczą je na własną rękę. W Łodzi populacja wzrosła w ostatnich kilku latach z 2 tys. do 3 tys. osobników. W Gdańsku dron z kamerą termowizyjną wykazał w 2024 r. 333 dziki, a w 2025 r. 417 tylko na wybranych obszarach. Liczba zgłoszeń mieszkańców dotyczących dzików wzrosła z 2,5 tys. w 2023 r. do niemal 3 tys. w pierwszych ośmiu miesiącach 2026 r. W Poznaniu odnotowano 115 dzików w 2024 r., a w pierwszym kwartale 2026 r. już 120. W Krakowie pogotowie dla dzikich zwierząt podjęło w tym roku aż 2,5 tys. interwencji. W Olsztynie w 2024 r. były tylko cztery zgłoszenia, a w tym roku już 350.

huśtawek i ślizgawek rozeszło się po internecie. Na miejsce przyjechały służby odpowiedzialne za odławianie i uśpiły całe stado. Uśpiono też siedem dzików, które w wielkanocną niedzielę zawędrowały między bloki przy ul. Stępińskiej na Mokotowie, a martwe zwierzęta wrzucono do pojemników na odpady. Przeprosił za to dyrektor Lasów Miejskich Karol Podgórski, prezydent Rafał Trzaskowski skrytykował zaś sposób wykonania odstrzału oraz usuwania martwych zwierząt. I nakazał prowadzenie takich działań w sposób humanitarny: „Nie na oczach ludzi, tak, aby nikt nie musiał tak drastycznych obrazków oglądać".

Tym większe jest więc oburzenie obrońców zwierząt wrześniową zgodą mazowieckich radnych na nielimitowane uśmiercanie dzików w Warszawie. Organizacje ekologiczne czują się oszukane, bo lepsze rozwiązania w dialogu ze stroną społeczną miał wypracować powołany w maju zespół ds. dzikich zwierząt. Urzędnicy odpowiadają, że uchwały nie przygotowano w tajemnicy, a prace trwały od stycznia. – *Nie sposób przewidzieć, ile zwierząt będzie stanowić realne zagrożenie* – tak Marta Milewska, rzeczniczka urzędu marszałkowskiego, odpowiada na pytanie POLITYKI, dlaczego uchwałę wydano bez limitu.

Obrońcy zwierząt alarmują, że łowczy mogą teraz eliminować każdego osobnika, który porusza się po drodze publicznej bądź nie wykazuje lęku przed ludźmi. – *Każdy przypadek będzie rozpatrywany indywidualnie, uśmiercenie to ostateczność w sytuacji zagrożenia* – zapewnia Monika Beuth, rzeczniczka prasowa Urzędu m.st. Warszawy. Jak podkreśla, w pierwszym kwartale tego roku Lasy Miejskie przeprowadziły 1419 interwencji, a do odłowu z uśmierceniem doszło w 34 przypadkach. W interwencjach uczestniczy weterynarz, niekiedy policja lub straż miejska, a środek, który usypia zwierzę, jest podawany za pomocą aplikatora pneumatycznego, aby ograniczyć stres i cierpienie.

Wyprowadzki nie będzie

Samorząd Warszawy, ale też Krakowa czy Poznania, wywiera coraz większy nacisk na rząd i Unię Europejską w celu uelastycznienia restrykcji ASF, aby umożliwić tworzenie azylów lub relokację po szybkich testach weterynaryjnych. Z braku spójnej strategii krajowej niektóre miasta wdrażają eksperymenty. W Katowicach na peryferyjnej dzielnicy Podlesie powstał „pas buforowy": hektar ziemi obsadzono topinamburem (słonecznik bulwiasty), który uchodzi za przysmak dzików – żeby nie zapuszczały się w miasto. Kraków zorganizował odłownie w rejonie Zakrzówka, Ruczaju oraz Borku Fałęckiego i szykuje się do uruchomienia trzech kolejnych. Teraz ogłoszono, że straż miejska będzie wypożyczać mieszkańcom urządzenia emitujące drażniące dźwięki i światło stroboskopowe.

Gdynia do 2018 r. dziki odławiała i przewoziła do Borów Tucholskich. Gdy wykluczył to ASF, odstraszała je preparatami zapachowymi, ale skutek był mizerny. W 2024 r. zrealizowano tu więc odstrzał redukcyjny 178 dzików. W tym samym roku na rozwiązywanie problemu miasto wydało ponad 400 tys. zł, a prezydent Aleksandra Kosiorek powołała zespół ds. dzikich zwierząt. Ten pod koniec września 2026 r. opublikował analizę i 14 rekomendacji. To m.in. ograniczenie celowego i przypadkowego dokarmiania, zabezpieczanie odpadów, wygradzanie i monitorowanie szkół, przedszkoli i placów zabaw, stała kampania informacyjno-edukacyjna czy wyznaczenie w Trójmiejskim Parku Krajobrazowym obszarów o ograniczonej antropopresji, czyli wpływie człowieka.

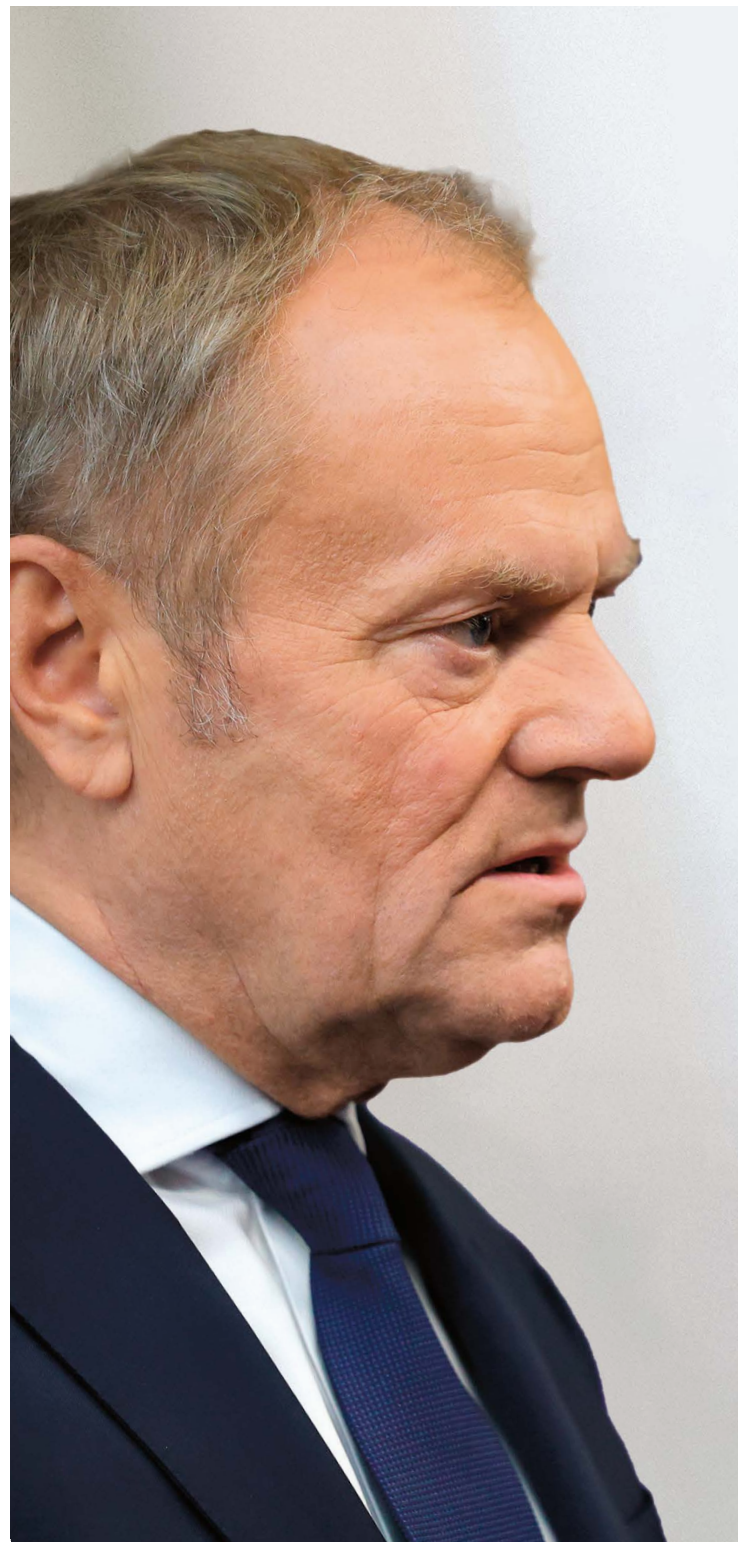
Według władz miasta są już efekty. Kilka lat temu w pobliżu gdyńskich domostw odnotowywano obecność kilkuset dzików, obecnie jest ich kilkadziesiąt. Dlatego we współpracy z Ministerstwem Klimatu i Środowiska Gdynia przygotowuje wytyczne dla gmin. W Gdyni powstają też „standardy niedostępności", których będą musiały przestrzegać miejskie spółki czy spółdzielnie mieszkaniowe, ale też właściciele domów. „Nic nam nie pomogą zamknięte śmietniki, jeśli będziemy dokarmiać dziki na trawnikach, podobnie jak dzikoodporne kosze na odpadki w sąsiedztwie klombów i krokusów uwielbianych przez dziki" – mówi Agata Grzegorczyk, koordynatorka w Gdyni. Eksperci zaś podkreślają, że mieszkańcy miast muszą się nauczyć współistnieć z dziką fauną, bo nie ma szans na wyprowadzkę zwierzyny z miast. Wygląda na to, że po tym, jak człowiek zabrał zwierzętom las, musi się teraz podzielić z nimi miastem.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl f2420985f2

Pojedynek wagi

Po raz pierwszy od 20 lat to nie Kaczyński będzie bił się z Tuskiem o władzę nad Polską. Premier „wyznaczył" prezydenta Nawrockiego na swojego głównego przeciwnika, a ten przyjął wyzwanie. Komu się opłaci to starcie?



MICHAŁ DANIELEWSKI

W czerwonym narożniku uznany czempion mieszanych sztuk walki, już z doświadczeniem obrony pasa mistrzowskiego. W niebieskim młodszy, dynamiczny bokser, który wygrał do tej pory tylko jeden, lecz za to bardzo ważny pojedynek. Starcie odmiennych stylów, różnych pokoleń, a na trybunach spolaryzowana, niechętnie do siebie nastawiona publiczność. Po jednej stronie politycznego ringu Donald Tusk, po drugiej Karol Nawrocki. Wszystko wskazuje, że będzie to główny personalny, polityczny i aksjologiczny pojedynek, który zdefiniuje kampanię wyborczą przed wyborami do Sejmu, zastępując stary podział na „obóz Tuska" i „obóz Kaczyńskiego".

Co prawda lider PiS nie ma ochoty przechodzić jeszcze na polityczną emeryturę, ale rzeczywistość jest nieubłagana: Jarosław Kaczyński traci pozycję latarni morskiej dla prawicowych wyborców i przestaje być głównym punktem odniesienia dla politycznych przeciwników, w tym dla swojego odwiecznego arcywroga Tuska. W obu rolach zastępuje go prezydent Nawrocki, człowiek, który jeszcze dwa lata temu politycznie był nikim. Przyznajmy, że jest to zwrot akcji, którego mało kto się spodziewał.

Marzenie o pełni władzy

Pomijając kadencję Lecha Wałęsy w niemowlęcych czasach III RP, nie mieliśmy do tej pory prezydenta, który tak bezceremonialnie jak Nawrocki próbowałby przekraczać granice konstytucyjnych uprawnień i z taką pewnością siebie nie dbałby o pozory, w „głębokim poważaniu" mając zasady politycznego savoir-vivre'u. Nie mieliśmy też głowy państwa, która tak jasno formułowałaby cel polityczny polegający na obaleniu rządu.

W konsekwencji nie ćwiczyliśmy również procesu wyborczego, który bardziej przypomina czasy II, a nie III Rzeczpospolitej. Mowa o sytuacji, gdy naprzeciw siebie stają po jednej stronie partie z klasycznego demokratyczno-liberalnego porządku, a po drugiej swoisty Blok Współpracy z Wodzem, parlamentarne zaplecze dla władzy charyzmatycznej, omnipotentnej jednostki. A z taką perspektywą możemy się wkrótce zderzyć. „Myślę, że po wyborach powinniśmy mieć rząd, który będzie potrafił prowadzić dialog z prezydentem dla dobra Polski. Wierzę,

eprasa.pl f2420985f2

najcięższej



© BIANCA OTERO/ZUMA PRESS/FORUM, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

że wszystkie środowiska polityczne, które są gotowe do takiego dialogu (...), będą potrafiły ze sobą rozmawiać o przyszłości naszej Ojczyzny. To jedyna idea, która mi przyświeca" – tak ten schemat ujął kilka dni temu sam Nawrocki w rozmowie z Polsat News. I warto traktować jego słowa poważnie, nawet jeżeli przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. hasłem wspierającej Nawrockiego prawicy było to, że „nie wolno pozwolić na domknięcie układu", w którym prezydent i rząd byliby z tego samego obozu politycznego. Teraz Nawrocki oczekuje takiego domknięcia, tyle że już swojego, pod hasłem „byle nie Tusk". Hipokryzji w polityce nikt się już jednak nie dziwi.

Kłopot w tym, że znieczuleni kolejnymi, powtarzającymi się cyklicznie od dwóch dekad, dwubiegunowymi bitwami na śmierć i życie oraz znudzeni powtarzalnością opowieści o „najważniejszych wyborach w historii", możemy przegapić, że tym razem wynik głosowania może mieć poważne konsekwencje ustrojowe. Nawrocki przecież nie ukrywa, że w jego idealnym świecie władza prezydenta jako uprawomocnionego mandatem wyborczym ojca narodu powinna być o wiele szersza niż dziś. Poza tym po przyszłorocznych wyborach, niezależnie od ich wyniku, staniemy też prawdopodobnie przed wielkimi systemowymi niewiadomymi. Bo jak skorzysta ze swojej symbolicznej władzy prezydent, jeśli de facto wygra wybory, posługując się jako narzędziem opozycją parlamentarną? Albo – w alternatywnym scenariuszu – co zrobić z przegraną głową państwa, która zaangażowała cały swój autorytet w wyborczej walce po stronie opozycji?

Nawrocki na białym koniu

Brzmi to dziś jak opowieść z pradawnych czasów, ale zaledwie rok temu, podczas konwencji zjednoczeniowej Koalicji Obywatelskiej, Nawrocki był właściwie nieobecny w słowach Tuska. Główny przeciwnik polityczny obozu władzy był inny, jasno i tradycyjnie zdefiniowany jako PiS i Kaczyński. Powszechnie się spodziewano, że stosunki Nawrockiego z Kaczyńskim będą mniej więcej analogiczne do czasów prezydentury Andrzeja Dudy. W większości byliśmy przekonani, że to ośrodek na Nowogrodzkiej będzie dyspozytorem kierunków politycznych, a podporządkowana partyjnej centrali głowa państwa dla zachowania szczątków politycznej godności od czasu do czasu może próbować wybić się na niepodległość w mniej istotnych kwestiach.

Później jednak nastąpił ciąg karkołomnych, błędnych ruchów lidera Prawa i Sprawiedliwości. Kaczyński wpadł w panikę, gdy wygrana Nawrockiego nie podniosła słupków jego partii, i podjął serię zupełnie katastrofalnych decyzji. Najpierw mieliśmy przegraną z kretesem retoryczną wojnę PiS z obiema Konfederacjami, później wskazanie Przemysława Czarnka jako kandydata na premiera, a na koniec zakończony podziałem konflikt ze środowiskiem Mateusza Morawieckiego oraz sondaże dające PiS zaledwie kilkanaście procent poparcia.

Kiedy w pierwszą rocznicę zaprzysiężenia prezydenta Kaczyński w mocno rozpaczliwym tonie próbował przekonywać widownię, że zwycięstwo Nawrockiego to zwycięstwo PiS, stało się ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ jasne, że dokonuje się epokowa zamiana ról – oto wielki prawicowy imperator staje się nieomal petentem wiszącym u klamki nowego przywódcy swojego elektoratu.

Po latach dywagacji o kolejnych delfinach marzących o zastąpieniu Kaczyńskiego Nawrocki skorzystał z dogodnego momentu i bez wahania, niewielkim w sumie wysiłkiem, skokowo powiększył swoje wpływy, odbierając liderowi PiS prymat na prawicy. Prezydent skutecznie utkał wokół siebie pajęczynę lojalności. Zbigniew Bogucki i Paweł Szefernaker, jego najbliżsi doradcy, są formalnie członkami PiS, ale nikt nie może mieć wątpliwości, w kim widzą swojego realnego politycznego patrona. A także czyim przedstawicielem będzie Bogucki jako potencjalny premier przyszłej prawicowej koalicji. Na Nawrockiego orientują się też secesjoniści Morawieckiego, młodsze pokolenie PiS, podległa Krzysztofowi Bosakowi frakcja Konfederacji i duża część mniej lub bardziej sympatyzujących z prawicą mediów, by wspomnieć tylko nastoletnio zakochanego w prezydencie Krzysztofa Stanowskiego z Kanału Zero. Przy prezesie zaś, niczym w bunkrze oblężonego Berlina z filmu „Upadek", wiernie czuwa jedynie stara, mocno już zmęczona gwardia: Mariusz Błaszczak, Joachim Brudziński, Marek Suski i na medialnym froncie Danuta Holecka.

W tym sensie Nawrocki na ring z Tuskiem wprosił się sam, bez zbędnych sentymentów wypychając Kaczyńskiego. I będzie dla premiera dużo trudniejszym przeciwnikiem niż od lat zamknięty w tych samych odruchach, obsesjach i opowieściach lider PiS. Bo Nawrocki nie gada „po pisowsku", jest pragmatyczny, potrafi w ramach politycznej gry odciąć się od różnych działań rządów Prawa i Sprawiedliwości. A ludzie, którzy – w przeciwieństwie do komentatorów i publicystów – nie są uzależnieni od polityki, konsumując ją od przypadku do przypadku, słuchają głowy państwa i kiwają z aprobatą głowami: ot, zdrowy, pozapartyjny rozsądek, taki to prezydent wszystkich Polaków.

W uniwersum polskiej prawicy Nawrocki w pewnym sensie występuje dziś w roli Tuska powracającego w 2021 r. do polskiej polityki. Dla opozycji wobec rządu jest wybawicielem na białym koniu, nowym impulsem, świeżą opowieścią, powiewem nadziei, politykiem, który może całe to podzielone i rozdyskutowane towarzystwo zebrać do kupy i poprowadzić do zwycięstwa. A prawica chętnie oddaje się w ręce praktycznie wciąż jeszcze politycznego debiutanta, ponieważ nie potrafi poradzić sobie z wewnętrznymi podziałami. To Nawrocki ma być „przyzwoitką" przy flirtowaniu PiS i Konfederacji z Grzegorzem Braunem, a sądząc po ostatnich wywiadach, prezydent się od tej roli nie uchyla.

Utrzymać twardy kurs

Jednocześnie Nawrocki uwielbia posługiwać się konserwatywno-narodowym frazesem, tworzy wokół siebie niekiedy karykaturalny kult siły i sprawności fizycznej, a także politycznej istotności i sprawczości. I właśnie to nieumiarkowanie w samouwielbieniu, nad którym wyraźnie trudno mu zapanować, jest jego miękkim podbrzuszem. Ten rodzaj skupionej na sobie przesady widać też w jego bałwochwalczym stosunku do Donalda Trumpa, choć instynkt samozachowawczy nakazywałby zachować choć odrobinę dystansu do polityka, który jest zupełnie nieprzewidywalny. Prezydent jednak rozsmakował się w podkreślaniu swojej mocnej pozycji międzynarodowej, a domniemana bliska przyjaźń z Trumpem jest tu perłą w koronie. Posługując się bliską prezydentowi analogią do walki bokserskiej, można powiedzieć, że Nawrocki jest jak zbyt pewny siebie pięściarz, który demonstracyjnie opuszcza gardę. Cóż, wielkim mistrzom to się udaje, jednak bywa, że średni bokserzy padają od takiej brawury na deski.

W tym sensie strategiczna decyzja Donalda Tuska, by iść z prezydentem na ostre zwarcie, wydaje się uzasadnionym kierunkiem: jako polityk wciąż niedoświadczony Nawrocki pod presją będzie popełniać gafy, robić błędy i tracić punkty wszędzie tam, gdzie kreowany z pietyzmem wizerunek wszechpotężnego przywódcy będzie się zderzać z polityczną niemocą. Tak było z obejściem przez rząd weta wobec programu SAFE, wymuszonym konsekwentną presją podpisem pod ustawą o nadmiarowych zyskach koncernów paliwowych, tak może być z Trybunałem Konstytucyjnym, o ile rzeczywiście obóz władzy ma w tym wypadku jakiś spójny plan i wbrew prezydentowi da radę go do końca zrealizować.

To wciąż Tusk jako szef rządu ma siłę, o jakiej Nawrocki dopiero marzy – skuteczne narzędzia kreowania polityki i zmiany rzeczywistości. Bo kompulsywne weta prezydenta są jedynie atrapą sprawczości, entuzjastycznie przyjmowane głównie przez twardy prawicowy elektorat. Bardziej zaś umiarkowani wyborcy sympatyzujący z Nawrockim stosują do nich taką samą miarę jak do poczynań innych ośrodków władzy: pytają, jaka jest ich skuteczność, co z nich konkretnego i pozytywnego wynika, czy nie są aby produktem tak drażniącego publiczność pustego, efekciarskiego politykierstwa. Atutem Nawrockiego jest zapożyczona od Trumpa demonstracyjna pogarda dla politycznych konwenansów i reguł, więc im bardziej będzie się upodabniać do innych polityków, tym bardziej w oczach publiczności będzie tracić pelerynę supermena.

Otwartą kwestią pozostaje, czy obóz rządowy w bezkompromisowym kursie wobec prezydenta pozostanie spójny, bo do tej pory nie była to cecha, która go wyróżniała. Tymczasem po decyzji o wyjściu na ring nie ma już miejsca na dywagacje, negocjacje i przyjazne akty dobrej woli. Każda słabość zostanie bezwzględnie wykorzystana. A przestrzeni na błędy nie ma, tym bardziej że to mimo wszystko Nawrocki jest w tym starciu faworytem.

Senat izbą Nawrockiego

W badaniach CBOS dobre oceny działalności prezydenta w ciągu roku tylko dwa razy spadły nieznacznie poniżej 50 proc. Bliźniaczo wyglądają liczby dotyczące społecznego zaufania do Nawrockiego – w ciągu ostatnich 12 miesięcy tylko dwa razy spadły poniżej 50 proc. Tymczasem zaufanie wobec Tuska tylko dwa razy przekroczyło 40 proc. Podobnie jest z ocenami działalności rządu i zadowoleniem z premiera – z krótkimi przerwami od miesięcy utrzymują się na bardzo niskim poziomie, porównywalnym z notowaniami gabinetu Morawieckiego z końcówki władzy PiS. A do tego jeszcze wyraźnie się pogarszają, gdy weźmiemy pod lupę respondentów bez sprecyzowanych sympatii partyjnych. To nie są wskaźniki, które budują optymizm przed wyborami.

Oczywiście w sytuacji, gdy podstawową walutą polityczną jest mobilizacja elektoratów, można utrzymać władzę nawet wbrew dominującym nastrojom, tym bardziej że Nawrocki może być dla prawicy patronem, ale nie jest cudotwórcą – nie unieważni jednym gestem sprzecznych interesów i animozji wśród partii opozycyjnych. W tym sensie jedna lista prawicy do Sejmu wydaje się scenariuszem mało realnym, co otwiera ścieżkę zwycięstwa dla obozu rządowego. Jednak innym przypadkiem jest Senat, gdzie jednomandatowe okręgi wymuszają jedność. I nie bez przyczyny na tej izbie koncentruje się prezydent.

eprasa.pl f2420985f2

Nawrocki w zasadzie proponuje wprost, że może być ojcem założycielem i przywódcą prawicowego porozumienia do Senatu – od Kaczyńskiego po Brauna. Jeśli powstanie, szanse powodzenia będą bardzo duże. Gdyby PiS i Konfederacja już w 2023 r. wystawiły wspólnych kandydatów, z dużym prawdopodobieństwem zdobyłyby dodatkowe mandaty w co najmniej 13 okręgach, a większość koalicji 15 października w Senacie stopniałaby z 66 do 53 miejsc. Za rok przy obecnych nastrojach i zaangażowaniu Nawrockiego większość dla prawicy będzie na wyciągnięcie ręki.

Senat zmieni się wówczas z izby wyższej w „izbę prezydenta". Jeśli nawet rząd Tuska utrzyma większość w Sejmie, Nawrocki będzie mógł jeszcze skuteczniej niż dziś paraliżować jego działania. Oprócz wet dysponowałby również referendami, na które zgodę daje właśnie Senat, i możemy być pewni, że prezydent nie zawaha się ich używać. A ponieważ żadna władza nie przetrwa długo w sytuacji nieustannego plebiscytu, nieuchronnie mielibyśmy przyspieszone wybory, prezydent stałby się już zupełnie niekwestionowanym hegemonem na prawicy, a dla wielu wyborców – ostatnią nadzieją na polityczną stabilizację.

Tusku, znów musisz?

Powyższa opowieść brzmi dziś jeszcze jak political fiction, ale wszystkie składniki takiego scenariusza już leżą na stole. Mamy prezydenta radykała z ogromnymi ambicjami, który do polityki poszedł po realną władzę, a nie po to, by – jak to określił kiedyś Tusk – pilnować żyrandola. Mamy partie populistycznej i skrajnej prawicy, które dysponują bardzo dużym poparciem, ale jednocześnie są podzielone, skłócone i potrzebują wspólnego lidera. Mamy społeczeństwo z roku na rok bardziej zmęczone polityczną niepewnością i w coraz większym stopniu skłonne rozejrzeć się za kimś, kto będzie nieść obietnicę wprowadzenia elementarnego porządku. No i żyjemy w czasach technologicznej rewolucji i niekontrolowanej władzy algorytmów, które premiują emocjonalne przekazy o prawicowym wektorze ideowym. To wszystko wiatr w żagle Nawrockiego.

A po stronie demokracji liberalnej historia zatoczyła koło i po 20 latach znów aktualna staje się okładka POLITYKI z 2007 r., gdzie zacytowano powszechne wtedy w tym obozie wezwanie „Tusku, musisz!". O ile jednak wówczas było to hasło mobilizujące, o tyle dziś brzmi jak gorzki opis rzeczywistości. Bo to na Tusku zdają się wisieć wszelkie rachuby polityków koalicji 15 października na utrzymanie władzy: nadzieja, że Tusk coś wymyśli, że ma w zanadrzu sprytny plan, że – niczym w komiksie – „nieoczekiwanym splotem okoliczności" znajdzie sposób na sukces. Przez trzy lata w otoczeniu rządowym obok premiera nie wyrósł żaden polityk nowego pokolenia, który mógłby być jego skrzydłowym, wnosząc do obozu władzy nowe umiejętności komunikacyjne i zdolność do skutecznego kontaktowania się np. z młodszymi grupami wyborców. Sytuacja wygląda więc tak, że to 69-letni Tusk musi odgrywać role tiktokera i youtubera (z niezłym zresztą skutkiem).

„Pytanie o to, czy jestem obciążeniem, jest pytaniem zasadnym. Pan pyta, czy nie byłoby lepiej, żebym się wycofał. Jakby był ktoś lepszy, to by tę władzę ode mnie wziął" – mówił Tusk podczas spotkania z młodymi ludźmi na Campusie Polska. I to zdanie idealnie podsumowuje obecne zasoby obozu władzy. Tym zasobem jest Tusk we własnej osobie, który swoim doświadczeniem w brutalnej politycznej walce, realną determinacją, zdolnością do prostego opisywania świata za pomocą dwubiegunowych, manichejskich kategorii jeszcze raz spróbuje wygrać. Żadnych nowych odkryć politycznych i sposobów na mobilizację wyborców spodziewać się raczej nie należy.

Nie wiadomo tylko, czy to, co działało w walce z Kaczyńskim, okaże się podobnie skuteczne, gdy populistyczna prawica przepoczwarza się wizerunkowo i pokoleniowo pod egidą Nawrockiego. Nadanie mu przez Tuska rangi głównego przeciwnika powoduje i to, że stał się on punktem odniesienia – wszędzie Nawrockiego pełno, jakby działał w ramach innych kompetencji niż wcześniej Duda i inni prezydenci. Trzeba walczyć z takim wrogiem, jakiego się wykreowało. Cóż, jak mówił klasyk, czas pokaże, kto to wszystko lepiej wykalkulował.

MICHAŁ DANIELEWSKI

REKLAMA



POLSKA STOLICA KULTURY
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Polskie Stolice Kultury dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
75 NARODOWE CENTRUM KULTURY
Miasto Bielsko-Biała
BB 2026 Bielsko-Biała Polska Stolica Kultury
Mecenas: TOTALIZATOR SPORTOWY LOTTO
Współpraca: Polska POLSKA ORGANIZACJA TURYSTYCZNA

eprasa.pl f2420985f2

Lewe spory

Balansująca nad progiem wyborczym Nowa Lewica i podprogowe Razem kłócą się już na poważnie. Wygląda na to, że z koalicji nic nie będzie, a nie brakuje opinii, że jeśli tak dalej pójdzie, to oba ugrupowania znajdą się solidarnie poza Sejmem.

MICHAŁ PIEDZIUK, JOANNA SAWICKA



„Partio Razem, wasza obecność w tych ławach [Sejmu] polskiemu pracownikowi nie przynosi dokładnie nic. Od wielu lat każdego miesiąca każdy z was pobiera kilkanaście tysięcy złotych i z tych pieniędzy polski pracownik nie ma dokładnie nic. (...) W imieniu milionów ciężko pracujących ludzi w Polsce mam dla was jeden komunikat: do roboty!".

Te słowa to zaledwie końcówka płomiennego przemówienia, które wygłosiła w Sejmie 6 października ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. Była to odpowiedź na zarzuty lidera Razem Adriana Zandberga w sprawie planowanej przez rząd na 2027 r. bardzo nieznacznej podwyżki płacy minimalnej. Dziemianowicz-Bąk z mównicy wyliczała ważne dla lewicowych wyborców zmiany przyjęte przez obecny rząd – takie jak reforma Państwowej Inspekcji Pracy, zniesienie bezpłatnych staży, wzmocnienie związków zawodowych czy wolna Wigilia – podkreślając, że to wszystko wprowadził rząd bez udziału partii Razem.

Skąd te emocje? „Po prostu stwierdziliśmy, że nie będziemy [jak do tej pory] nadstawiać drugiego policzka i na zaczepkę i atak Adriana Zandberga Agnieszka odpowiedziała. I partia Razem musi się do tego przyzwyczaić" – tłumaczył dzień później w Polsat News rzecznik Nowej Lewicy Łukasz Michnik. Według niego zaraz po tym, jak w październiku 2024 r. działacze Razem wyszli z klubu Lewicy, zaczęli traktować Nową Lewicę jak największego wroga. „My to znosiliśmy. Mówiliśmy: chodźmy razem, mamy podobne ideały, załatwiajmy razem sprawy. Dziś stało się coś innego" – tłumaczył Michnik, sugerując, że przed nami czas ostrego sporu dwóch lewic. Zielone światło dał kilka dni wcześniej podczas posiedzenia rady krajowej Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty. Wcześniej w partii panowało nieformalne zawieszenie broni i przykaz, by na zaczepki ze strony Razem nie odpowiadać. Teraz już można.

Bój na krakowskim polu

Razem wydaje się tymi atakami lekko zaskoczone. Tłumaczą to jednak tym, że ich zdaniem Nowa Lewica reaguje emocjonalnie po przegranej batalii w Krakowie. Kilka dni wcześniej w pierwszej turze przedterminowych wyborów na prezydenta Krakowa reprezentująca Nową Lewicę Daria Gosek-Popiołek uzyskała zaledwie 4,8 proc. głosów. Reprezentująca Razem współprzewodnicząca partii Aleksandra Owca zdobyła z kolei 6,9 proc., choć w czasie kampanii w sondażach górą była zwykle Gosek-Popiołek.

Ktoś mógłby stwierdzić, że w Krakowie obie lewicowe kandydatki po prostu wypadły słabo. I miałby sporo racji, bo żaden z tych rezultatów nie powinien wywoływać entuzjazmu w ugrupowaniach, które za rok na terenie całego kraju chcą uzyskać wynik przekraczający 5-procentowy próg wyborczy, żeby dostać się do Sejmu. Ale dwie lewice w Krakowie tak naprawdę nie walczyły o prezydenturę, na którą i tak nie miały szans. Rywalizowały przede wszystkim między sobą o to, która uzyska lepszy wynik i która w związku z tym może poczuć się pewniej przed nadchodzącą kampanią parlamentarną.

Nowa Lewica miała nadzieję na to, że jeśli Gosek-Popiołek uzyska znacząco lepszy rezultat od Owcy, to dzięki temu przekona Razem, że nie ma czego szukać jako osobny byt na polskiej scenie i da się po raz kolejny wciągnąć na wspólną listę na wybory do Sejmu, tak jak w 2023 r.

Razem z kolei chciało pokazać światu, że jest partią silną, niezależną oraz że potrafi robić dobrą kampanię i skutecznie rywalizować z Nową Lewicą. Politycy tej partii przekonują, że to się udało, bo ich zdaniem dowodzi tego sama przewaga Owcy nad Gosek-Popiołek. A że sam w sobie wynik nie był specjalnie wysoki? Tu już brakuje przekonującej odpowiedzi. Biorąc pod uwagę fakt, że Razem jest partią typowo wielkomiejską, zdobywającą w największych ośrodkach najwięcej głosów, to niespełna 7 proc. poparcia w drugim co do wielkości mieście w Polsce nie daje wielkich nadziei na przekroczenie progu w skali kraju. Tego Razem już zdaje się nie zauważać. Mamy więc powrót do znanego na polskiej scenie motywu – dwie niewielkie partie o podobnym profilu, które kiedyś współpracowały, obecnie toczą zażarty bój w okolicach wyborczego progu.

Bolączki Czarzastego

Jeszcze pod koniec wakacji wydawało się, że Nowa Lewica w końcu załapała się na falę wznoszącą. Jej liderzy aktywnie przepracowali lipiec: cztery weekendy spędzili w trasie po Polsce. Z wyborcami rozmawiali głównie w miejscowościach

eprasa.pl f2420985f2



Jeszcze „lewica razem". Anna Maria Żukowska, Włodzimierz Czarzasty, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Magdalena Biejat i Adrian Zandberg, końcówka kampanii wyborczej, Warszawa, 2023 r.

wypoczynkowych. Byli m.in. w Gdańsku, Gdyni, Olsztynie oraz Żywcu. Każda wizyta miała swój ceremoniał: najpierw wiec, potem sesja pytań i odpowiedzi, a na końcu wspólny spacer. Sympatyczne obrazki z trasy dobrze poniosły się w sieci. Hasłem „Lewica dowozi" partia Czarzastego chciała jeszcze raz przypomnieć o swoich dokonaniach w rządzie.

Potem przyszły negocjacje budżetowe i tu też – o dziwo – Nowa Lewica mogła pochwalić się sektorowymi podwyżkami z budżetu w tych działach, za które odpowiadają jej ministrowie. I tak np. budżet na naukę, za którą odpowiada Marcin Kulasek, wzrośnie z 41,2 do 43,3 mld zł, a na rodzinę – część składową resortu ministry Dziemianowicz-Bąk – o prawie 9 mld do 106,6 mld zł. Z kolei minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski mógł dumnie ogłosić, że w ustawie budżetowej na kolejny rok przewidziano wpływy z postulowanego przez niego podatku cyfrowego.

Później jednak zdarzyły się krakowskie wybory i dość wyraźna porażka z kandydatką Razem. Niektórzy politycy Nowej Lewicy zaklinają rzeczywistość, próbując wskazywać, że wynik Owcy pokazuje wyraźny spadek popularności jej partii, bo w 2025 r. prezydencki rezultat Zandberga w Krakowie był o kilka punktów wyższy. Ale fakty są takie, że Nowa Lewica nie potrafiła zdobyć tam nawet 5 proc. głosów. A dysponując większymi funduszami na kampanię, poległa z odciętym od subwencji wyborczej Razem.

Jakby tego było mało, na jesieni wróciły tematy, w których partii Czarzastego trudno grać o własną popularność. Spór o ceny paliw, historie o zrealizowanych i planowanych rosyjskich prowokacjach; a w końcu w odświeżonej formie i z twarzą Macieja Berka konflikt z opozycją o Trybunał Konstytucyjny. We wszystkich tych tematach brakuje tlenu dla Nowej Lewicy, nawet mimo tego, iż od blokowanych przez prezydenta Karola Nawrockiego sędziów TK ślubowania odbierał marszałek Sejmu Czarzasty. – *Nie mamy dziś w partii ludzi wiarygodnych w tych kwestiach* – żali się POLITYCE jeden z członków Nowej Lewicy. Dlatego gdy niedawno premier Donald Tusk chciał po raz kolejny zablokować powrót do prac tzw. komisji aborcyjnej, lider Nowej Lewicy poczuł, że ucieka mu jedyna w ostatnich tygodniach szansa na wizerunkowe odbicie, parę dni medialnej uwagi dla jego polityków.

– *Tym razem to Czarzasty się wściekł* – słyszymy w partii – *do Tuska poszedł ze stanowczym żądaniem. Może nie stawiał sprawy na ostrzu noża, ale przekonał premiera, że coś wokół tej aborcji trzeba ludziom dać. Przecież za rok wybory.* Komisja zebrała się po ponaddwuletniej przerwie 8 października i poparła w pierwszym czytaniu dwa projekty ustaw – jeden przewiduje częściową dekryminalizację aborcji, drugi zakłada przywrócenie możliwości przerwania ciąży w przypadku ciężkiej wady płodu, co w 2020 r. zablokował Trybunał Konstytucyjny. Drugie i trzecie czytanie ma się odbyć na posiedzeniu Sejmu w tym tygodniu. Projekty nie realizują lewicowych ambicji, ale są przynajmniej małym krokiem w stronę oczekiwań ich elektoratu. I choć zapewne zablokuje je prezydent, to ich przyjęcie w Sejmie uchroni Nową Lewicę przed oskarżeniami, że w sprawie aborcji rząd nie zrobił nic.

Nową Lewicę czekają więc trudne miesiące przed kampanią parlamentarną. Kierownictwo zdecydowało, że już w październiku powróci do weekendowych wyjazdów w teren. Prekampanijne wizyty mają się odbywać raz w miesiącu, choć trudno spodziewać się tłumów. Zbliżająca się jesienno-zimowa aura i coraz krótszy dzień raczej partii nie pomogą.

Powoli pryska chyba także czar samego Czarzastego. Mimo prób wizerunkowej transformacji, organizowanych przez skądinąd zdolną grupę lewicowych dwudziestoparolatków, osobiste notowania lidera Nowej Lewicy nie powalają. Od kiedy w listopadzie ubiegłego roku został marszałkiem Sejmu, nie przybył mu choćby punkt procentowy sympatyków: w badaniach CBOS wciąż ufa mu 31 proc. wyborców. Po niespełna roku marszałkowania wyraźnie zwiększyła się za to grupa jego przeciwników: z 29 do 39 proc. Opinie publiczności nie wpływają jednak na jego wciąż niezachwianą pozycję w partii. ▶

© ZBYSZEK KACZMAREK/FORUM

eprasa.pl f2420985f2

▶Dziś trudno wyobrazić sobie wewnętrzny przewrót, szczególnie że dopiero co Czarzasty, jako jedyny kandydat w wyborach na przewodniczącego, dostał 375 głosów na niespełna 400 członków zebranych na krajowym kongresie. Niekwestionowanym liderem pozostanie więc przynajmniej do wyborów, które pokażą, czy w grudniu 2025 r. delegaci Nowej Lewicy słusznie po raz kolejny powierzyli mu partię.

Wiara (w) Zandberga

Gdyby co roku organizować konkurs na najbardziej zadowoloną z siebie partię polityczną, po paru edycjach Razem mogłoby się pochwalić naręczem złotych medali. Gdzie ucho przyłożyć, tam w partii słychać bowiem zachwyty nad obecną kondycją struktur, dumę z krakowskiej kampanii i przekonanie o jeszcze lepszym jutrze, czyli samodzielnym sukcesie w przyszłorocznych wyborach.

Nasi rozmówcy twierdzą, że współprzewodniczącej Owcy w ostatnich tygodniach udało się w końcu zbudować rozpoznawalność, choć trudno się spodziewać, żeby w przewidywalnej przyszłości wyszła z cienia Zandberga. Założyciel partii Razem politycznie znów ostatnio nieco odżył: zresztą przyzwyczaił nas do swojej sinusoidalnej formy. Nie od dziś wiadomo, że „potężny Duńczyk" raczej skacze między dwoma trybami: jako naczelny bat na liberałów krytykuje rząd Tuska, czasami kogoś innego, tylko po to, żeby potem schować się na kilka miesięcy, prosząc się, żeby świat o nim zapomniał. Tym razem do walki poderwał go były koalicjant, który stwierdził, że dłużej ciosów przyjmował nie będzie. I tak Zandberg poczuł wreszcie, że kampania przeciw Nowej Lewicy, którą Razem od miesięcy prowadzi, nie idzie na marne. Osiągnął efekt, bo zmusił rywali do reakcji, choć w odpowiedzi złośliwie sięgnęli po jego własne hasło o „koryciarstwie".

Słyszymy jednak, że Nową Lewicę Razem ma zamiar punktować do czasu. – *Wszystko ma swój moment. Niech nie myślą, że w kampanii będziemy się nimi zajmować* – mówi nam polityk bliski Zandbergowi. – *Na razie cieszymy się, że konflikt z nimi pomaga nam uwiarygadniać się jako demokratyczna partia opozycyjna* – dodaje. Co istotne, formacja Zandberga i Owcy coraz szybciej stara się uciekać też od łatki partii lewicowej. Dziś definiuje się raczej jako antysystemowa, bo wie, że na szeroko pojętą, tradycyjną lewicę moda w Polsce na razie minęła.

Wyraz tej nowej tożsamości wybrzmiewa w hasłach głoszonych przez jej polityków. Ci na sztandary biorą postulaty o odpolitycznieniu spółek i instytucji publicznych podległych rządowi, dofinansowaniu ochrony zdrowia czy zwiększeniu płacy minimalnej. Jak mantrę powtarzają przy tym historie o dziesięcioleciach zaniedbań i uwłaszczeniu się polityków na funkcjach, do których dostęp daje sprawowanie władzy. Do jednego wora wrzucają tu PiS, KO, PSL i Nową Lewicę.

W partii Zandberga i Owcy pobrzmiewa także przekonanie o własnych kampanijnych zdolnościach. Zdaje się ono na tyle silne, że obecne nieco ponad 3 proc. w sondażach politycy Razem są gotowi wziąć w ciemno na starcie przyszłorocznej kampanii. Pozostałą resztę do przekroczenia 5-procentowego progu wyborczego mają nadrobić wzmożoną aktywnością w terenie i sprawnością w mediach społecznościowych.

Przed Razem stoją jednak dwa zasadnicze wyzwania. Po pierwsze, brak rozpoznawalnych liderów w skali kraju. Jej sejmowa reprezentacja liczy sobie czworo posłów, którzy są jednocześnie najważniejszym zasobem personalnym całej partii. A i jej nie omijają problemy natury wizerunkowej: od sierpnia na przykład dostępu do swojego konta na X nie ma posłanka Marta Stożek, której profil przejął turecki haker i od dwóch miesięcy publikuje na nim otomańskie bon moty.

Drugim wyzwaniem pozostaje finansowanie kampanii. Razem nie pobiera subwencji wyborczej, bo w poprzednich wyborach startowało z komitetu Nowej Lewicy, więc dziś może liczyć tylko na składki członkowskie i wpłaty darczyńców. Dopiero co partyjna kasa ucierpiała przecież na krakowskiej kampanii, a zaraz trzeba będzie rozpisać finansowanie na kolejną, zdecydowanie bardziej kosztochłonną, bo parlamentarną. A ceny banerów, ulotek, ale też organizacji wieców i konwencji idą w górę: podwyżki nie omijają przecież branży eventowej.

Na razie Razem wydaje się zawierzać swoją przyszłość zaprawionemu w kampanijnych bojach kierownictwu, choć może bardziej wyborczemu losowi. Nie tylko Kraków, ale i ogólnopolskie sondaże wskazują, że sytuacja Lewicy jest niepewna. Według portalu ewybory.eu średnie notowania Nowej Lewicy w ostatnich 30 dniach (dane z 16 października) to 6,7 proc. Razem ma 3,8 proc. Biorąc pod uwagę możliwe błędy pomiaru – obie balansują na granicy progu wyborczego. Nowa Lewica zwykle wypada nieco lepiej niż Razem (w niektórych badaniach – np. Pollster – wyprzedzając nawet Koronę Brauna), ale w niedawno opublikowanym badaniu CBOS partia Włodzimierza Czarzastego uzyskuje zaledwie 3 proc. poparcia, a Razem 4,9 proc.

Samodzielnie, a potem się zobaczy

Oba lewicowe elektoraty różnią się od siebie dość znacząco, choć w obu dominują kobiety. Razem, co pokazały choćby wyniki badania exit poll po wyborach prezydenckich w 2025 r., może liczyć przede wszystkim na wyborców przed trzydziestką (Zandberg uzyskał w tej grupie niemal 19 proc. głosów, podczas gdy reprezentująca Nową Lewicę Magdalena Biejat – 5,3 proc.), a także na mieszkańców największych miast, gdzie kandydat Razem miał poparcie niemal 10 proc. (w najmniejszych miastach 4,3 proc.). Wyborcy Nowej Lewicy są bardziej różnorodni pod względem wieku, a także wielkości miejscowości, w której mieszkają. I choć partie elektoratowo świetnie się uzupełniały, gdy startowały na jednej liście do Sejmu w 2023 r., dzisiaj wszystko wskazuje na to, że na powrót do współpracy wyborczej nie ma szans.

– *Do ewentualnych rozmów i decyzji wrócimy w lutym* – słyszymy w Nowej Lewicy, gdzie wciąż tlą się resztki nadziei na współpracę z Razem. – *Zandberg musi pamiętać o tym, że jego jedyną nadzieją na uczestniczenie we władzy jest współpraca z nami i partiami centro-liberalnymi. Alternatywą jest prawica i Braun. Chyba że oni chcą być zawsze w opozycji* – mówi nam ważny przedstawiciel Nowej Lewicy.

Razem jest natomiast nieugięte. „Skończyła się polityka miłości i naganianie na wspólną listę, bo z rządową koalicją po prostu nie ma możliwości wspólnego startu" – mówiła niedawno Owca w Radiu Wnet. Oba ugrupowania zwierają więc szyki, jeżdżą po Polsce i próbują podbudować się, by do wiosny – gdy nastanie moment ostatecznych decyzji – móc pokazać sobie nawzajem i światu, że w razie czego są gotowi startować jesienią do Sejmu samodzielnie. A potem się zobaczy.

MICHAŁ PIEDZIUK, JOANNA SAWICKA

eprasa.pl f2420985f2

Rozwojowiec plus

Marcin Horała, wcześniej jeden z bardziej znanych posłów PiS, to teraz druga osoba w Rozwoju Plus. Właśnie debiutuje jako wicemarszałek Sejmu. Odchodząc z PiS, podjął ryzyko. Ale niezbyt wielkie.



© MAREK WIŚNIEWSKI/PULS BIZNESU/FORUM

ANNA DĄBROWSKA

W kwietniu Marcin Horała awansował na wiceprezesa stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego Rozwój Plus, które ma się stać partią polityczną. – *W PiS było kilku wiceprezesów, a i tak wiadomo, kto podejmował decyzje. W naszym politycznym start-upie jestem jedynym wiceprezesem i mam poczucie dużej odpowiedzialności oraz sprawczości. Natomiast kluczowe decyzje podejmujemy wszyscy razem, nawet w tajnych głosowaniach. Święto demokracji, jak sobie żartujemy* – mówi Horała.

Jego dawny kolega z PiS widzi to inaczej: – *Wreszcie dochrapał się stanowisk, których Jarosław Kaczyński nie chciał mu dać.* 2 października Marcin Horała skończył 45 lat, a 9 października po raz pierwszy poprowadził obrady Sejmu.

Faktycznie w PiS jego kariera partyjna stała w miejscu. Przez cztery lata za rządów prawicy pełnił ministerialne funkcje i dawał wiele z siebie w kampaniach, ale w samej partii, na Nowogrodzkiej, nie awansował. Był wiceministrem najpierw w resorcie infrastruktury, a następnie w Ministerstwie Funduszy i Polityki Regionalnej, a także pełnomocnikiem do spraw budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego. Kiedy Kaczyński pozbywał się z partii byłego premiera i jego ludzi, Horała spadł ze stołka prezesa zarządu okręgu gdyńskiego PiS. Do Komitetu Politycznego, czy tym bardziej do jego Prezydium (słynnego PKP), nigdy nie był doproszony.

To pozwala dziś jego dawnym kolegom z PiS snuć opowieść o tym, że „prezes Kaczyński wiedział, co robi", bo „Horale zależało tylko na stanowisku i Mateusz mu je dał". – *Generalnie jednym z problemów w PiS było to, że pewna bardzo specyficzna grupa towarzysko-pokoleniowa, będąca tylko częścią formacji, obsiadła najwyższe gremia w partii i to w stopniu nieproporcjonalnym. Ja niewątpliwie byłem spoza tej grupy* – mówi dziś Marcin Horała. I dodaje, że ani jemu, ani jego kolegom z Rozwoju Plus nigdy nie chodziło o stanowiska, ale o wpływ na decyzje i kierunek. – *Otoczenie się przez prezesa Kaczyńskiego grupą tzw. maślarzy spowodowało u Jarosława Kaczyńskiego mylny* ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ *osąd, że reprezentują zdanie całej partii i że to dla PiS najlepszy kierunek, a w istocie był to interes frakcyjny.*

Spisek z Tuskiem?

W ostatnią sobotę w warszawskim Teatrze Palladium odbyła się konwencja Rozwoju Plus. Morawiecki przekonywał, że bez jego formacji „nie będzie można stworzyć dobrego rządu dla Polski". Stwierdził, że tworzy formację „fachowców, specjalistów, ludzi, którzy rozumieją te meandry polityki, w które jesteśmy wciskani". Horałę z pewnością do nich zalicza.

Wybór Horały na wicemarszałka jeszcze bardziej zaognił relacje Rozwoju Plus i PiS. Horała w głosowaniu nad stanowiskiem wicemarszałka otrzymał znacznie więcej głosów (254, zdobywając poparcie KO, PSL i części Lewicy) niż kandydat PiS Marcin Ociepa (176). W PiS o tym, że przegrają, wiedzieli długo przed głosowaniem. Są oburzeni, bo zgodnie z obyczajem sejmowym to ich klubowi jako największemu w Sejmie należy się wicemarszałek. Ale Ociepę zgłosili po prawie trzech latach, kiedy wyrosła im parlamentarna konkurencja po prawej stronie. Wcześniej PiS upierał się przy Elżbiecie Witek, która jako marszałkini Sejmu dla KO była symbolem łamania parlamentarnej demokracji, więc czekano na zgłoszenie innego kandydata.

Morawiecki wiedział, że zgłaszając Horałę, będzie oskarżany o zdradę, położył więc na stole propozycję powiększenia prezydium Sejmu, aby znalazło się w nim miejsce i dla PiS, i dla jego nowej formacji. – *Ale koledzy z PiS nie wykazali najmniejszej dobrej woli, aby z nami cokolwiek uzgodnić i uznać, że w ogóle istniejemy i jesteśmy godni zaszczytu rozmowy w tej sprawie* – mówi z uśmiechem Horała. Dodaje, że to PiS złożył Donaldowi Tuskowi rzeczywistą ofertę: wybierz Marcina Horałę na wicemarszałka, to na prawicy chwycą się za łby. Dla rządu to atrakcyjne, bo wiadomo było, że dawni koledzy z PiS będą oskarżać się o zdradę i przez chwilę nie będą zajmować się atakowaniem rządu. I ten scenariusz się zrealizował.

Mariusz Błaszczak z sejmowej mównicy zwracał się do „tych wszystkich, którzy czują się polskimi patriotami, którzy wybrali Karola Nawrockiego na prezydenta", aby patrzyli na to głosowanie. „Będzie pokazywało, czy zostanie wybrany na stanowisko wicemarszałka Sejmu polityk, który reprezentuje PiS, a więc realną, rzeczywistą opozycję wobec rządu Donalda Tuska, czy też przedstawiciel opozycji koncesjonowanej". I zachęcał, aby o wynikach tego głosowania pamiętać w przyszłorocznych wyborach.

Jarosław Kaczyński zaliczył Morawieckiego do „koalicji 13 grudnia" wraz z jego towarzyszami, którzy pozwalają Tuskowi realizować jego scenariusze.

– *Nie bądźmy śmieszni. Gdyby Marcin Ociepa z PiS został wicemarszałkiem głosami KO, to czy w partii Kaczyńskiego mówiliby, że jest koalicjantem Tuska?* – komentuje Horała.

Posłowie z jego dawnej partii przyznają, że Horała jest sprawny medialnie i marketingowo. Kiedy jesienią 2018 r. ruszała komisja śledcza ds. VAT, a Kaczyński postawił go na jej czele, Horała powtarzał, że luka w VAT to 8 tys. zł ukradzione każdemu Polakowi. A co PiS mógłby z tymi pieniędzmi zrobić? Podnieść o 500 zł każdą emeryturę albo z programu 500 plus uczynić 1500 plus lub „problem służby zdrowia rozwiązać pstryknięciem palcami". Takie to proste. O strategii Rozwoju Plus też prosto i jednym zdaniem: „Zamiast kłócić się, kto bardziej zepsuł samochód – naprawmy go i gaz do dechy".

Ale też zdarzają mu się wpadki, jak z wypowiedzią sprzed trzech lat o tym, że „jeżeli ktoś cokolwiek ukradł niezgodnie z procedurami, będzie musiał oddać". Chodziło o nagrody wypłacane w państwowych spółkach. Ironizowano później, że wobec tego według „prawa Horały" istnieje kradzież zgodna z procedurami, i mimo jego tłumaczeń ta fraza wciąż się za nim ciągnie.

CPK uziemia

Za Marcinem Horałą ciągnie się też sprawa Centralnego Portu Komunikacyjnego, niewykluczone, że będzie wzywany do prokuratury. W latach 2019–23 to właśnie na nim jako pełnomocniku rządu PiS ds. CPK spoczywała odpowiedzialność polityczna za ten projekt. Był jego twarzą. Rząd KO po licznych wewnętrznych audytach zdecydował o kontynuacji, ale w zmienionej i – jak mówił Donald Tusk – „urealnionej" formule, pod nazwą Port Polska.

W raporcie NIK z września 2025 r. napisano, że „Pełnomocnik Rządu do spraw CPK nierzetelnie sprawował nadzór nad realizacją inwestycji, nieprawidłowo definiował jej skalę i zakres realizacji, zakładając nieaktualne, nierealistyczne i niemożliwe do dotrzymania terminy". Za to premie dla zarządu płynęły znaczne. W 2023 r. trzyosobowy zarząd CPK otrzymał aż 746 tys. zł nagród, rok wcześniej zaś wówczas czteroosobowy zarząd – 730 tys. zł. Nagrody roczne przyznano, mimo że inwestycje nie weszły nawet w fazę realizacji. W ogniu krytyki znalazły się też wydatki promocyjne CPK, w tym na dwa z dziesięciu pikników w okręgu wyborczym Marcina Horały. On sam twierdził, że nie wie, dlaczego te pikniki odbyły się akurat u niego w regionie.

Mało tego: niespełna trzy tygodnie przed wyborami parlamentarnymi w Warszawie zorganizowano też wielką konferencję (za ok. 600 tys. zł), na której głos zabrał m.in. ówczesny prezydent Andrzej Duda i właśnie Horała. Chwalono postępy w realizacji projektu CPK, mówiąc o „historii sukcesu pisanej faktami".

Rok temu wybuchła afera z wyprzedażą gruntów pod CPK. Przypomnijmy, że kilkanaście dni przed oddaniem władzy resort rolnictwa sprzedał firmie Dawtona strategiczną, 160-hektarową działkę przeznaczoną pod CPK. Kiedy sprawa wyszła na jaw, Horała komentował: „Ja sam jestem wkurzony". Tłumaczył się, że informacja o transakcji kolegów z rządu po prostu do niego nie dotarła, i odgrażał się, że jego obóz nie będzie krył „czarnych owiec". Jednak dziennikarze wp.pl ujawnili, że gdy wiceprezes firmy Dawtona zabiegał o kupno hektarów, jego ojciec i brat dwa razy spotkali się z Marcinem Horałą. Drugie spotkanie miało miejsce tydzień przed wystawieniem działki na sprzedaż. Horała przyznaje, że spotkania z biznesmenami były kurtuazyjne i nie on podejmował decyzje o sprzedaży. Dziś w sprawie tej transakcji toczy się śledztwo. Ostatecznie Marcinowi Horale pozostało publiczne oburzenie, że nie miał wpływu na tak ważne sprawy, co stanowi dość osobliwe podsumowanie roli „pełnomocnika" rządu.

Pas startowy

Na Wiejską przyszedł w 2015 r., przerywając swoją trzecią kadencję radnego w Gdyni. Dziennikarze z Trójmiasta wspominają, że Horała szybko zbudował tu swoją markę. Kiedyś na radzie miasta stanęła sprawa zakupu luksusowego busa na potrzeby urzędu. Horała wyśmiał zbyt bogate, jego zdaniem, wyposażenie i na koniec przemowy położył przed

eprasa.pl f2420985f2



Za Horałą ciągnie się sprawa Centralnego Portu Komunikacyjnego, niewykluczone, że będzie wzywany do prokuratury. Na fot. **jedna z wizualizacji CPK.**

prezydentem Wojciechem Szczurkiem symboliczny gruby łańcuch w kolorze złota. Kiedyś na swoim blogu tak pisał o sobie: „Nie cierpię tego, co Amerykanie nazywają »small talk«, a ja paplaniem bez sensu o niczym, tych wszystkich społecznych konwenansów".

Dobrze radzi sobie w mediach, do studia przychodzi z notatkami, cytuje ustawy, sypie statystykami. Ktoś z PiS mówi, że nazywali go smerfem marudą, bo narzekał, że nie doceniają jego talentu. Ktoś wspomina historię sprzed lat, kiedy opisał na Facebooku, jak wpadł do kontenera na odpady, sięgając po wiaderko na śmieci. „Całkiem dobrego radnego na śmietnik wyrzucili". – *Marcin chce pokazać, że nie jest typem ważniaka, że ma dystans do siebie* – opowiada jego znajomy.

Studiował na Uniwersytecie Gdańskim – ukończył politologię i zaoczne prawo, choć na aplikację już nie zdawał. Wychowywany był przez matkę, radczynię prawną w państwowym zakładzie, z ojcem nie miał kontaktu. Szybko piął się po szczeblach w strukturach Unii Polityki Realnej (wstąpił tam w dniu 18. urodzin), trzymając przy tym stronę wewnętrznej opozycji wobec Janusza Korwin-Mikkego. Pierwszy zderzeniowy test wyborczy przyszedł w 2004 r. Jego start do europarlamentu dał skromne 500 głosów. Działał też w Powiernictwie Polskim – kontrze do niemieckiego Związku Wypędzonych – o którym zrobiło się głośno po spektakularnym spaleniu kukły Eriki Steinbach przed sądem w Gdańsku.

2004 r. był przełomowy w jego życiu. Ślub, zmiana pracy i partii na PiS. Ożenił się z Beatą, anglistką, którą poznał w kościelnej wspólnocie. Wychowują dziś troje dzieci. Z Eurobanku (był kasjerem) przeniósł się do Bałtyckiego Terminalu Kontenerowego. Dzięki dobrej znajomości angielskiego szybko awansował. W Gdyni wyrósł na lidera opozycji wobec Samorządności „wiecznego prezydenta" Wojciecha Szczurka. Twierdzi, że w Trójmieście było źle widziane być z PiS i być w opozycji do prezydenta Szczurka. Dwa razy w 2014 i 2018 r. Horała wystartował w wyborach przeciw Szczurkowi. Przegrywał, ale dostawał najlepsze wyniki ze wszystkich rywali Szczurka we wszystkich wyborach.

Lot pod wiatr

Teraz Horała dołączył do tych, którzy stanęli przeciw dominującym w PiS tzw. maślarzom – i Kaczyńskiemu. – *Uznaliśmy, że strategia prezesa Kaczyńskiego, która zamyka partię w getcie z 15-, góra 25-procentowym poparciem, da drugą kadencję KO. Staraliśmy się przekonać prezesa do bardziej otwartego kursu, poszerzającego poparcie. Niestety uznano nas za zagrożenie i usunięto z PiS. Dzisiaj zamknęliśmy ten rozdział, proponujemy nową opowieść i prezentujemy nowe propozycje dla Polski* – mówi Horała.

Wylicza, że przedstawili już trzy duże raporty o demografii, polityce migracyjnej i obronności. Potępia to, co obecny rząd robi, niszcząc jego zdaniem Trybunał Konstytucyjny, i przyznaje też, że PiS także popełnił błędy. Jednocześnie otoczenie Morawieckiego zakłada, że prawicowy elektorat wciąż z dużym sentymentem patrzy na dorobek rządów Morawieckiego – od którego dzisiejsza Nowogrodzka próbuje się dystansować.

Rozwój Plus przedstawił propozycję resetu TK. Chcą wyjść poza spór KO–PiS i wybrać sędziów od nowa w sposób apolityczny i ponadpartyjny. – *Budujemy alternatywę dla rozczarowanych wyborców tego rządu, dla rozczarowanych wyborców PiS, którzy nie poznają swojej partii, i dla wszystkich Polaków mających dość polityki jako październikowego teatru, w którym aktorzy obrzucają się wyzwiskami* – deklaruje Horała. Z Karolem Nawrockim łączą go dobre, jeszcze trójmiejskie relacje – co dziś na Nowogrodzkiej budzi rozdrażnienie. Prezydent zaraz po wygranych wyborach próbował nawet ściągnąć Horałę do Pałacu w randze ministra, ale ten podziękował, nie chcąc oddawać poselskiego mandatu. Wymyślił jednak formułę na obecność przy głowie państwa: stanął na czele zespołu Parlamentarzystów przy Prezydencie RP.

Spadek na próg

Horała mówi, że dziś sondażami się nie przejmuje, choć premii za świeżość nie dostali. Rozwojowcy Plus wierzą, że w wyborach za rok będą mieć co najmniej 12 proc, ale że możliwe jest i 15 proc. Wspólne listy z PiS wykluczają, ale wejście razem do centroprawicowej koalicji jest wielce pożądane. Im więcej zdobędą szabel, tym bardziej prezes będzie się musiał z nimi liczyć.

PiS wciąż jest osłabiony po odejściu Morawieckiego (20,7 proc. w średniej sondażowej we wrześniu przygotowanej przez Politykę Insight), ale notowania przestały spadać. Rozwój Plus ma 5,6 proc., czyli w okolicach progu wyborczego, i stracił w ciągu miesiąca 1,1 pkt. Morawiecki próbuje więc łowić wśród samorządowców. Powstają kluby radnych Rozwoju Plus. Partyjne barwy zmieniła żona Horały. Dzień przedtem, zanim został wicemarszałkiem, opuściła gdyński klub radnych PiS, który przestał istnieć z braku minimum trzech członków.

Rozwój Plus ma być rozsądną i pragmatyczną wersją PiS. Na wiosnę ogłoszą powstanie partii. Wyborczy sukces jest wątpliwy, Horała swój sukces już ma – do końca życia może być tytułowany marszałkiem.

ANNA DĄBROWSKA

© MATERIAŁY CPK

eprasa.pl f2420985f2

Pośmiertna terapia

Zakopane, Miechów, Legionowo, Gorzów. Intensywna terapia, śmierć pacjentów, zastraszanie lekarzy i bezpardonowe interwencje policji i prawników w procedury medyczne. To nowa „jakość" w polskich szpitalach, groźna dla całego systemu i pacjentów.



ZBIGNIEW BOREK

Najnowszy przypadek dotyczy pacjenta Szpitala Powiatowego im. dr. Tytusa Chałubińskiego w Zakopanem. Choć parametry medyczne wskazują, że ten człowiek nie żyje, osiemnasty dzień leży na oddziale intensywnej terapii podpięty pod urządzenia podtrzymujące czynności życiowe – wraz z pacjentami, którzy rzeczywiście walczą tam o życie. Lekarze nie orzekli formalnie jego śmierci, bo ich działania blokują krewni pacjenta, wynajęci przez nich prawnicy i policja, która najpierw żąda zabezpieczenia dokumentacji i nagrań z oddziałowego monitoringu, a w końcu wkracza na oddział, przepytuje i legitymuje zszokowanego lekarza.

Podobny przypadek zdarzył się w Szpitalu św. Anny w Miechowie (również w Małopolsce): przez sześć dni na oddziale intensywnej terapii obok żywych pacjentów leżała martwa kobieta pod respiratorem. Tam doszło do formalnego stwierdzenia śmierci

eprasa.pl f2420985f2

nawet dwukrotnie, jednak lekarze nie odłączali jej od aparatury sztucznie podtrzymującej pracę narządów życiowych. Stało się to na wniosek prokuratora, którego mąż pacjentki zawiadomił, że mordują mu żonę.

W ten ciąg zdarzeń można wpisać sytuację z Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wielkopolskim. Policja w biały dzień przed szpitalem zatrzymała lekarza, gdy miał rozpocząć kolejny dyżur, i zakuła w kajdanki. Na wniosek prokuratora wsadziła do aresztu, bo odłączając martwego pacjenta od aparatury, rzekomo go zabił.

W każdym z tych przypadków organa ścigania podejmowały decyzje bez opinii biegłych z zakresu ochrony zdrowia, wbrew aktualnej wiedzy medycznej i cywilizowanym standardom prawnym.

Mózg odżyje

W Zakopanem wszystko zaczęło się 26 września 2026 r. po południu, gdy do szpitala trafia 54-letni pacjent po zatrzymaniu krążenia. Wcześniej był poddany resuscytacji poza szpitalem, na miejscu lekarze ją kontynuują, podają adrenalinę, stosują defibrylację. Bez skutku. Nie uzyskują krążenia spontanicznego, czyli przywrócenia własnej, efektywnej akcji serca. Od zatrzymania krążenia mija już półtorej godziny, a statystyczna przeżywalność spada poniżej 1 proc., gdy trwa to tylko 30 minut. Rokowania są więc skrajnie złe.

Mimo to personel robi, co do niego należy. Wykonuje tomografię komputerową (wykazuje ciężkie uszkodzenie mózgu), angioplastykę wieńcową (wykazuje ciężkie uszkodzenie mięśnia sercowego), aplikuje leki. Dwa dni później, 28 września, zauważa zatrzymanie krążenia mózgowego, co oznacza, że człowiek nie żyje. Potwierdzają to specjaliści: radiologii, neurologii i diagnostyki obrazowej. Formalnie to jednak dopiero „podejrzenie śmierci".

Kolejnym krokiem w procedurze jest oficjalne stwierdzenie zgonu – zgodnie z obwieszczeniem ministra zdrowia z 4 grudnia 2019 r. „w sprawie sposobu i kryteriów stwierdzenia trwałego nieodwracalnego ustania czynności mózgu". To dla krewnych moment trudny: pracę organizmu sztucznie podtrzymuje respirator, a lekarze mają stwierdzić śmierć mózgu, która jest nieodwracalna i oznacza, że z punktu widzenia prawa i biologii człowiek nie żyje.

– *Cierpliwie i w przystępny sposób tłumaczyliśmy krewnym pacjenta każdy etap naszego postępowania. Uczciwie przedstawialiśmy również rokowania, bo nikomu nie możemy dawać fałszywej nadziei. Nie spotkało się to ze zrozumieniem* – mówi jeden z lekarzy. Inny: – *Usłyszeliśmy, że mózg może „odżyć" i się „odbudować".*

Rodzina pacjenta powiadomiła policję, że lekarze chcą go zamordować, odłączając od aparatury. Jeszcze tego samego dnia, 28 września, zakopiańska policja zażądała „nagrania wizyjnego z kamer wewnętrznych obejmujących OIOM oraz przedsionki". Nazajutrz aspirant sztabowy Przemysław Kot powiadomił, że wydział kryminalny komendy powiatowej prowadzi „postępowanie w sprawie narażenia na bezpośrednie bezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu". Poprosił o „zabezpieczenie" dokumentacji medycznej. Na oddział przyszło trzech mundurowych. Przepytywali lekarzy, czy nie odłączyli pacjenta, jakie mają zamiary, legitymują przynajmniej jednego z nich. – *To wszystko dzieje się na oczach innych pacjentów* – opowiada lekarz. Zaalarmowany sytuacją przedstawiciel dyrekcji szpitala poinformował policjantów, że bezprawnie ingerują w procedurę medyczną, zakłócają pracę oddziału, i stanowczo poprosił ich o jego opuszczenie. Poskutkowało.

W tym czasie do szpitala napływają już pisemne wezwania. Powołując się na pełnomocnictwo żony pacjenta, prawnik sprzeciwia się odłączeniu aparatury, żąda wyjaśnień i pełnej dokumentacji, dodatkowych konsultacji neurochirurga oraz zwołania konsylium, które miałoby wskazać dalsze „możliwości leczenia". Sprzeciwia się pobraniu „komórek, tkanek i narządów w celach transplantacyjnych", choć sprzeciw nie ma mocy prawnej, a zakopiańscy lekarze nie przymierzają się do tego, bo nie mogą. Prawo dopuszcza takie działania dopiero po formalnym stwierdzeniu zgonu. Wstrzymania procedur i przeniesienia pacjenta do innego szpitala domaga się z osobna jego brat, a także ktoś spoza rodziny. Wezwania są opatrzone dopiskami: „pilne". Autorzy żądają reakcji natychmiastowej, nawet „dwie godziny od doręczenia".

Na personel wylewa się fala nienawiści: huczą ulica i ogólnopolskie fora internetowe. „Mężczyzna już praktycznie był skazany na rozszarpanie na organy. I co się teraz okazuje? Wygląda na to, że jego stan się poprawia. Jeśli dobrze pójdzie, to ten człowiek do jakiegoś stopnia sprawności wróci. A już lekarze z Zakopanego postawili na nim krzyżyk" – na internetowym filmiku bez mrugnięcia okiem szczuje Tomasz Sommer, redaktor naczelny prawicowo radykalnego tygodnika „Najwyższy Czas!", człowiek z doktoratem z nauk społecznych. „Lekarze dziś za pieniądze zrobią wszystko" – komentuje internauta. Kolejni o lekarzach: dzicz przestępcza, bestie, łowcy skór, hieny, rzeźnicy, mafia w białych kitlach.

– *Odczuwamy niebywałą presję* – mówi nam jeden z zakopiańskich lekarzy. Nasi rozmówcy nie chcą ujawniać swoich danych. 30 września w szpitalu pojawiło się dwóch policjantów po cywilnemu. Pytali medyków, czy nie czują się zagrożeni, czy ktoś ich śledzi albo obserwuje lecznicę. Wszystko wskazuje na to, że dostali doniesienie o zagrożeniu dla personelu.

Teoria spisku

Na wniosek personelu sprawę wyjaśnia niezależny lekarz – dr Łukasz R. Nowak, konsultant wojewódzki w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii. Przyjeżdża do Zakopanego. Najpierw weryfikuje stan pacjenta i dokumentację medyczną. Nie znajduje błędów. Potwierdza trwałe i nieodwracalne uszkodzenie ośrodkowego układu nerwowego i to, że w mózgu ustał przepływ krwi, „co prowadzi do śmierci mózgu jako całości". Wskazuje, żeby kontynuować procedurę zgodnie z ministerialnym obwieszczeniem, czyli formalnie orzec zgon. Dalsze leczenie nazywa terapią daremną, której zakazują prawo i etyka lekarska.

2 października dr Nowak spotyka się z rodziną 54-letniego pacjenta: żoną, synem i bratem, którym przekazuje swoje ustalenia. Krewni odrzucają jednak rozpoznanie śmierci mózgu jako „wymysł biznesu transplantacyjnego". Powołują się na opinię prof. Jana Talara, który głosi spiskową teorię, że śmierć mózgu nie istnieje, ale służy zbyt pochopnemu pobieraniu narządów do przeszczepów. W 2023 r. Naczelna Rada Lekarska uznała, że prof. Talar wprowadza w błąd opinię publiczną i podważa zaufanie do zawodu lekarza, ale rodzina pacjenta z Zakopanego przez ponad godzinę domagała się od konsultanta dalszych badań i obserwacji.

W Zakopanem jest dziś kłopot ze skompletowaniem zespołu lekarzy do ostatecznego orzeczenia śmierci pacjenta. – *Boją się nie tylko internetowego hejtu, ale tego, co może ich spotkać w życiu realnym* – mówi jeden z nich. Przewidział to prof. Mirosław ▶

© SHUTTERSTOCK

eprasa.pl f2420985f2

▶ Czuczwar, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Anestezjologii i Intensywnej Terapii. – *Lekarze mogą obawiać się rozpoznawać śmierć mózgu* – mówił nam, gdy pod koniec września na portalu polityka.pl opisaliśmy sprawę pacjentki Szpitala św. Anny w Miechowie.

Krewni pacjenta odrzucają rozpoznanie śmierci mózgu jako „wymysł biznesu transplantacyjnego".

Mrożenie lekarzy

W połowie sierpnia tego roku na oddział intensywnej terapii w Miechowie trafiła 43-letnia ofiara wypadku drogowego. Lekarze walczyli o jej życie, ale nastąpiła śmierć mózgu. Co potwierdziły dwukrotnie komisje z udziałem specjalistów – zgodnie z obwieszczeniem ministra. Mimo to mąż pacjentki postanowił – jak pisał na Facebooku – poruszyć niebo i ziemię, żeby ją „ratować".

Zastępca prokuratora rejonowego w Miechowie Łukasz Rożek wystosował do Szpitala św. Anny pismo, że mąż pacjentki zamierza złożyć „zawiadomienia w przedmiocie usiłowania zabójstwa wyżej wymienionej przez personel medyczny z uwagi na podjęcie decyzji o odłączeniu aparatury medycznej podtrzymującej życie". Nie wskazując podstawy prawnej, prokurator domagał się „wstrzymania z realizacją powyższej procedury". Pismo nie miało mocy prawnej, ale skutek był taki, że ciało pacjentki przez sześć dni po orzeczeniu śmierci przez drugą komisję było podłączone do respiratora. Aparaturę odłączono na początku września, gdy podtrzymywane sztucznie serce kobiety samoistnie przestało bić. Prokuratura nadal prowadzi postępowanie (w „sprawie", a nie „przeciwko"), wystąpiła o opinię biegłych na temat zastosowanych w szpitalu procedur, a tamtejsi lekarze wciąż mierzą się z hejtem.

Prof. Maciej Żukowski, konsultant krajowy, krytykował prokuraturę za nieuprawnioną ingerencję w procedury medyczne. – *To absolutnie kuriozalna sytuacja o trudnych do przewidzenia konsekwencjach dla pracy lekarzy w Polsce* – mówił z kolei prof. Czuczwar. Wskazywał, że na to, co wydarzyło się w Miechowie, powinny zareagować ministerstwa zdrowia i sprawiedliwości oraz izby lekarskie, bo działania prokuratury grożą efektem mrożącym, a ucierpi na tym cały system ochrony zdrowia i pacjenci. W pierwszej kolejności ci, dla których z powodu podtrzymywania czynności życiowych martwych osób może zabraknąć miejsca na oddziałach intensywnej terapii. W Miechowie i Zakopanem jest zaledwie po kilka łóżek.

W drugiej kolejności mogą ucierpieć ci, którzy już tam są, bo to dla nich obciążenie psychiczne i ryzyko epidemiologiczne, efekt mrożący może zaś pogorszyć sytuację pacjentów oczekujących na przeszczep. Tak się stało po wypowiedzi ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry z 2007 r. o zatrzymaniu kardiochirurga Mirosława Garlickiego: „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie". Garlicki wygrał proces o naruszenie dóbr osobistych, ale wypowiedź Ziobry przyczyniła się do kryzysu polskiej transplantologii.

– *Wydawało mi się, że skoro nie przypadek Garlickiego, to doktora Kadukhi raz na zawsze przekona prokuratorów, żeby w sprawach medycznych posiłkowali się opiniami biegłych* – komentuje prof. Czuczwar. Zatrzymanie i aresztowanie Andrija Kadukhi, 27-letniego rezydenta szpitala wojewódzkiego w Gorzowie, ujawniliśmy na naszym portalu przed dwoma laty. Opinia biegłych z czerwca 2026 r., którą prokuratura zamówiła z poślizgiem, wskazuje, że nie przyczynił się do śmierci pacjenta. Prokuratura zamówiła opinię uzupełniającą, dlatego na lekarzu nadal ciąży zarzut zabójstwa 86-letniego pacjenta, którego po stwierdzeniu zgonu odłączył od urządzeń sztucznie podtrzymujących czynności życiowe. W obronę Kadukhi zaangażowały się jednak samorządy i organizacje lekarskie oraz osoby zaufania publicznego. Gdyby nie to i nagłośnienie sprawy, młody lekarz do dziś mógłby siedzieć w areszcie.

Rachunek

Organa ścigania ingerowały również w pracę oddziału anestezjologii i intensywnej terapii szpitala w Legionowie. To placówka Wojskowego Instytutu Medycznego – Państwowego Instytutu Badawczego. Trafiła tam kobieta w średnim wieku po przebytym w domu zatrzymaniu krążenia. Lekarze leczyli ją zgodnie ze standardami, ale wkrótce stwierdzili brak odruchu źrenicznego, olbrzymi obrzęk mózgu i całkowity brak przepływu krwi przez mózg. Formalne stwierdzenie śmierci usiłowali zablokować krewni pacjentki. Powiadomili prokuraturę o planowanym rzekomo w szpitalu zabójstwie (wszczęła postępowanie sprawdzające), w obecności innych pacjentów wyzywali lekarzy od morderców. Szpital wezwał policję. Sześciu mundurowych przez półtorej godziny wypraszało kilkunastu krewnych z oddziału, żeby lekarze mogli sfinalizować wymaganą prawem procedurę stwierdzenia zgonu.

W sprawie z Miechowa instytucje publiczne zdają się umywać ręce. Starostwo powiatowe, które nadzoruje Szpital św. Anny, uznało, że to nie jest problem prawny, tylko etyczny, i powinien się tym zająć samorząd lekarski. Prezes Okręgowej Rady Lekarskiej w Krakowie Marzena Ksel-Teleśnicka „co do zasady nie komentuje przebiegu czynności procesowych w sprawach karnych w ich toku". Ministerstwo Zdrowia też „nie jest właściwe do oceny legalności czynności podejmowanych przez prokuratora". Prokuratura Krajowa objęła sprawę monitoringiem, a na poziomie Prokuratury Regionalnej w Krakowie przewidywane są szkolenia z zagadnień opisanych w artykule POLITYKI. Ingerencję lokalnego prokuratora w procedurę medyczną uznała jednak za współdziałanie ze szpitalem „w celu zapobiegania przestępczości i innym naruszeniom prawa", jak napisała rzeczniczka Anna Adamiak. Tyle że to przepis zbyt ogólny i żadnego współdziałania nie było. Prokuratura wezwała do wstrzymania procedury odłączenia martwej pacjentki od respiratora, nie reagowała na informacje, że formalnie stwierdzono jej zgon, i czekała, aż „problem" rozwiąże się sam.

W Gorzowie prokuratura trzeci rok prowadzi śledztwo w sprawie zabójstwa, którego lekarz miałby dokonać w szpitalu w obecności innych osób z personelu. Na ten cel idą pieniądze podatników. Kosztuje także sztuczne podtrzymywanie pracy narządów ciała pacjentów, którzy nie żyją, jak w Miechowie, albo których śmierć wymaga jedynie formalnego potwierdzenia, jak w Zakopanem. Doba na oddziale intensywnej terapii w Polsce kosztuje od 5,4 tys. zł do ponad 10 tys. zł. Wymiaru ludzkiego, etycznego i prawnego nie sposób oszacować, ale pewne jest jedno: jeśli nie wesprzemy lekarzy, zapłacimy za to wszyscy.

ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl f2420985f2

Dziecko na pół

Tata i mama się rozwodzą, a co z dziećmi? Rozmowa z psycholożką Justyną Żukowską-Gołębiewską w oczekiwaniu na nowelizację prawa rodzinnego w kwestii m.in. opieki naprzemiennej.



ILUSTRACJA **MARTA FREJ**

MARTYNA BUNDA: **– Czy opieka naprzemienna ma sens?**

JUSTYNA ŻUKOWSKA-GOŁĘBIEWSKA: – Wszystko zależy od tego, czy rodzice wciąż potrafią wspólnie być rodzicami. Bardzo też pomaga, gdy mieszkają blisko siebie. W przypadku dzieci do piątego roku życia badacze nie są zgodni, czy to nie jest szkodliwe rozwiązanie. Niektórzy wskazują, że także małe dzieci mogą funkcjonować w takim modelu, o ile ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ rodzice są odpowiednio uważni na ich potrzeby, ale część ekspertów jest bardzo sceptyczna. Dla trzylatka silnie związanego emocjonalnie z matką kilkudniowe rozłąki bez możliwości kontaktu mogą być przeżyciem bardzo trudnym i zaburzać jego poczucie bezpieczeństwa.

Ale przecież także nastolatek może być akurat na takim etapie rozwoju, że potrzebuje spędzać więcej czasu z jednym, konkretnym rodzicem. Więc żeby ten model miał sens, nie można projektować go jako sztywnego 50 na 50, tydzień w tydzień. Jeżeli po jakimś czasie układ zmienia się w 70 na 30 i rodzina funkcjonuje dzięki temu lepiej, nie znaczy to, że poprzednich kilka lat było błędem. Rozwód nie zwalnia od współpracy w sprawach dziecka.

Rozwodzący się często sądzą, że opieka naprzemienna oznacza brak alimentów. Czasem to, a nie dobro dziecka, przesądza, że bardzo o nią walczą.

Opieka naprzemienna nie oznacza braku alimentów. To jeden z mitów, które bardzo szkodzą dyskusji. Koszty utrzymania dziecka nie znikają dlatego, że czas jest podzielony na pół. Rodzice mogą mieć bardzo różne dochody, mogą ponosić różne stałe wydatki. Dziecko ma pewne potrzeby niezależnie od tego, czy akurat śpi u mamy, czy u taty.

Polskie ustawodawstwo właśnie zmierza w stronę uczynienia z opieki naprzemiennej standardowego rozwiązania.

Wówczas powinno pójść za tym lepsze przygotowanie rodziców do rozumienia, czym ona jest. Bo jeśli będzie traktowana jako sposób na uzyskanie symetryzmu w prawach rodziców, to stanie się to kosztem realnych potrzeb dziecka.

Czy dziecko zawsze powinno mieć kontakt z obojgiem?

Jest takie przekonanie, że dzięki biologicznej więzi każdy kontakt jest dobry. To nieprawda. Jeżeli rodzic jest niebezpieczny, przemocowy, poważnie zaniedbuje dziecko albo wykorzystuje kontakt do jego krzywdzenia, był nieobecny lub zajmował się dzieckiem w sposób nienależyty, to bezpieczeństwo ma pierwszeństwo nad relacją. Trzeba jednak być bardzo ostrożnym również w drugą stronę. Nie każda dziecięca niechęć do rodzica dowodzi, że rodzic jest niebezpieczny. Wymaga to specjalistycznej diagnozy całego systemu rodzinnego.

I wtedy możliwa jest opieka stopniowana. Czyli co?

Sprawdzanie, czy relację da się odbudować metodą małych kroków. Krótkich spotkań, na początek przy wsparciu osób trzecich, np. drugiego rodzica, o ile nie zakłóca swoją obecnością tego spotkania, ewentualnie innej osoby bliskiej dziecku wyznaczonej przez sąd, kuratora czy psychologa. Najgorsze jest myślenie, że albo dziecko natychmiast spędzi cały weekend z rodzicem, albo „kontaktów nie ma", bo pomiędzy tymi skrajnościami mieści się bardzo dużo możliwości.

Jak wiele w tej kwestii powinno zależeć od dziecka?

Im dziecko starsze i bardziej dojrzałe, tym jego głos powinien ważyć więcej. Ale znowu – wysłuchanie dziecka to nie to samo co obciążenie go decyzją. To ogromna różnica. Możemy zapytać 12-latka, jak czuje się w obecnym układzie, co działa, co się sprawdza, a czego mu brakuje, co jest dla niego trudne. Nie powinniśmy jednak mówić: „Wybierz, z kim chcesz mieszkać". Bo to jest postawienie dziecka w konflikcie lojalnościowym.

W praktyce dzieci często bywają wciągane nawet w zbieranie dowodów przeciwko drugiemu rodzicowi.

Niestety tak. Nagrywanie drugiego rodzica za pomocą dyktafonu wszytego w misia czy podsłuchiwanie przez smartwatch, przepytywanie dziecka po powrocie, robienie zdjęć, sprawdzanie telefonu, pytania: „Kto tam był? Co tata powiedział? Czy mama znowu piła wino?". Dziecko staje się informatorem. To jest zachowanie niszczące relacje dziecka z drugim rodzicem, bo przestaje ono swobodnie doświadczać relacji z bliskimi. Wie, że po powrocie czeka je zdanie raportu.

Czasem to przepytywanie bierze się z lęku, czy drugi rodzic dobrze traktuje dziecko.

Pytanie, jakie jest źródło tego lęku. Oczywiście, kiedy człowiek został zdradzony, porzucony, oszukany, skrzywdzony, ma prawo czuć złość i rozpacz, można jednak być złą żoną dla konkretnego partnera i jednocześnie kompetentną matką. Beznadziejnym mężem i całkiem sprawnym ojcem. W rodzicielstwie bardzo ważne jest liczenie kosztów. A te koszty ponosi również dziecko. „Walcz do końca, choćby przez dziesięć lat" – to może być fatalna strategia, bo jeżeli ktoś ma na stole dziesięć lat dzieciństwa swojego dziecka, musi wiedzieć, jaką cenę dziecko zapłaci za tę walkę. Jeśli przez kilka lat jego życie będzie polegało na kolejnych przesłuchaniach, opiniach, badaniach, interwencjach policji, kuratorach i awanturach pod domem, trzeba się zastanowić, co my tak naprawdę robimy.

Wracamy do pytania, od którego wyszłyśmy: czy rodzice, pomimo rozstania, potrafią wciąż wspólnie być rodzicami? Jak to zrobić, żeby się dało?

Odcinając wszystkie skrajne sytuacje, jak przemoc, najwięcej zależy od tego, jak przebiegło rozstanie i kiedy nastąpiło. I oby nie następowało za późno. Moje pokolenie wychowywano jeszcze w przekonaniu, że bycie rodzicem polega na trwaniu obok siebie, w małżeństwie „dla dobra dziecka", a czasem właśnie dla dobra dziecka lepiej jest rozstać się na tyle wcześnie, żeby dało się jeszcze funkcjonować zgodnie w rolach rodziców. Zbyt długie trwanie w bardzo złej relacji często na zawsze przekreśla szansę na wspólne bycie rodzicami.

Siedmiolatek może powiedzieć: „Mamo, jeśli odejdziesz od taty, ja tego nie przeżyję". Co wtedy?

Trzeba potraktować jego emocje całkowicie poważnie, ale nie można przekazać mu odpowiedzialności za decyzje dorosłych. Możemy powiedzieć: „Rozumiem, że bardzo tego nie chcesz. Rozumiem, że to jest dla ciebie trudne i że się boisz". Ale siedmiolatek nie może podejmować decyzji o życiu swoich rodziców. Gdybyśmy uznawali dziecko w tym wieku za zdolne do podejmowania wszystkich najważniejszych decyzji, razem z aktem urodzenia dostawałoby prawa wyborcze. Dzieci nie zawsze chcą tego, co w dalszej perspektywie jest dla nich dobre. I właśnie po to mają rodziców, żeby to oni decyzje podejmowali. Dziś już wiemy, że – wbrew niektórym popularnym parę dekad temu badaniom sugerującym, że rozwody odpowiadają za zaburzenia psychiczne u dzieci – samo rozstanie rodziców nie jest tak istotnym czynnikiem ryzyka późniejszych problemów dziecka jak dynamika tego rozstania i to, co dzieje się przed nim oraz po nim.

Nowsza wiedza każe patrzeć na to znacznie szerzej. Jaki był poziom konfliktu? Czy występowała przemoc? Czy dziecko zostało wciągnięte w walkę dorosłych? Czy rodzice potrafili po rozwodzie nadal brać za nie odpowiedzialność? Czy dziecko zachowało relację z obojgiem bezpiecznych rodziców? I to są właśnie realne czynniki ryzyka. Opieka naprzemienna może je wzmacniać albo osłabiać.

A jeśli rodzice już nie potrafią niczego zrobić razem?

eprasa.pl f2420985f2

W gabinecie słyszę nieustannie: „Robię to wszystko dla dobra dziecka” – tyle że czasem widzę, że pod tym hasłem kamufluje się potrzeba ukarania byłego partnera, uzyskania potwierdzenia własnej krzywdy, wygrania procesu, udowodnienia, kto był lepszym małżonkiem albo kto jest lepszym rodzicem. W takich sytuacjach trudno jest pomóc rodzinie, a opieka naprzemienna jest wyjątkowo niekorzystnym rozwiązaniem.

Czym jeszcze – oprócz poziomu konfliktu – powinien sugerować się sąd, wyznaczając rodzicom opiekę naprzemienną?

Powinien brać pod uwagę np. to, jak przez lata rodzice funkcjonowali. Czy bardzo partnersko – oboje odwozili dzieci do szkoły albo przedszkola, chodzili do lekarzy, znali nauczycieli, potrafili zadbać o obiad, wiedzieli, kto jest najlepszym przyjacielem dziecka i czego ono boi się przed snem – czy też ten podział był bardzo tradycyjny. Przejście do współdzielonej opieki jest czymś dużo bardziej naturalnym w przypadku partnerskiego modelu opieki jeszcze sprzed rozstania. Jeżeli natomiast przed rozwodem obowiązywał bardzo tradycyjny model, w którym jedno z rodziców zabezpieczało rodzinę finansowo, a drugie wykonywało większość codziennej pracy opiekuńczej, nie możemy udawać, że dzień po rozwodzie historia tej rodziny przestaje istnieć. Możemy oczywiście budować relacje z dzieckiem na nowo. Ale na to potrzeba czasu.

Ważny jest też wiek dziecka. Jeśli ma już szkołę, przyjaciół, zajęcia, coraz więcej własnego życia, nagle się okazuje, że logistycznie najważniejsze nie jest to, czy tata ma pięknie urządzony pokój dziecięcy, ale czy z jego domu można w rozsądnym czasie dojechać do szkoły i czy dziecko może spontanicznie spotkać się z kolegami. Rodzice czasem patrzą na opiekę z własnej perspektywy: „Mam warunki, mam osobny pokój, dam sobie radę”. A trzeba jeszcze zapytać, czy ten układ jest najlepszy dla dziecka.

Dwie szczoteczki do zębów można kupić. Dwie grupy przyjaciół – już niekoniecznie…

No właśnie. W opiece naprzemiennej dziecko funkcjonuje w dwóch środowiskach, dwóch rytmach, czasem w bardzo różnych zestawach zasad. Musi pamiętać, gdzie zostały podręczniki, strój na WF, ładowarka, ulubiona bluza. Dorośli często mówią: „Przecież to nic wielkiego”. Wtedy zdarza mi się pytać: „A jak czulibyście się, gdybyście sami musieli co kilka dni przeprowadzać się z jednego mieszkania do drugiego?”. I nagle się okazuje, że większość dorosłych uważałaby to za bardzo obciążające. Nie mówię tego po to, żeby odradzać opiekę naprzemienną. Chodzi o uczciwe oszacowanie jej kosztów i korzyści.



Justyna Żukowska-Gołębiewska – absolwentka Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej w Warszawie na kierunku psychologia kliniczna. Psychotraumatolożka, terapeutka dziecięca, mediatorka w sprawach rodzinnych.

Jest też model gniazdowy: dziecko zostaje w jednym domu, przenoszą się rodzice.

Tak, i on doskonale pokazuje pewien paradoks: jeżeli największym argumentem przeciwko ciągłym zmianom domu jest destabilizacja dziecka, możemy przecież zostawić dziecko w jednym miejscu i rotować dorosłych. Tylko że bardzo szybko się okazuje, że dorośli nie są w stanie odnaleźć się w formule cotygodniowego pakowania walizek. A im gorzej funkcjonują oni, tym gorzej znosi to dziecko. Do tego dochodzą ogromne koszty. Potrzebujemy praktycznie trzech przestrzeni: domu dla dziecka i dwóch miejsc, w których rodzice mieszkają poza swoim „dyżurem”. A kiedy pojawiają się nowe związki i kolejne dzieci, robi się to jeszcze bardziej skomplikowane. Model gniazdowy może działać, ale dla wielu rodzin jest niewykonalny. I to również jest ciekawa lekcja – czasem oczekujemy od dziecka czegoś, czego sami bardzo nie chcielibyśmy robić.

A co, kiedy rodzicom wydaje się, że model naprzemienny działa, a dziecko, nastolatek, mówi: „Nie będę już tak jeździć, tydzień w tydzień”?

Należy go wysłuchać. To nie znaczy, że nastolatek od tej chwili samodzielnie zarządza całą rodziną. Ale im starsze dziecko, tym większe znaczenie ma jego autonomia i własne życie. Wtedy upieranie się przy harmonogramie tylko dlatego, że „tak zasądził sąd”, może być kompletnie oderwane od życia. W rodzicielstwie, zwłaszcza po rozwodzie, ciągłe liczenie czasu to jedna z największych pułapek. Jeżeli chcemy budować z dzieckiem dobrą relację również w dorosłości, musimy zaakceptować, że z czasem jego świat będzie coraz mniej organizowany wokół nas.

Dochodzą jeszcze inne problemy. Mama pozwala na korzystanie z telefonu, ojciec – nie. Matka wymaga dobrych ocen, ojciec chciałby, żeby dziecko czytało książki, ale broń Boże nie było kujonem…

Rodzice mieszkający razem również nie wychowują dzieci identycznie. A dziecko zwykle potrafi funkcjonować w trochę różnych środowiskach. Znów: problemem jest nie sama różnica, ale skrajność i wzajemne podważanie autorytetu. Jeżeli jeden rodzic mówi: „Mama ma głupie zasady”, to jest to już wciąganie dziecka w konflikt. Podobnie jeśli drugi rodzic dokumentuje każde zadrapanie po powrocie dziecka i natychmiast interpretuje je jako dowód zaniedbania. Dzieci mają siniaki, brudzą ubrania, zapominają pracy domowej, rodzicom zdarza się popełniać błędy. Wspólne rodzicielstwo wymaga pewnego kredytu zaufania.

Z drugiej strony – nie jest dobrze przegapić przemoc.

Przemoc w byłym związku jest dla mnie zasadniczym przeciwwskazaniem do opieki naprzemiennej. Jeśli jedna osoba boi się drugiej, to jak ma z nią swobodnie negocjować szkołę, leczenie czy wakacje? Jeśli przemoc po rozstaniu polega na kontroli, nękaniu, wykorzystaniu procedur albo ciągłym wymuszaniu kontaktu, to system opieki naprzemiennej może wręcz stworzyć kolejne narzędzia przemocy. Dziecko staje się wtedy łącznikiem pomiędzy dorosłymi. Powodem do nieustannych wiadomości, telefonów, spotkań i sporów. Dlatego pomysł, że narzucenie 50 na 50 „zmusi rodziców do współpracy”, w rodzinie przemocowej jest szczególnie niebezpieczny.

Czy sądy dostatecznie dobrze rozpoznają tę różnicę?

Nie zawsze. Zdarzają się sprawy, w których konflikt i przemoc są mylone. A to może prowadzić do bardzo złych decyzji. Sąd widzi dwoje rodziców, którzy nie potrafią się porozumieć, i myśli: „Podzielmy czas po równo, może wtedy skończą walczyć”. Tymczasem w relacji, w której istnieje przemoc, brak porozumienia nie wynika z tego, że oboje są jednakowo uparci. Czasami jedna osoba próbuje się ochronić, a druga – utrzymać kontrolę. Jeżeli potraktujemy to jako zwyczajny „konflikt wysokiego stopnia”, problem może sie utrwalić.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f2420985f2



Kto zabił Marka Papałę?

Czy policja chroni zabójcę swojego generała? Rozmowa z Markiem Siewertem, analitykiem kryminalistycznym, o być może najważniejszym – i najbardziej kompromitującym – polskim śledztwie.

VIOLETTA KRASNOWSKA: **– Zasłynął pan wykryciem sprawców głośnego napadu i morderstwa w warszawskim Kredyt Banku. Zaraz potem, w 2002 r., komendant główny policji Antoni Kowalczyk poprosił, by przyjrzał się pan śledztwu w sprawie zabójstwa 25 czerwca 1998 r. w Warszawie gen. Marka Papały. W książce „Sprawa Papały. Największa porażka polskiej policji" pisze pan, że polegało ono na tym, by „zawalić sprawę tysiącami, setkami tysięcy stron, rozmyć wszystko, prowadzić w jednym pasującym kierunku, a najlepiej nigdy nie wyjaśnić i mieć otwartą furtkę w szukaniu, bo może kogoś uda się do tego podpiąć". Kto miał w tym interes?**

MAREK SIEWERT: – To była wina właściwie jednej policjantki, szefowej grupy „Generał", która była główną prowadzącą to śledztwo. Zawładnęła nim i nie dopuszczała do niego policjantów z grupy. Praktycznie prowadziła je sama. Przeważająca większość dokumentów procesowych i operacyjnych była przez nią wytworzona. Prokurator ufał jej bezgranicznie i praktycznie pozostawił jej możliwość pełnego działania.

Zacznijmy od początku.

Od razu po zabójstwie sprawą zajęła się Komenda Stołeczna Policji. Ta policjantka praktycznie zgłosiła się do tego śledztwa na ochotnika.

Co robiła wcześniej?

Była zwykłą policjantką w wydziale dochodzeniowo-śledczym, gdzie zajmowała się pożarami. Prowadziła śledztwa, gdy spaliła się hala, stodoła, magazyn czy cokolwiek innego. Nie miała pojęcia o sprawach dotyczących przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, o zabójstwach już nie wspominając. Nigdy nie prowadziła żadnej z tego typu spraw. Nie znała się na formach i metodach tej pracy operacyjnej.

eprasa.pl f2420985f2

To dlaczego została powołana na szefową grupy „Generał”?

Była wygadana, miała dar przekonywania. Ówczesny dyrektor Biura Kryminalnego KGP, który na początku był szefem grupy, uznał, że ona będzie właściwą osobą do dalszego prowadzenia sprawy. Dziwne to było.

Jak wyglądało to śledztwo?

Na samym początku policjanci z Komendy Stołecznej przyjęli cztery wersje śledcze: mógł to zrobić policjant, który miał jakąś złość do generała; mógł to być ktoś z bliskiego kręgu rodziny albo np. czyjś zazdrosny mąż czy przyjaciel, bo jak wiadomo, koło ludzi władzy pojawia się dużo kobiet. Według innej wersji do zabójstwa doszło w wyniku napadu rabunkowego, którego celem miała być kradzież samochodu. Z tego, co wyczytałem w materiałach, to ta wersja wydawała się policjantom najbardziej prawdopodobna, ale nie podobała się politykom ani mediom. Najwyższy rangą policjant mógł zginąć w taki błahy sposób? To niemożliwe. Kazano ją „zarzucić” i skupić się na wątku spisku i zorganizowanego zamachu. Zabrano śledztwo do Komendy Głównej i tam już było prowadzone pod kierunkiem nowej szefowej.

Jak się do niego zabrała?

Wymyśliła, że to zabójstwo ma związek z polityką na styku z biznesem i przestępczością zorganizowaną. Miała fobię na tle przecieków i w związku z tym stworzyła swoją prywatną tajną kancelarię. Sama sobie dekretowała dokumenty, sama nadawała im sygnatury i rejestrowała je w szkolnych zeszytach. Znajdowałem je później, jak już miałem dostęp do jej szaf. Taki zeszyt można było wyrzucić do kosza i wytworzyć taki sam, ale już o nowej treści. To coś, z czym nigdy wcześniej ani później się nie spotkałem.

Co było w tych notatkach?

Jej własne zapiski z rozmów z bandytami, bo przesłuchiwała wszystkich sama, w pojedynkę. Do tego popełniała jeden z kardynalnych błędów, czyli przechodziła z bandytami na „ty”. Artur Zirajewski („Iwan”) siedzący w więzieniu za zabójstwo, członek tzw. gangu płatnych zabójców, który zeznawał o zleceniu zabójstwa Papały przez polonijnego biznesmena Edwarda Mazura ludziom z gangu pruszkowskiego, mówił do niej po imieniu. Ona go odprowadzała do łazienki, robiła herbatę, kawę, woziła go w pojedynkę samochodem po mieście, wstawała od biurka, bo widziała łzy w jego oczach, i przytulała jak matka. Podobne przypadki stwierdziłem także w kontakcie z innymi bandytami, chociażby z przestępcą o pseudonimie „Sztubowy”.

Tłumaczy w książce to, że nie brała drugiego policjanta, bo to prowadziło do walki samców, „chęć pokazania, który jest lepszym menem”.

Tak się nie robi. Zbierała informacje, dokumentowała je, a później nie poddawała żadnym analizom. Więcej, ukrywała bardzo ważne materiały i nie dołączała ich do akt. Zirajewski stał się głównym świadkiem, ale co chwilę zmieniał zeznania.

To on po kliku miesiącach od zabójstwa generała, gdy groziło mu dożywocie, wskazywał na Ryszarda Boguckiego, biznesmena, który kręcił się przy Nikosiu, i na „Słowika” z gangu pruszkowskiego jako uczestników spotkania z Mazurem, gdzie miano omawiać zlecenie zabójstwa „dużego psa”.

Później sam przyznał, że mówił praktycznie to, co chciała usłyszeć szefowa grupy „Generał”. Raz zrobiła niejawne przeszukanie w jego celi i znalazła notatnik. Pisał tam, że wszystkie informacje, które do tej pory przekazał policji, są kłamstwem. Że robi to, żeby coś dla siebie ugrać. I mu się udało. Z dożywocia obniżono mu karę do 15 lat. Pisał, że dzięki swoim konfabulacjom korzysta z wyjść, a nawet intymnych widzeń ze swoją Madzią. Szefowa grupy „Generał” przekazała prokuratorowi, że w notatniku nie ma niczego ciekawego, i nie włączyła go do akt. Było to poświadczenie nieprawdy i wprowadzenie w błąd prokuratora.

Zwrócił na to uwagę sąd. Że np. nie włączała do akt oświadczeń świadków, że ich zeznania są nieprawdziwe albo że chcą się z nich wycofać, jak nie dostaną nadzwyczajnego złagodzenia kar. Co zrobiliście, pan i inni analitycy, którzy przyglądali się temu śledztwu?

Chodziliśmy do komendantów, zarówno w 2002 r., jak i w okresie 2008–09, informując ich, co się dzieje w tym śledztwie. W raportach opisaliśmy wszystkie nieprawidłowości.

Dlaczego nikt z tym nic nie zrobił?

Komendanci główni policji czuli, że to śledztwo nie jest prowadzone, jak należy. I dlatego powoływali grupy analityków, w tym dwa razy mnie, w 2002 r. i potem jeszcze w 2008 r., w myśl zasady: „Kowal ma po to szczypce, żeby się nie musiał parzyć”. Nie chcieli się poparzyć, a każda ingerencja była odbierana przez szefową grupy jako wynik nacisków ludzi, którzy – jej zdaniem – stoją za zabójstwem. Myśleli, że jak napiszemy analizę, to ktoś z prokuratury ją przeczyta i może sam złoży wniosek, żeby zmienić osobę prowadzącą śledztwo. Ale tak się nie stało. Ze strony prokuratury był całkowity brak zainteresowania wnioskami analityków.

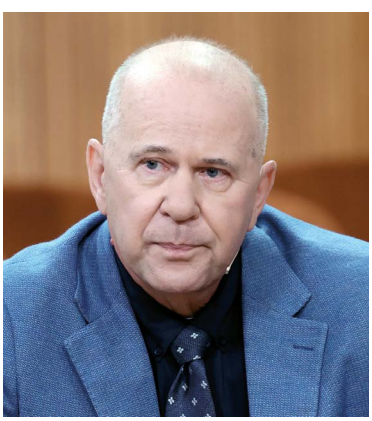
W 2007 r. przy okazji wniosku o ekstradycję Mazura amerykański sąd ocenił zeznania Zirajewskiego jako niewiarygodne, bo pełne sprzeczności. Odrzucił też dowód z okazania mu Mazura, bo jako jedynego w szeregu ubrano go w czerwoną kurtkę. Teraz szefowa grupy „Generał” tłumaczy tę wpadkę pośpiechem, a prokurator – przeoczeniem.

Z okazaniem Boguckiego wdowie po Papale, która była na parkingu, gdy padł strzał, też było nie tak, jak należy. Za to powinny być zarzuty. Bo okazanie jest czynnością, którą się wykonuje raz.

A jak było?

Najpierw wdowie pokazano tablice poglądowe, gdzie było zdjęcie Boguckiego. Nie rozpoznała nikogo. Potem okazano jej Boguckiego drugi raz i on też wyraźnie wyróżniał się spośród reszty, przewyższał wszystkich posturą. Wtedy ▶

Marek Siewert – emerytowany policjant wydziału zabójstw Komendy Stołecznej Policji, następnie Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji. Analityk kryminalistyczny wielokrotnie nagradzany za swoją pracę. Wytropił sprawców napadu na Kredyt Bank w Warszawie, brał udział w śledztwie dotyczącym zabójstwa byłego ministra sportu Jacka Dębskiego, analizował też akta sprawy zaginięcia Iwony Wieczorek. Wspólnie z dziennikarzem Grzegorzem Głuszakiem napisał książkę „Sprawa Papały. Największa porażka polskiej policji”.



© SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL, KRZYSZTOF KUCZYK/FORUM

eprasa.pl f2420985f2

▶ go wskazała, reagując zresztą bardzo emocjonalnie. Dla mnie to było dziwne. Jeżeli wcześniej w mediach widziała jego zdjęcia, to dlaczego nie przyszła do Komendy Głównej, mówiąc: „To ten"? Myślę, że chciała, żeby to śledztwo już się zakończyło.

Policja mówiła nam przez lata, że wykrycie sprawcy zabójstwa byłego komendanta głównego to sprawa honorowa. I pozwalała tak ją prowadzić?

Tak, sprawę przekazano osobie, która się na tym nie znała.

A śledztwo trwało, stając się workiem, do którego wrzucano różne dziwne rzeczy.

Było wykorzystywane jako pretekst, żeby zbierać haki. W pewnym momencie się zorientowałem, że nie chodzi już o zabójstwo Papały. Kiedy Zbigniew Ziobro doszedł do władzy, wzywał do siebie szefową grupy „Generał". Zaczęto pod tę sprawę doczepiać ludzi z polityki, biznesu. Trudno by było np. wszcząć kontrolę operacyjną czy wziąć billingi jakiegoś ministra albo podsekretarza stanu, ot tak sobie. Żeby sąd wyraził zgodę na taką kontrolę, musiała dotyczyć konkretnej sprawy. A do jakiej sprawy najlepiej podłączyć kontrolę operacyjną? Do zabójstwa komendanta głównego policji. Znajdowałem później w szafach sterty billingów, wielostronicowe protokoły przesłuchań, a to jakiegoś podsekretarza stanu, doradcy ministra czy kogoś związanego z biznesem lub polityką. Na końcu padało pytanie: „Co pan wie na temat zabójstwa generała Marka Papały?". Odpowiedź: „Nic, tyle co z gazet". Na tym protokół kończono. Później, kiedy Ziobro chciał skompromitować opozycję, to za pomocą Zirajewskiego doczepiono do sprawy Leszka Millera.

W końcu o podżeganie do zabójstwa Marka Papały oskarżeni zostali Ryszard Bogucki i „Słowik". Bogucki dodatkowo o współudział, bo miał być na miejscu zbrodni. Sąd ich jednak uniewinnił, uznając dowody za „kruche". Stwierdził m.in., że Bogucki nie mógł być na miejscu zbrodni o godzinie 22.00, bo o 21.00 był w Łodzi. To wcześniej nie sprawdzono jego alibi?

Szefowa grupy „Generał" – nie. Mało tego, już w 2008 r., gdy z nią rozmawiałem, to powiedziała, że sama nie wierzy w udział Boguckiego. Ale nic nie zrobiła, żeby Boguckiego zwolnić z aresztu śledczego. Czasami mówiła: „Posiedzi, to zmięknie".

Sędzia wyraził zdziwienie, że nie wskazano motywu zabójstwa. Pan już w pierwszej analizie, w 2002 r., pisał, że chodziło o kradzież samochodu, a sprawcą jest Igor Ł. („Patyk"). Nikt tego poważnie nie potraktował.

Więcej, ja dostałem zakaz interesowania się „Patykiem", bo okazał się cennym świadkiem, który zeznał, że Bogucki był na miejscu zabójstwa. Później znalazłem starą notatkę z rozmowy majora ABW z „Patykiem", w której przyznaje, że był tam, żeby ukraść czerwony samochód. Ta notatka została schowana. Nikt nie pociągnął tematu. A nie był to zwykły złodziej samochodów, tylko bandyta dokonujący brutalnych napadów na kierowców. W policyjnej bazie KSIP jego nazwisko wyświetlało się na czerwono z informacją: „Uwaga, może posiadać broń palną".

„Patyk" faktycznie posiadał broń i w trakcie napadów przykładał ją kierowcom do głowy. Tak było np. w sprawie o kryptonimie „Holender". Dotyczyła napadu rabunkowego z bronią na obywatela Holandii, który jechał Mercedesem. Został zatrzymany przez sprawców jadących Polonezem metodą „na koło". Gdy się zatrzymał i wysiadł, z Poloneza wyskoczyło dwóch mężczyzn, w tym jeden z pistoletem, który przyłożył mu do głowy. Holender na tablicach poglądowych rozpoznał „Patyka". W sprawie Papały wyglądało to podobnie, tylko broń była niesprawna i miała tzw. lekki spust. Doszło do szamotaniny, generał miał poodrywane guziki od koszuli i ślady zadrapań na twarzy. Podczas szarpaniny „Patyk" pociągnął za spust. To nie było zabójstwo z zamiarem bezpośrednim.

Biegli nie znaleźli na twarzy generała śladów osmologicznych, które wskazywałyby, że strzał oddano z bliska.

Były ślady drobin prochu. Były też ślady wskazujące na walkę lub odruchy obronne. Który zawodowy zabójca idzie zastrzelić komendanta głównego policji z nie do końca sprawną bronią i pozostawia łuskę? „Patyk" przychodził tam wcześniej przez trzy dni. Daewoo Espero, którym jeździł generał, to był nowy, dobry, policyjny samochód z dwulitrowym silnikiem. Nadawałby się do, nowej wtedy, metody napadów na tiry przez fałszywych policjantów. Marek Papała bał się, żeby auto nie zostało skradzione, dlatego trzymał je w garażu. Tamtego wieczoru zaparkował pod blokiem, bo wpadł do domu tylko na chwilę i miał jechać na dworzec po teściową. „Patyk" z drugim członkiem grupy byli schowani nieopodal i kiedy Papała zaparkował, wygaszał światła i zaczął wysiadać, doskoczyli do niego.

Ale w 2023 r. „Patyk" został prawomocnie uniewinniony.

W sprawie katowickiej dotyczącej kradzieży samochodów „Patyk", starając się o status świadka koronnego, musiał się ze wszystkiego wyspowiadać i zeznał, gdzie przechowywał broń, ile, jaką, ile samochodów ukradł, kogo napadł. Napadł na Danutę Waniek, ukradł auto Krzysztofowi Cugowskiemu i wielu innym znanym osobom. Tam był świadkiem, a świadek musi mówić prawdę. W sprawie o zabójstwo gen. Papały był oskarżonym, mógł pleść, co mu ślina na język przyniesie. I mówił już zupełnie co innego: „Nigdy broni nie miałem, narkotyków nie brałem, nie zamierzałem ukraść samochodu". I zeznania, które składał jako świadek, już się nie liczyły. Jakby ich nie było.

Według sędziego wersja o tym, że „Patyk" niechcący nacisnął spust, jest mało prawdopodobna. Pana świadka uznał za niewiarygodnego.

Świadek, który zeznawał przeciwko „Patykowi", stresował się, jąkał i sąd przyjął, że jest niewiarygodny. Bzdura. Jak usłyszałem ten wyrok, to mi ręce opadły. „Patyk" zastrzelił generała Papałę, a polska policja wraz z prokuraturą nadała mu status świadka koronnego i ustawiła mu życie na południu Europy, płaciła pensję, załatwiła pracę i mieszkanie. Takiego precedensu nie ma chyba na świecie. Polska policja chroni zabójcę swojego generała. I jeszcze teraz chce mu dać 3,5 mln zł w nagrodę.

To odszkodowanie za areszt w sprawie zabójstwa Papały.

Według mnie wygląda to wszystko okropnie i nie powinno się wydarzyć w realiach normalnego państwa.

ROZMAWIAŁA VIOLETTA KRASNOWSKA

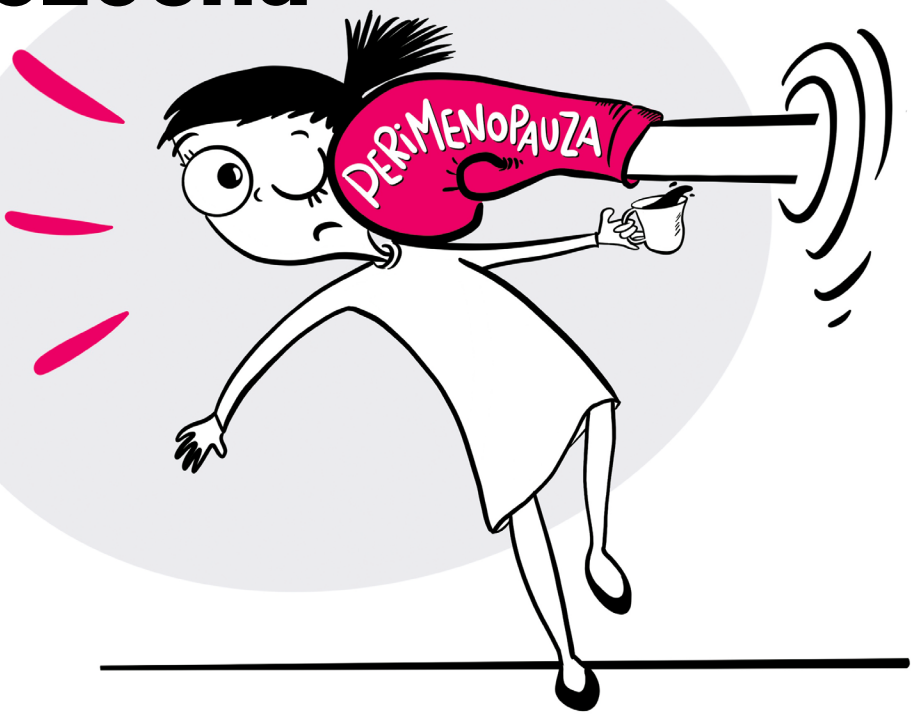
PS Jak ustaliła POLITYKA, do Sądu Najwyższego wpłynęła właśnie kasacja prokuratury w sprawie wyroku uniewinniającego „Patyka" od zabójstwa gen. Marka Papały.

Powołaną w 1998 r. specgrupą „Generał" przez 12 lat kierowała inspektor M.W., z tytułem pełnomocnika komendanta głównego Policji do sprawy zabójstwa gen. Marka Papały. W 2010 r. odeszła na emeryturę, na której przebywa do dziś.

eprasa.pl f2420985f2

Menopauza wciąż ma twarz rozdrażnionej 50-latki z uderzeniami gorąca. Tymczasem może się zacząć dużo wcześniej i dawać objawy, których ani kobiety, ani lekarze długo z nią nie łączą.

Przedwczesna pauza



ILUSTRACJE **GOSIA TCHORZEWSKA/@GOTEK RYSUJE**

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

Menopauza jest fizjologicznym etapem życia kobiety. Zwykle pojawia się około pięćdziesiątki. Gdy występuje między 40. a 45. rokiem życia, mówimy o wczesnej menopauzie. Jeśli nastąpi przed czterdziestką, potocznie określa się ją jako przedwczesną menopauzę, a w nomenklaturze medycznej – jako przedwczesną niewydolność jajników (POI, *Primary Ovarian Insufficiency*). Tyle że pierwszym sygnałem, że organizm zaczął działać według tylko sobie znanego kalendarza, nie zawsze są stereotypowe uderzenia gorąca.

Julia: czas, którego nie było

Julia była dokładnie tam, gdzie miała być. Sprawnie wspinała się po szczeblach kariery, w najbliższych latach miała zdobyć ich jeszcze kilka, a potem zwolnić. Planowała, że mając ok. 39 lat, urodzi pierwsze dziecko, a zaraz po czterdziestce drugie, bo od zawsze wiedziała, że chce mieć dwójkę. Późno? Powyżej średniej krajowej (według GUS Polki rodzą pierwsze dziecko w wieku 29,5 roku), ale przecież czasy tak szybko się zmieniają. Kobiety decydujące się na macierzyństwo grubo po trzydziestce już nikogo nie dziwią, a nawet te rodzące po czterdziestce przestają być anomalią.

– *W trakcie rutynowego ginekologicznego USG lekarz zapytał, czy mam dzieci. Odpowiedziałam, że jeszcze nie, mam dopiero 33 lata i sporo czasu* – opowiada Julia. – *Wtedy usłyszałam, że moja rezerwa jajnikowa jest tak mała, że jeśli chcę mieć dziecko, muszę zajść w ciążę w ciągu roku.*

Dla Julii ta informacja była szokiem. Nigdy dotąd nie słyszała od żadnego z lekarzy, że cokolwiek może być nie tak z jej płodnością. Plan musiał ulec natychmiastowej modyfikacji. Problem był jeden: brak potencjalnego ojca.

Znalezienie odpowiedniego mężczyzny zajęło jej prawie dwa lata. O dziecko zaczęli się starać po siedmiu miesiącach znajomości, zakładając, że ze względu na niską rezerwę jajnikową zajmie im to sporo czasu – jeśli w ogóle się uda. Dwie kreski na teście pojawiły się jednak już po drugiej próbie, a ciąża przebiegła książkowo. Julia odzyskała nadzieję, że jej dziecko nie będzie jedynakiem, a lekarz – no cóż – najwyraźniej się pomylił albo nie znał na swojej robocie.

Gdy syn miał 14 miesięcy, zakończyła karmienie piersią i wróciła do pracy. Kilka tygodni później zaczęła się słabo czuć. Niepokoiły ją brak energii, uczucie na przemian zimna i gorąca czy mgła mózgowa uniemożliwiająca czasem napisanie prostego maila. Mimo że wszyscy dookoła uspokajali, że po porodzie i przy małym dziecku takie wyczerpanie jest normalne, zdecydowała się zrobić badania.

– *Lekarz popatrzył mi w oczy i powiedział: „Pani Julio, pani ma zaawansowaną menopauzę". Odpowiedziałam: „Panie doktorze, to niemożliwe, przecież ja dopiero co urodziłam dziecko!". A on: „Pani ma poziom hormonów jak 54-, 55-letnia kobieta".*

Ginekolożka-endokrynolożka dr n. med. Katarzyna Skórzewska rozwiewa medialne opowieści o tym, że możemy oszukać czas: – *Lubimy powtarzać, że dzisiejsza czterdziestka to dawna trzydziestka. Nie – dzisiejsza czterdziestka to biologicznie dzisiejsza czterdziestka. Nasze jajniki są tak samo 40-letnie jak 20 lat temu, a przez styl życia i środowisko bywają nawet „bardziej 40-letnie"* – tłumaczy. Ekspertka podkreśla, że jeszcze dwa–trzy lata temu mówiło się, że POI dotyka jedną na 100 kobiet. Najnowsze statystyki pokazują, że to już 3,8 na 100.

Gdyby nie ostrzeżenia pierwszego lekarza, Julia dziś nie miałaby dziecka. Jednak cena, jaką płaci za macierzyństwo na progu menopauzy, jest ogromna. – *Jestem z natury żywiołowa, a wychowywanie małego dziecka w menopauzie jest po prostu straszne. Nie mam siły na nic. Pomimo wdrożenia terapii hormonalnej są dni, że nie mam siły wstać z łóżka. Śpię po pięć godzin, wybudzam się o trzeciej w nocy, jestem chronicznie zmęczona. Żyję jak stara babcia, a mam jeszcze 20 lat do emerytury* – opowiada. ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ Do fizycznego wycieńczenia dochodzi paraliżujący wstyd i poczucie wykluczenia. O jej diagnozie wie zaledwie kilka osób. – *Na kobietę ze zdiagnozowaną menopauzą patrzy się w naszym kraju tak, jakby się już skończyła* – wyznaje. – *W pracy absolutnie nikt nie może się dowiedzieć, bo zaraz zaczną mówić, że każdy mój błąd lub zły humor to kwestia menopauzy.*

Rok temu rozstała się z ojcem dziecka. Zrozumieli, że pospieszyli się z zakładaniem rodziny – tak naprawdę jeszcze się wtedy nie znali. Julia boi się, że z powodu przedwczesnej menopauzy żaden mężczyzna jej nie zechce i do końca życia będzie sama. O swoim samopoczuciu próbowała rozmawiać z mamą, ale usłyszała, żeby nie przesadzała, bo „każdej kobiecie po czterdziestce sypią się hormony". Z przyjaciółkami o menopauzie nie rozmawia. – *A co kobiety w moim wieku mogą wiedzieć na ten temat?*

Jej jedynym marzeniem jest przespanie całej nocy, czego nie doświadczyła od czasu ciąży. Udała się nawet do psychiatry, ale przepisanych leków nie wykupiła. Obawia się uzależnienia, utraty kontroli nad życiem i ostatecznego przyznania przed samą sobą, że „nie daje rady".

Kinga: nie histeryzuj

Kinga też długo trzymała się wersji, że daje radę i wcale nie musi być mamą. Jej historia to opowieść o systemowych błędach i zaniechaniach lekarskich.

Najpierw była ginekolożka, która prowadziła ją od czasów nastoletnich. Na skargi pacjentki, że co miesiąc przeżywa katusze, słyszała to, co niejedna dziewczyna i kobieta w Polsce: „taka pani uroda", „miesiączka musi boleć", „urodzi pani, to wszystko minie".

Gdy miała 30 lat, podczas badania lekarka zdiagnozowała guz i odesłała ją na onkologię. W szpitalu od razu ją uspokojono – to na pewno nie nowotwór, lecz typowa torbiel endometrialna. Diagnoza brzmiała o wiele lepiej niż rak i potwierdzała, że przez te wszystkie lata Kinga nie histeryzowała, tylko zmagała się z zaawansowaną endometriozą.

Choroba była już na tyle rozwinięta, że poza prawym jajnikiem objęła jelito i pęcherz. W Dzień Kobiet w 2016 r. Kinga trafiła na stół operacyjny. Zmiany były tak rozległe, że usunięto prawy jajnik, by ratować sąsiednie narządy, w tym drugi jajnik.

Po operacji zmieniła ginekologa na takiego, który specjalizuje się w leczeniu endometriozy. Dość szybko doszedł do wniosku, że jeśli pacjentka chce myśleć o dziecku, należy przeprowadzić drugą operację, aby oczyścić organy. Wielogodzinny zabieg odbył się dokładnie rok po pierwszym: 8 marca 2017 r.

– *Po wybudzeniu dowiedziałam się, że choć w dokumentach z pierwszej operacji miałam informację, że prawy jajnik usunięto w całości, spory jego fragment został i dalej szalała na nim endometrioza, która zajęła także drugi* – opowiada ze wzburzeniem.

Przy tak agresywnej chorobie oczyszczenie lewego jajnika było bardzo trudne i w efekcie rezerwa jajnikowa zaczęła gwałtownie spadać, aż wyniosła zero. Potem wypadki potoczyły się lawinowo: do procedury in vitro potrzebowali komórki jajowej dawczyni, ale jej znalezienie graniczyło z cudem z powodu rzadkiej grupy krwi Kingi. Następnie okazało się, że potrzebny jest także dawca nasienia, więc dziecko nie miałoby wspólnych genów z żadnym z rodziców. Ostatecznym ciosem była decyzja o wycofaniu przez rząd dofinansowania do in vitro.

– *Zaczął się fizyczny koszmar: nocne poty i całkowity brak sił. Na przemian wyłam z rozpaczy i rzucałam przedmiotami. Ostatnią miesiączkę miałam w wieku 33 lat, ale nawet koniec tych koszmarnych bólów mnie nie cieszył* – wspomina. – *Przez chwilę myśleliśmy o in vitro za granicą, ale nie mieliśmy już na to siły. Stwierdziliśmy: trudno, nie będziemy rodzicami. Rozpoczęliśmy budowę domu, o którym marzyliśmy.*

– *W przypadku POI natychmiastowe wdrożenie hormonalnej terapii menopauzalnej (HTM) jest obligatoryjne. Tu nie eksperymentujemy i nie czekamy* – podkreśla dr Skórzewska. – *Kobieta w wieku 30–35 lat nie może zostać bez estrogenów na 15–20 lat przed czasem. Terapia do ok. 52.–54. roku życia jest profilaktyką osteoporozy, chorób układu krążenia, zaburzeń metabolicznych czy problemów kognitywnych.*

Dzięki włączeniu HTM fizycznie Kinga poczuła się dużo lepiej. A gdy nachodziły ją wątpliwości dotyczące decyzji o zarzuceniu marzeń o macierzyństwie, tłumaczyła sobie, że przecież nie potrzebuje dziecka, i wracała do codzienności. Wydawało się, że wszystko idzie ku dobremu.

Aż do świąt Bożego Narodzenia cztery lata po menopauzie. – *Wszystko nagle wybuchło: brak dziecka, błędy lekarzy, przedwczesna menopauza, poczucie, że jestem stara, relacje z moją rodziną i słowa znajomej, że nie jestem prawdziwą kobietą* – Kinga wylicza na jednym wydechu i urywa.

Mama Kingi do dziś utrzymuje przed bliskimi, że córka po prostu przez nieuwagę połknęła za dużą dawkę leków. – *Nie wytrzymałam, wykrzyczałam rodzinie, że doskonale wiedziałam, co robię.*

Po tych wydarzeniach Kinga trafiła pod opiekę psychiatry i rozpoczęła psychoterapię. Powoli przepracowuje traumę. Czuje się lepiej, choć ból z powodu braku dziecka nie minął – różnica polega na tym, że przestała go wypierać.

Gosia: to nie jestem ja

Historie Julii i Kingi łączy nie tylko to, że przedwczesna menopauza okrutnie wpłynęła na ich plany macierzyńskie, ale też to, że zanim zaczęły odczuwać jej skutki, miały świadomość, że coś złego dzieje się z ich organizmem. A nie zawsze tak to wygląda i pacjentka swojego nietypowego samopoczucia może długo nie łączyć ze zmianami hormonalnymi.

Gdy dziś 42-letnia Gosia Tchorzewska skończyła 38 lat, nie miała pojęcia, że w jej ciele rozpoczyna się rewolucja. – *Byłam potwornie zmęczona, ale tłumaczyłam sobie, że to kwestia pracy. Zawodowo zajmuję się graphic recordingiem, czyli rysowaniem na żywo na konferencjach biznesowych. Potrafię rysować po 12 godzin bez przerwy, więc brak sił wydawał się uzasadniony* – opowiada. – *A poza tym to się zaczęło zaraz po pandemii, gdy każdy nietypowy objaw przypisywaliśmy skutkom covidu. Zresztą jestem córką lekarza, wychowaną w duchu, że jak krew się nie leje, to nie ma się co ze sobą pieścić.*

Jednak gdy do problemów gastrologicznych i stanów depresyjnych doszły koszmarne zmęczenie, nieustępujące nawet po kilkutygodniowym urlopie, oraz uczucie, jakby miała niekończący się PMS, Gosia postanowiła skonsultować się z zaufaną ginekolożką. Znała swój organizm i podejrzewała, że przyczyna może być hormonalna. Lekarka uśpiła jej czujność jednym zdaniem: „Nie masz jeszcze 40 lat, to na pewno nie menopauza".

Tak się zaczął wycieńczający i kosztowny maraton po gabinetach. Gosia prześwietliła całe ciało: rezonanse, tomografie, dziesiątki badań krwi. Gdy pojawił się koszmarny ból prawej ręki, od kciuka aż po bark, wpadła w panikę. Dla freelancerki żyjącej z rysowania oznaczało to widmo utraty źródła utrzymania. Ortopedzi i fizjoterapeuci rozkładali ręce.

eprasa.pl f2420985f2

Słowniczek pojęć

POI – przedwczesna niewydolność jajników (*Primary Ovarian Insufficiency*). Dawniej: przedwczesne wygasanie jajników (dziś uznane za stygmatyzujące). Ustanie czynności jajników przed 40. rokiem życia.
Wczesna menopauza. Menopauza występująca między 40. a 45. rokiem życia.
Perimenopauza (okres okołomenopauzalny). Dawniej: klimakterium lub przekwitanie. Czas od pierwszych wahań hormonalnych do roku po ostatniej miesiączce.
Menopauza. Ostatnia miesiączka w życiu kobiety (rozpoznawana po 12 miesiącach bez kolejnego krwawienia). Zwykle występuje między 45. a 55. rokiem życia.
Postmenopauza. Okres rozpoczynający się rok po ostatniej miesiączce i trwający do końca życia.
HTM – hormonalna terapia menopauzalna. Dawniej: HTZ (hormonalna terapia zastępcza). Od określenia „zastępcza" odchodzi się, gdyż terapia nie zastępuje całej czynności jajników, lecz łagodzi objawy i chroni zdrowie.



Badano przepływy prądu w nerwach, kręgosłup, ale wyniki wciąż były w normie. A ból pojawił się też w drugiej ręce.

Do tego dołączyły niezrozumiałe lęki przed jazdą samochodem, drastyczne spadki ciśnienia, puchnięcie stawów, migreny i bezsenne noce w mokrej od potu pościeli. Kolejni specjaliści odsyłali ją do psychiatry, zarzucali symulowanie, a jeden zapytał prawie 40-letnią kobietę: „A co się pani roi w tej ślicznej główce?".

– *To klasyczny scenariusz w perimenopauzie* – potwierdza dr n. med. Katarzyna Skórzewska. – *Pacjentki krążą latami między kardiologiem, reumatologiem, gastrologiem a psychiatrą.* Tymczasem typowych objawów huśtawki hormonów, spadku i falowania ich stężenia, opisano aż 28: stany lękowe, zaburzenia emocjonalne czy bóle stawów pojawiają się znacznie wcześniej niż klasyczne uderzenia gorąca.

Przełom u Gosi nastąpił na siłowni, gdzie chodziła na treningi personalne, by opanować ciągłe przybieranie na wadze (kilkanaście kilogramów w dwa lata). – *Przede mną ćwiczyła obca dziewczyna. Gdy zobaczyła, że na oba nadgarstki zakładam usztywniacze, spytała: „Bolą cię nadgarstki? U mnie od tego zaczęła się menopauza"* – wspomina. – *Poleciła mi podkast o objawach perimenopauzy. Szczęka mi opadła do ziemi – miałam je wszystkie! Poza uderzeniami gorąca, bo mi dla odmiany było wiecznie zimno. Obca laska z siłowni zdiagnozowała mnie trafniej niż 30 lekarzy w ciągu kilkunastu miesięcy!*

Ostatecznie diagnozę potwierdziły badania hormonów, choć droga do nich była ciężka. Gosia robiła je dotąd w dniach, w których miała więcej siły, bo w tych gorszych prawie nie wstawała z łóżka. Bardzo ciężko było zgrać te rzadkie momenty lepszego samopoczucia z konkretnymi dniami cyklu, w których bada się hormony.

– *Dwa lata po wizycie, na której usłyszałam, że jestem za młoda na menopauzę, przyjaciółka przetransportowała moje zwłoki do laboratorium. I dopiero gdy udowodniłam lekarzom, że potrafię mieć estradiol na poziomie 500, a dwa dni później 12, uznali, że mam perimenopauzę, a nie chorobę psychiczną.*

Dwa tygodnie po wdrożeniu HTM Gosia spędziła dzień na konferencji, wieczorem przygotowała kolację, a potem z energią zabrała się do czyszczenia fug w łazience.

– *Przedwczesna perimenopauza zabrała mi dwa lata życia. Z jednej strony wolałabym, aby ten koszmar się nie wydarzył, ale z drugiej czuję wdzięczność, że stało się to tak wcześnie. Mam czas na przygotowanie się do starości. Chodzę na treningi siłowe i dbam o białko w diecie, żebym w przyszłości nie łamała kości przez osteoporozę. Po pięćdziesiątce pewnie trudniej byłoby mi się zmobilizować i wyrobić lepsze nawyki.*

Z myślą o kobietach, które – tak jak kiedyś ona – zmagają się z niewiedzą, Gosia prowadzi projekt „To nie jestem ja" – rysunkowy pamiętnik menopauzalny (toniejestemja.pl). Nazwa wzięła się stąd, że przez dwa lata czuła, że przestaje być sobą. – *Kiedy dostaję maila od czytelniczki, która pisze: „Przeczytałam Twój wpis, poszłam się zbadać i zdiagnozowałam perimenopauzę", po prostu siedzę i ryczę ze wzruszenia. Nie wymyśliłam szczepionki na raka, ale jestem dla kogoś tą „obcą laską z siłowni". A to czasem wystarczy, aby kolejna kobieta nie musiała przechodzić tego koszmaru sama, a menopauza przestała być jakąś wstydliwą tajemnicą. Przecież to czeka każdą z nas – połowę ludzkości!*

AGNIESZKA GIERCZAK-CYWIŃSKA

eprasa.pl f2420985f2



Byłam kurierką

Rozmowa z Katarzyną Dudą, autorką książki „Uberyzacja. O warunkach pracy kurierów”, o tym, jakim szefem jest algorytm, i o ludziach, którzy dowożą nam posiłki, mierząc się z radykalną samotnością i wyzyskiem.

NATALIA SAWKA: **– Uber wchodził na rynek z hasłem: „Bądź swoim własnym szefem”. Pani zdaniem lepszym szefem jest człowiek czy algorytm?**

KATARZYNA DUDA: – Wielu kurierów mówiło mi, że nie ma kogoś, kto rano zleca im zadania, stoi nad głową i ocenia efekty pracy. Łatwo więc uwierzyć, że nikt tobą nie zarządza. Tymczasem ktoś nadal decyduje o stawkach, ustala zasady tej pracy i sposób przydzielania zleceń, a na końcu czerpie z tego zyski. Może i szef zniknął z pola widzenia, ale nie zniknęło zarządzanie pracą. W tym systemie właściwie wszyscy znikają sobie z oczu. Klient nie ma kontaktu z restauracją

eprasa.pl 1242098512

i kurierem, a kurier ma coraz mniej kontaktu z kimkolwiek. Technologia bardzo ułatwia więc podtrzymywanie narracji, że jesteś wolny, bo nie masz szefa.

Czyli Michael Scott z „The Office" ze swoimi dziwactwami i żartami byłby lepszym szefem niż algorytm?

Na pewno platformy nie pozwalają sobie na otwarcie aroganckie czy chamskie komunikaty, które można spotkać na naszym rynku pracy. Dla wielu kurierów, szczególnie tych, którzy wcześniej pracowali w gastronomii i zetknęli się z takim „januszowym" modelem zarządzania, może to być wręcz lepsze doświadczenie. Aplikacje nieźle potrafią „w marketing". Oferty pracy są kolorowe, lekkie i zabawne. Jest mowa o elastyczności, nagrodach i zarabianiu po swojemu. Nie ma zmęczenia, złej pogody, stresu ani trudnych warunków pracy. Praca jest prosta i przyjemna. To pudrowanie rzeczywistości.

Praca, w której pracownik gra z algorytmem?

Im bardziej zaawansowany system zarządza pracą kuriera, tym trudniej zrozumieć, na jakich zasadach on działa. Kurier zaczyna więc uczyć się tego algorytmu metodą prób i błędów: tanie zlecenia odrzuca i czeka na lepsze, więc w pewnym sensie zaczyna grać z aplikacją, która organizuje jego pracę i decyduje o jego zarobkach. Najlepiej widać to na przykładzie bonusów. Platforma proponuje, by zrealizować 15 zamówień danego dnia. Jeśli ci się uda, dostaniesz dodatkowe 80 zł. Mechanizm wprost zaczerpnięty z gier: jest zadanie, licznik i nagroda za osiągnięcie celu. Problem zaczyna się, kiedy kurier po 14 zrealizowanych zamówieniach godzinami czeka na kolejne, ale ono się nie pojawia. Wie, że o tej porze i w tym miejscu zlecenia zwykle przychodzą. Nie wie natomiast, dlaczego aplikacja nie przydziela mu kolejnego. Został namówiony do intensywnej pracy z obietnicą premii, ale ostatecznie jej nie dostaje.

Czyli algorytm mnie wyrolował, a ja nie wiem dlaczego i nawet nie mam jak tego sprawdzić.

No właśnie. I tu gamifikacja łączy się z problemem nieprzejrzystości algorytmu. Kurier nie wie, dlaczego dostał konkretne zlecenie, a innego nie. Nie wie też, na jakich zasadach system podejmuje te decyzje. W efekcie mechanizmy znane z gier mogą skutecznie skłaniać do intensywniejszej pracy.

Dlaczego zatrudniła się pani jako kurierka?

Wiedziałam, że praca kuriera musi stać się częścią mojej książki. Chciałam poczuć emocje, bez których ten obraz byłby niepełny. Wiem, że praca dorywcza nie odzwierciedla całej prawdy, bo nie pracowałam na pełen etat, ale i tak widziałam wystarczająco dużo. Żadna opowieść nie odda tego, jak fizycznie trudne jest to doświadczenie. Doświadczenie trudnych zim i bezsennych nocy. Odkryłam rzeczy, które nie przebiły się w dyskusji.

Na przykład?

Choćby to, że relacja między dostawcą a klientem właściwie nie istnieje. Kurier zostawia zamówienie na wycieraczce pod drzwiami, nie wie, kim jest osoba, do której zapukał, bo ta zażyczyła sobie, żeby dostawa odbyła się bez kontaktu. To tacy klienci duchy. Zdarza się też, że kiedy kurierzy przemierzają połowę miasta, dostają sygnał od klienta, że zrezygnował z zamówienia, bo dostawa trwa zbyt długo. Perspektywa osoby, która dopiero odkrywa tę rzeczywistość, obnaża bezduszność tego systemu. Możesz stracić zlecenie w środku zimy, bo spóźniasz się kilka minut. Pojawiają się ponaglenia w aplikacji i nerwowe czekanie w McDonaldzie. Nie wiedziałam, czy zamówienie odbiorę za 5 czy za 15 minut. Potem robisz wszystko, by jak najszybciej dotrzeć do celu. Nie żałuję, że wsiadłam na rower, bo na własnej skórze poczułam fizyczny pośpiech i stres.

Podczas pani spotkania autorskiego ktoś z publiczności chwalił się, że przez cały rok dojeżdża rowerem do pracy, i dziwił się narzekaniom na jazdę na rowerze.

Wiele osób tak myśli. To są jednak dwa zupełnie różne światy. Najgorzej jest zimą, bo ścieżki i chodniki rowerowe są oblodzone, jazda w upale też nie jest przyjemna. Kurier przyjemności z jazdy nie odczuwa. Tę przyjemność zastępuje fabryczny reżim, bo musisz pilnować czasu, jak najszybciej dojechać do celu, znaleźć dokładny adres i jednocześnie zerkać bez przerwy w telefon, bo przychodzi powiadomienie albo wiadomość od klienta, że np. wyszedł z domu i będzie za 10 minut.

I co się wtedy robi?

Czeka się, aż wróci.

Ile można zarobić?

Tego dokładnie nie wiemy, bo dochód jest nieprzewidywalny. Kurier nie ma zagwarantowanej liczby kursów ani stałej stawki. Jednego dnia zarobi 50 zł, innego 250 zł. Wszystko zależy od pogody, dnia tygodnia czy liczby zamówień. Z czasem uczy się to przewidywać, ale nigdy nie wie, ile faktycznie zarobi. Kurier nie pracuje tylko wtedy, kiedy wiezie jedzenie od restauracji do klienta. Musi czekać na zamówienie, potem wraca do miejsca, gdzie ma większą szansę złapać kolejny kurs, szuka właściwego adresu czy czeka na następne zlecenie. Za sporą część tego czasu nikt mu nie płaci.

Ekonomia niewidzialnej pracy. Czyli taki trik zarabiania platform na pracownikach?

Tak, kurierzy nie mają gwarancji, że danego dnia wpadnie określona liczba kursów. Liczba przejechanych kilometrów też o tym nie rozstrzyga. Gdyby istniała stawka za kilometr, kurierzy mieliby przynajmniej jakąś podstawę do obliczenia zarobków. Sposób wyliczania wynagrodzenia też nie zależy od wartości samego zamówienia. Kurier może wieźć jedzenie za 50 zł albo za 500 zł i dostać za obie dostawy te same pieniądze. Jeżeli za zamówienie dostaje się 8, 12 czy 15 zł, a do tego trzeba doliczyć czas oczekiwania i dojazd, to rzeczywista stawka godzinowa może spaść poniżej stawki minimalnej obowiązującej w umowach cywilnoprawnych. Od przychodu trzeba jeszcze odjąć koszty za telefon, internet czy serwis roweru. Kurier ponosi te wydatki sam. A jak jest chory i przez kilka dni nie może pracować, to nie zarabia. Dla części migrantów te zarobki są łatwiejsze do zaakceptowania, bo pieniądze zarobione w Polsce mają większą wartość w ich krajach pochodzenia. 1 tys. zł wydany w Polsce i 1 tys. zł wysłany rodzinie to zupełnie co innego.

W książce opisuje pani, że w umowie firma formalnie wynajmuje od kuriera jego własny rower. O co chodzi?

Oprócz umowy-zlecenia pracownik dostaje umowę najmu sprzętu. Na zleceniu było np. 11 godzin pracy i od tego odprowadzano składki. Pozostała część wynagrodzenia, czasem 1 tys. zł, była wypłacana na podstawie umowy najmu sprzętu, czyli mojego własnego roweru. ▶

© DAWID WOLSKI/EAST NEWS

eprasa.pl f2420985f2

▶ Co w tym kontrowersyjnego?

Firma formalnie wynajmuje rower od kuriera, by od części jego wynagrodzenia nie odprowadzać składek ZUS. Tradycyjny wynajem nie wymaga świadczenia pracy, więc nie podlega oskładkowaniu. Jednak kurier sam korzysta z tego sprzętu podczas pracy, a wynagrodzenie jest jedynie sztucznie wykazywane jako czynsz. Możemy sobie wyobrazić pracownika korpo, z którym firma podpisuje umowę na wynajem biurka lub komputera. Mechanizm byłby dokładnie ten sam. Nie rozumiem, jak ten model mógł przez lata funkcjonować na taką skalę bez zdecydowanej reakcji ZUS czy urzędów skarbowych. Zdarzały się przypadki kwestionowania takich umów, ale kończyło się na pojedynczych rozstrzygnięciach.

Czy Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, kierowane przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk, podejmuje działania, które mogłyby ukrócić tego rodzaju praktyki?

Widać dążenie do poprawy sytuacji pracujących na umowach cywilnoprawnych, m.in. poprzez wzmocnienie Państwowej Inspekcji Pracy w sytuacjach, gdy umowa nosi cechy stosunku pracy. Ministerstwo zapowiadało też wprowadzenie przepisów o pracy platformowej, ale projekt ustawy pojawił się dopiero po głośnej sprawie platformy pyszne.pl, która planowała zwolnienia i ponowne zatrudnienie kurierów na gorszych warunkach – bez gwarantowanej stawki minimalnej. Projekt ten powinien zostać wdrożony do 2 grudnia, ale nie wiemy, czy Polska się z tego terminu wywiąże.

Czym są spowodowane te opóźnienia?

Polska późno zabrała się do przygotowania projektu. A projektowane w ustawie rozwiązania zakładają, że pracownik aktywnie będzie dochodził swoich praw; pójdzie do sądu, aby ustalić swój stosunek pracy. A migranci, z którymi rozmawiałam, w ogromnej większości na taki krok nigdy się nie zdecydują. Nawet jeśli państwo powie: teraz będzie ci łatwiej, bo to nie ty będziesz musiał udowadniać, że powinieneś mieć umowę o pracę. To firma będzie musiała udowodnić, że jej nie potrzebujesz. Oczywiście również inspektor pracy będzie mógł przekształcić umowę, na podstawie której pracuje kurier, w umowę o pracę, ale jak wiele takich spraw będzie? Sądzę, że niewiele. Nawet jeśli ustawa wejdzie w życie w obecnym kształcie, to w praktyce niewiele się zmieni.

Trudno sobie wyobrazić, by student z Indii, znający tylko angielski i nieobyty ze specyfiką polskiego prawa, próbował jeszcze szarpać się z pracodawcą przed sądem. Zwłaszcza że nawet polski obywatel, który zna język, realia i tutejsze instytucje, często nie wie, jakie dokładnie ma prawa, do kogo powinien się zwrócić i jak wygląda dochodzenie swoich roszczeń.

Samo ułatwienie drogi do sądu nie wystarczy, jeśli pracownik z tej drogi nie skorzysta. Część migrantów w ogóle nie będzie wiedzieć o zmianach w prawie, a spośród tych, którzy się dowiedzą, tylko niewielka grupa zdecyduje się na batalię sądową. Dla osoby, która dopiero przyjechała do Polski, bariera jest ogromna. A mowa tu o migrantach nie tylko z Indii, ale i z Pakistanu, Uzbekistanu czy innych krajów Azji.

To co powinno się zrobić?

Ministerstwo powinno wprowadzić rozwiązania odgórne, które nie wymagają inicjatywy ze strony samych kurierów. Państwo jest od tego, by egzekwować określone reguły wobec platform. Na razie nic się z tym nie dzieje. Migrantom łatwiej zaakceptować warunki, których Polacy przyjąć nie chcą. A Polacy wolą pracować w McDonaldzie niż rozwozić jedzenie. Jeżeli platforma nie mówi o minimalnej stawce, to wybierają miejsce pracy, w którym jest to jasno powiedziane. Dlatego przypuszczam, że udział migrantów w branży kurierskiej będzie dalej rósł.

Z drugiej strony Uber Eats umożliwił migrantom szybkie wejście na polski rynek bez znajomości języka i formalności.

Tak, model działania Ubera od początku polegał na tym, żeby szybko wejść na rynek i działać według własnych zasad, nawet jeżeli były sprzeczne z obowiązującymi regulacjami. Tak było na początku działalności firmy w Stanach Zjednoczonych. Chodziło o osiągnięcie takiej skali i popularności, żeby usługa stała się czymś normalnym, a klienci przyzwyczaili się do niej na tyle, że później trudno by było ją wyeliminować. I ta strategia okazuje się skuteczna.

W książce opisuje pani historie osób, które wykonują tę ciężką pracę w warunkach ciągłego stresu. Do tego dochodzi też ciężar pogardy i stereotypów.

Dla niektórych moich rozmówców byłam pierwszą kobietą, z którą po roku pobytu w naszym kraju mogli przez kilka, kilkanaście minut normalnie porozmawiać. Widziałam, jak bardzo potrzebują zwykłego kontaktu z drugim człowiekiem, ciepła i życzliwości. Żyją w całkowitej izolacji od polskiego społeczeństwa. Dyskryminacji doświadczają nawet podczas wręczania posiłku. A samotność towarzyszy im od rana do wieczora. Brak tu przestrzeni na stworzenie jakiejś namiastki solidarności czy wspólnoty z innymi pracownikami. Jeśli w ogóle jakiś kontakt się pojawia, to tylko na chwilę – przy ladzie w restauracji, na światłach podczas czekania na pasach czy na ławce w oczekiwaniu na zamówienie. Takie krótkotrwałe, ulotne znajomości tworzą się też pod galeriami handlowymi.



© LESZEK ZYCH

Katarzyna Duda – absolwentka prawa i politologii na Uniwersytecie Opolskim. Przy współpracy z Ośrodkiem Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle'a badała warunki zatrudniania osób sprzątających oraz ochroniarzy zatrudnianych przez firmy prywatne. Jest autorką książek „Kiedyś tu było życie teraz jest tylko bieda. O ofiarach polskiej transformacji", „KORPO. Jak się pracuje w zagranicznych korporacjach w Polsce" oraz „Uberyzacja. O warunkach pracy kurierów".

eprasa.pl f2420985f2

Gdzie mieszkają?

W hostelach, po 20, a czasem nawet 30 osób. Panują tam rygorystyczne zasady i brakuje jakiejkolwiek prywatności. Do takiego miejsca nie zaprosisz znajomych, a co dopiero dziewczyny. Obowiązują tam surowe reguły dotyczące rzeczy, na które w domu nikt by nie zwrócił uwagi. Zostawiasz kubek na stole i dostajesz karę. Podobnie jak na czas nie ściągniesz prania czy zbyt długo przebywasz na korytarzu. To nie jest dom, w którym możesz odpocząć. Takie miejsca przypominają więzienie.

Dlaczego przyjechali akurat do Polski?

Bo było taniej. Wybór naszego kraju wynikał po prostu z powodów ekonomicznych. Cały system pośrednictwa, procedury wizowe czy możliwość podjęcia studiów i legalnej pracy na tej podstawie są łatwo dostępne. Przeważały więc argumenty finansowe, choć zdarzały się też osoby, które mówiły, że chciały przyjechać akurat do Polski, bo nasz kraj jest bezpieczny. Nie ma masowej bezdomności ani napięć wokół migracji na taką skalę jak w innych państwach Europy. A więc pojawia się taki paradoks, że migrant może wybierać Polskę właśnie dlatego, że sam obawia się napięć, które kojarzy z obecnością innych grup migranckich.

Wróćmy do pracy. Czy uberyzacja rozpowszechni się na tyle, że obejmie również inne zawody?

Tak, to jest wyraźny kierunek rozwoju i to się dzieje bardzo szybko. Jeśli porównamy obecną sytuację z 2016 r., gdy platformy dopiero raczkowały, to różnica jest ogromna. Dziś widok kuriera jest codziennością, a restauracje coraz bardziej uzależniają się od tej współpracy i nic nie wskazuje, by miały się wycofać. Ten rynek będzie się dalej rozwijał, a inne branże już eksperymentują. Właściwie każdy zawód może być w to wciągnięty. W Wielkiej Brytanii model objął już pielęgniarki i opiekunki do osób starszych, ale dotyczy to również tłumaczy, grafików czy pracowników biurowych.

Czy zrezygnowała pani z zamawiania jedzenia przez aplikacje?

Tak, choć przyznaję, że kiedyś zamawiałam. W pewnym momencie przestałam, bo ze świadomością warunków pracy kurierów nie czułam się z tym komfortowo. Dziś wolę sama coś kupić i ugotować albo po prostu pójść do restauracji.

Warto mieć świadomość, że dostawcy sami kupują swoje rowery i plecaki, że nie mają płatnego zwolnienia w razie wypadku czy choroby. Warto też zamawiać jedzenie bezpośrednio w restauracjach. Wiele z nich ma własny dowóz, co jest korzystniejsze i dla lokalu, i dla klienta. Odzwyczailiśmy się od tego, bo aplikacje przyzwyczaiły nas do wygody. Jednak najlepszą rzeczą, jaką możemy zrobić jako klienci, to omijanie pośredników.

Co jeśli to uderzy bezpośrednio w migrantów? Dla wielu to jedne źródło utrzymania.

Przede wszystkim klienci zaczęliby szukać alternatywy. Część zamawiałaby bezpośrednio z restauracji, które mogłyby rozwinąć własne dostawy. Inni częściej chodziliby do lokali albo gotowali w domu. Popyt nie zniknąłby całkowicie, tylko przesunął się do innych usług, gdzie również powstawałyby miejsca pracy. W gospodarce nie powstałaby próżnia. Zamiast jednych usług rozwinęłyby się inne.

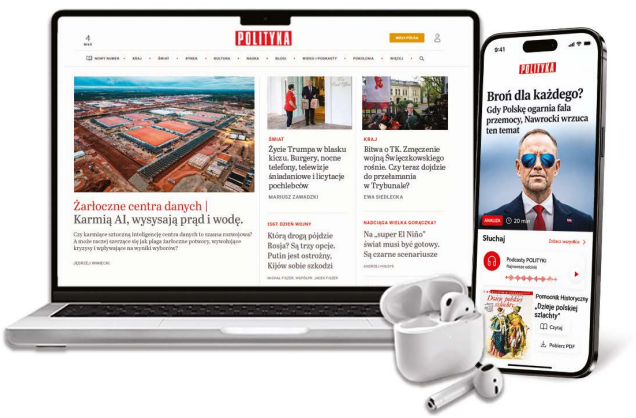
ROZMAWIAŁA NATALIA SAWKA

REKLAMA

Oferta powitalna

POLITYKA

5 zł | za tydzień
przez cały rok



Oferta dla nowych subskrybentów

Teksty tygodnika

Podkasty i artykuły

Codziennie nowe treści

KUP DOSTĘP

polityka.pl/powitalna

eprasa.pl f2420985f2



Zrób sobie prąd

W Polsce dokonała się cicha rewolucja energetyczna. Dzięki niej już 1,6 mln gospodarstw domowych korzysta z prądu własnej produkcji, wytwarzanego przez panele fotowoltaiczne. Jak każda rewolucja jednak i ta dogasa. Sterydy, które ją napędzały, właśnie się kończą.

ADAM GRZESZAK

„Dzień dobry, z tej strony Klara Sobieraj” – tę frazę usłyszało w słuchawce wyjątkowo wielu Polaków. Klara z irytującym uporem dzwoniła do tysięcy przypadkowo wybranych osób, namawiając je do montażu paneli fotowoltaicznych. Kusiła oszczędnościami oraz sowitymi dotacjami. Była w stanie robić to w tempie wyczynowym, bo nie była człowiekiem, ale voicebotem, czyli programem sztucznej inteligencji wykorzystywanym do natarczywego marketingu. Celem było uzyskanie adresu, pod który można było wysłać przedstawiciela handlowego – już żywego człowieka – by zdobyć klienta takiego, który nie ma jeszcze paneli fotowoltaicznych albo pompy ciepła, a ostatnio także magazynu energii.

Prezes UOKiK od kilku lat jest zasypywany skargami na niedozwolone praktyki firm branży energetyki odnawialnej (OZE). Właśnie w ostatnich dniach na spółkę Nasz Prąd nałożył karę wysokości ponad 21 mln zł. – *Rynek OZE ma ogromne znaczenie dla transformacji energetycznej, ale niestety obserwujemy na nim również wiele nieprawidłowości uderzających w konsumentów. Ich skutki mogą być szczególnie dotkliwe dla ludzi starszych, którzy często podejmują*

eprasa.pl f2420985f2



© ANDRZEJ GRYGIEL/EAST NEWS

decyzję o dużym wydatku, znacząco obciążającym domowy budżet, i zobowiązaniu finansowym na wiele lat. Konsument musi wiedzieć, co kupuje, ile za to zapłaci i na jakich warunkach – tłumaczył prezes UOKiK Tomasz Chróstny.

Energetycy domowi

Intensywny marketing, wspomagany dotacjami z kolejnych edycji programu „Mój prąd" (w sumie było ich sześć), a także z lokalnych programów samorządowych, był w stanie nawet radykalnych przeciwników zielonej energii zamienić w jej producentów. Przykładem Przemysław Czarnek, który zasłynął zwrotem „OZE-sroze", a potem musiał się tłumaczyć, skąd na dachu jego domu wzięły się panele fotowoltaiczne. „Zdemontuję to świństwo, jak tylko się spłaci" – oświadczył. Bo nie mógł zaprzeczyć, że teraz jako prosument sporo oszczędza na rachunkach za prąd. Ma jednak wyrzuty sumienia, bo wytwarzając energię ze słońca, odbiera chleb tak bliskim mu górnikom i energetykom węglowym.

W maju 2026 r. w Polsce było ponad 1,6 mln domowych mikroinstalacji OZE. Zainstalowane na dachach domów jednorodzinnych lub w przydomowych ogródkach panele miały łączną moc 13,9 GW, czyli dużo większą niż największa węglowa elektrownia w Bełchatowie (moc 5,1 GW). W 2025 r. domowe elektrownie dostarczyły 8,680 TWh energii, czyli 5 proc. krajowego zużycia. – *Zbliżamy się już do maksymalnego nasycenia prosumencką fotowoltaiką. Według naszych obliczeń na indywidualnych domach mieszkalnych jest miejsce najwyżej na 2 mln typowych instalacji dachowych* – wyjaśnia Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej (IEO), think tanku zajmującego się transformacją energetyczną, a ostatnio głównie rozwojem dużej i małej energetyki słonecznej oraz zielonej elektryfikacji gospodarki.

Właścicieli domowych mikroinstalacji fotowoltaicznych (PV), o mocy do 50 kW, nazywa się prosumentami, bo są jednocześnie producentami i konsumentami energii elektrycznej. Część zużywają na potrzeby własnego gospodarstwa domowego, nadwyżkę zaś przekazują do sieci energetycznej. Jednocześnie z sieci czerpią energię, gdy domowe potrzeby rosną, a panele nie produkują akurat prądu.

Poprawka Bramory

Rewolucja fotowoltaiczna wybuchła w Polsce pod koniec 2014 r. za sprawą „poprawki prosumenckiej". W trakcie prac nad ustawą o OZE pojawił się projekt przygotowany przez IEO i inne organizacje promujące zieloną energetykę, a zgłoszony przez posła PSL Artura Bramorę. Nakładał on na operatorów sieci dystrybucyjnych m.in. obowiązek odkupywania od prosumentów nadwyżki wyprodukowanej energii po stałej, określonej ustawowo cenie, przez 15 lat. Rząd Ewy Kopacz był przeciw, przekonując, że to kosztowne rozwiązanie, za które zapłacą wszyscy odbiorcy prądu, jednak poprawki w Sejmie zablokować nie zdołał. Koalicja była w rozsypce, a poparcia niespodziewanie udzielił nawet PiS.

Po wyborach 2015 r. rząd Beaty Szydło zmodyfikował przepisy prosumenckie, wprowadzając w miejsce taryf gwarantowanych rozliczenie energia za energię. Za każdą 1 kWh oddaną do sieci, prosument może w dowolnym momencie odebrać z sieci 0,8 kWh (dla instalacji do 10 kW) lub 0,7 kWh (dla instalacji 10–50 kW). Ta różnica między oddaną a odebraną energią stanowi wynagrodzenie operatora sieci, bo prosument nie płaci już za przesył.

W ten sposób dla prosumentów sieć stała się bezpłatnym magazynem energii. System zwany net-meteringiem rozliczany jest w okresach rocznych. Wiosną–latem, gdy dni są długie i panele najbardziej wydajne, można zgromadzić sobie w sieci zapas energii do wykorzystania w okresie jesienno-zimowym, gdy domowe potrzeby są największe. To daje spore oszczędności w rachunkach za prąd. Oczywiście ten zapas ma charakter umowny, bo sieć nie magazynuje energii. W każdej chwili może być w niej tylko tyle, ile potrzebują na bieżąco odbiorcy. Tak więc prosument wysyła do sieci swoją zieloną energię, ale odbiera już czarną, węglową, jaka wciąż dominuje w polskim miksie energetycznym.

Większe znaczy lepsze?

Rząd PiS, który z sobie znanych przyczyn rozpoczął walkę z energetyką wiatrową, w domowych instalacjach fotowoltaicznych dostrzegł atrakcyjną alternatywę. Bo to w końcu także zielona energia, której domaga się UE, a jednocześnie pojawiła się szansa na zdobycie serc prosumentów, mieszkańców tysięcy wsi i mniejszych miast, gdzie dominują domy jednorodzinne. A te, zwłaszcza ze spadzistymi dachami, są świetnym miejscem do układania paneli PV. Można więc było przy okazji wesprzeć własny elektorat. Dotacje na stworzenie domowych instalacji i korzystny system rozliczeń z operatorem sieci, który nie mógł odmówić nikomu przyłączenia domowej elektrowni, sprawiły, że wkrótce do akcji ruszyła Klara Sobieraj i cała armia firm instalatorskich. Zaczęła się wojna o rynek wartości liczonej w miliardach złotych rocznie.

– *Przygotowując poprawkę prosumencką, trochę naiwnie zakładaliśmy, że powstające instalacje PV będą w większości służyły autokonsumpcji, czyli produkowały energię na własne potrzeby gospodarstw domowych. Stało się jednak inaczej. Moc instalacji zaczęła rosnąć i dziś statystyczny prosument zużywa zaledwie 30 proc. wytworzonej* ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ *przez siebie energii* – wyjaśnia prezes Wiśniewski.

IEO prowadził przez rok badania 10 wiejskich gospodarstw domowych, by określić optymalną moc instalacji PV. Dla rodziny 2+1 wystarczająca jest moc do 3 kW, tymczasem dziś średnia moc instalacji PV przekroczyła już 10 kW. Dlaczego? – *To proste* – wyjaśnia prezes Wiśniewski. – *Wynagrodzenie firmy instalatorskiej zależne jest od mocy instalacji, a ta wpływa na wysokość dotacji, więc im więcej kilowatów, tym większy zarobek. Dokładanie na dachu kolejnych paneli nie wymaga szczególnego wysiłku, a klienta łatwo przekonać, że większe znaczy lepsze.* Dziś średni koszt 1 kW to 4,5–6,5 tys. zł.

Zapchane sieci

Rosnąca liczba i moc domowych elektrowni sprawiła, że w słoneczne dni lokalne sieci zaczęły się dławić od nadmiaru energii. Sieci niskiego napięcia w wielu rejonach Polski nie są w najlepszym stanie, tworzono je z myślą o jednokierunkowym przepływie prądu, więc jeśli transformator jest daleko, prosumentów w okolicy wielu, a odbiorców mało, zaczyna się problem. Wówczas w sieci napięcie gwałtownie rośnie i falowniki w instalacjach prosumenckich (zamieniają prąd stały z paneli na przemienny 230 V) albo same automatycznie się wyłączają, albo są zdalnie wyłączane przez operatora. A to rodzi konflikty, bo prosumenci nie kochają spółek energetycznych i uważają, że są przez nie okradani. Rewanżują się, w niedozwolony sposób manipulując przy falownikach (żeby się nie wyłączały) albo dokładając dodatkowe panele.

Momentem przełomowym fotowoltaicznej rewolucji okazała się końcówka 2021 r., kiedy rząd uznał, że czas zakończyć system net-meteringu. Firmy instalatorskie przeżyły wówczas oblężenie, bo wszyscy chcieli zdążyć przed 31 marca 2022 r. Tego dnia wchodził nowy, mniej korzystny system rozliczeń, zwany net-billingiem. Polega na tym, że energia oddawana do sieci przez prosumenta jest wyceniana według zmieniających się uśrednionych dla każdego miesiąca cen godzinowych ustalanych przez Polskie Sieci Elektroenergetyczne (we wrześniu było to 0,34 zł/kWh). Właściciel mikroinstalacji PV sprzedaje nadwyżkę energii, ale nie dostaje gotówki do ręki, tylko jest ona dopisywana do jego konta, zwanego depozytem prosumenckim. Pieniądze te mogą służyć wyłącznie do rozliczenia się za energię, jaką prosument dokupuje, kiedy brakuje mu własnej (głównie w czasie szczytu wieczornego).

– *Dziś blisko milion prosumentów rozlicza się w systemie net-metterigu, pozostali muszą korzystać z net-billingu, dlatego przyrost liczby mikroinstalacji fotowoltaicznych bardzo zwolnił. Przyczyniło się do tego także zakończenie dopłat z programu Mój Prąd* – tłumaczy prezes Wiśniewski.

Każdy, kto analizował rachunek za prąd, wie dobrze, że koszt samej energii stanowi mniejszą część, resztę zaś jej dostarczanie i opłaty dodatkowe, więc prosument net-billingowy musi się liczyć, że bez płacenia się nie obejdzie, nawet jeśli sporo uzbierał na depozycie prosumenckim. A to budzi rozżalenie. Dzwoni czytelnik POLITYKI z prośbą o interwencję: – *Jak to możliwe, że za moją energię płacą mi 30 gr za kilowat, a sami sprzedają mi za 1,30 zł?* – pyta.

Już 200 tys. prosumentów zdecydowało się na domowy magazyn energii. Boomu jednak nie ma, bo to spora inwestycja, którą trzeba pokryć głównie z własnej kieszeni, bo dotacja to maksimum 30 proc.

Autokonsumenci

Lekarstwem na to może być zwiększanie autokonsumpcji, czyli zużywanie energii na własne potrzeby. To wymaga jednak dostosowania rytmu zużycia do rytmu pracy paneli PV, a nie każdy ma na to ochotę. Nadwyżkę energii można więc gromadzić w domowym magazynie bateryjnym i wykorzystywać, kiedy panele nie pracują, ale również zamieniać na ciepło i przechowywać w magazynie (najczęściej jest to izolowany zbiornik gorącej wody). Dlatego program dotacji Mój Prąd zmienił się w program Przydomowych Magazynów Energii (budżet 1 mld zł). Dofinansowanie można dostać na magazyn energii elektrycznej (minimum 10 kWh) albo na magazyn ciepła (pojemność min. 100–150 dm sześc.).

Już 200 tys. prosumentów zdecydowało się na domowy magazyn energii. Boomu jednak nie ma, bo to spora inwestycja, którą trzeba pokryć głównie z własnej kieszeni, bo dotacja to maksimum 30 proc. I pomyśleć, że w niektórych gminach na panele PV można było dostać 85 proc. dotacji. Źródłem pieniędzy początkowo były wpływy z opłat za emisję CO_2, potem fundusze europejskie, a w końcu KPO.

Duże miasta, takie jak Warszawa, mają ograniczone możliwości tworzenia domowych elektrowni PV. W wielorodzinnych budynkach trudno myśleć o instalacji paneli, choć zdarzają się i tacy, którzy próbują wykorzystywać do tego celu balkony. – *Dachy miejskich bloków nadają się do tworzenia instalacji PV, które mogą dostarczać energię do oświetlenia części wspólnych budynku czy zasilania pracy wind* – wyjaśnia prezes Wiśniewski.

Na obrzeżach dużych miast powstaje coraz więcej domów jednorodzinnych i tam pojawiają się nie tylko panele PV, ale także magazyny energii, pompy ciepła, a nawet samochody elektryczne, które uznawane są za istotny przyszły element składowy energetycznego ekosystemu gospodarstwa domowego. – *W sieci Stoen Operator mamy obecnie ponad 20 tys. prosumentów i tyle samo mikroinstalacji. Już dziś dostrzegamy ich przyszłe znaczenie dla funkcjonowania i stabilizacji systemu elektroenergetycznego. Ważnym elementem tego kierunku są magazyny energii. Takie urządzenia współpracują z 2,5 tys. instalacji, a ich średnia moc wynosi ponad 7 kW* – mówi Sławomir Osuchowski, menedżer ds. usług dystrybucyjnych w Stoen Operator (to jeden z nielicznych operatorów sieciowych niebędących w ręku państwa).

Wielkomiejskie realia tworzą za to warunki dla dużych instalacji fotowoltaicznych, na dachach hal magazynowych, fabryk czy budynków publicznych. W Warszawie powstał właśnie największy dach solarny w Europie. 12 tys. m kw. paneli pokrywających dachy peronów Dworca Zachodniego ma moc 1,1 MW. Zapewnią 30 proc. zielonej energii potrzebnej dworcowi. Pociągi jednak po staremu będą korzystały z czarnej energii.

ADAM GRZESZAK

eprasa.pl f2420985f2

WE WTOREK 27 PAŹDZIERNIKA W „WYBORCZEJ”

Wyjątkowy kalendarz astronomiczny na 2027 rok



Zaćmienie Słońca, Droga Mleczna, zorze polarne, roje meteorów, obłoki srebrzyste...

- Kalendarium obserwacji nieba
- Niezwykłe zjawiska i kosmiczne zdjęcia

GAZETA wyborcza

eprasa.pl f2420985f2

Dom z widokiem na przyszłość

Duże przeszklenia z aluminiowymi profilami i drewniane okna dachowe to rozwiązania nie tylko estetyczne, lecz także wpisujące się w model zrównoważonego budownictwa.

Okna mają ogromny wpływ na potrzeby energetyczne budynku. Tymczasem droga energia to już nie anomalia, lecz zjawisko, które zostanie z nami zapewne na lata. Z jednej strony duże przeszklenia stały się standardem nowoczesnego budownictwa, zapewniając odpowiednie doświetlenie pomieszczeń przez cały rok i będąc wyznacznikiem eleganckich domów. Równocześnie się obawiamy, jak takie przeszklenia wpłyną na bilans energetyczny budynku, zwłaszcza zimą. Na szczęście z pomocą przychodzą zaawansowane technologie. Panoramiczne drzwi tarasowe z ukrytą ramą i cienkimi słupkami konstrukcyjnymi pozwalają łączyć najnowsze trendy w projektowaniu z gwarancją energooszczędności.

Można już mówić o trendzie tzw. niewidocznej architektury. To sytuacja, w której profile, progi i podziały konstrukcyjne zostają głęboko zintegrowane z bryłą budynku. Zwłaszcza w domu jednorodzinnym efekt okazuje się imponujący: salon otwiera się na taras, kuchnia – na patio, a strefa prywatna ma bezpośredni kontakt z ogrodem. Atuty są oczywiste: niski próg, wygoda przejścia między tym, co w środku, i tym, co na zewnątrz, a także szczelność i dobra izolacja. Dom otwarty na ogród korzysta w pełni z dobrodziejstw słońca, ale dzięki roletom czy markizom chroniony jest przed negatywnym wpływem intensywnego promieniowania w okresie upałów. To ważne, bo z powodu zmian klimatycznych lata są coraz gorętsze. Wszyscy mamy w pamięci tegoroczne rekordy temperatur w Polsce, gdy słupek rtęci przekroczył nawet 40 st. C.

Jakie rozwiązania stosują dziś producenci dużych przeszkleń? Na przykład ukrycie ramy w ścianach, podłodze i suficie oraz minimalizację widocznych słupków – w miejscu styku skrzydeł to zaledwie 25 mm. Niewidzialność w tym przypadku oznacza precyzyjne zaprojektowanie wszystkich szczegółów. Próg zlicowany z podłogą, ukryte profile, wąskie połączenie skrzydeł, systemowe odwodnienie, konsole montażowe z regulacją wysokości oraz podwalina konstrukcyjna o wysokiej izolacyjności termicznej zapewniają razem imponujący efekt.



© FAKRO

O czym pamiętać, wybierając odpowiednie dla swojego domu produkty? – *Najczęstszy błąd w projektowaniu domów polega na traktowaniu dużych szyb tylko jako efektu wizualnego. Przy przeszkleniach o wysokości do czterech metrów mówimy o elemencie powłoki budynku, który wpływa na bilans energetyczny, szczelność i komfort użytkowania. Jeżeli skrzydło drzwi tarasowych może ważyć do 750 kg, kwestie takie jak ukryty napęd, odwodnienie, montaż, próg zlicowany z posadzką i możliwość zastosowania zintegrowanej osłony przeciwsłonecznej (żaluzji) przestają być dodatkami. To warunki prawidłowego funkcjonowania domu przez cały rok* – podkreśla Michał Marcinowski, dyrektor ds. rozwoju produktu z Aluprof.

Duża powierzchnia szkła jest wyzwaniem zarówno w okresach chłodnych, jak i ciepłych. Zimą przegrody ograniczają straty ciepła, latem pomagają zapobiegać przegrzewaniu wnętrz. To dlatego panoramiczne drzwi przesuwne projektuje się razem z osłonami przeciwsłonecznymi i automatyką pracy domu. Gdy szkło staje się częścią powłoki energetycznej, trzeba przewidywać zachowanie budynku w różnych warunkach pogodowych. Znaczenie mają: orientacja względem stron świata, zacienienie, typ pakietu szybowego, szczelność,

eprasa.pl f2420985f2



GREENVIEW – Twoje okno dachowe na przyszłość!

Ograniczanie strat ciepła – nowa konstrukcja okna oraz trzyszybowy pakiet P50 wspierają izolacyjność termiczną poddasza.
Komfort akustyczny – pakiet P50 z folią dźwiękoizolacyjną pomaga ograniczać hałas z zewnątrz.
Stylowy design – minimalistyczne oblachowanie w antracytowym kolorze harmonijnie wpisuje się we współczesną architekturę.

Wybierz drewniane okna dachowe FAKRO i podkreśl ciepły, ponadczasowy charakter wnętrza. Doceń właściwości drewna i jego naturalne piękno.

Zeskanuj kod
i dowiedz się
więcej o oknach
GREENVIEW

eprasa.pl f2420985f2

odwodnienie oraz sposób codziennej obsługi.

W perspektywie najbliższych kilku lat rosnące wymagania energetyczne będą coraz mocniej wpływać na projektowanie zwłaszcza domów jednorodzinnych w segmencie premium. Panoramiczne drzwi przesuwne z ukrytą ramą pozostaną ważnym elementem, ale trzeba będzie brać pod uwagę bilans całej przegrody. Architekci muszą połączyć efekt otwarcia domu na ogród ze spełnieniem coraz bardziej wyśrubowanych wymogów technicznych, aby dom był zeroemisyjny. A inwestorzy będą oczekiwać estetyki bez ram, ale też bez utraty komfortu cieplnego. Pomóc może



© ALUPROF

w tym zastosowanie aluminium. Jest bardzo wytrzymałe i odporne na działanie czynników atmosferycznych. Poza tym to materiał przyjazny środowisku dzięki trwałości i możliwości wielokrotnego przetwarzania bez utraty właściwości. Świetnie nadaje się do recyklingu, co ma znaczenie nie tylko ekologiczne, lecz i ekonomiczne w czasach bardzo drogich surowców.

Inny materiał, który wpisuje się w ideę zrównoważonego budownictwa i z pewnością będzie zyskiwać na znaczeniu, to drewno. Już dziś cieszy się dużym zaufaniem inwestorów – łączy w sobie funkcjonalność, estetykę i ponadczasową elegancję. Tworzy pozytywną atmosferę wnętrza, wprowadzając do niego harmonię i naturalne ciepło. Właśnie dlatego drewniane okna dachowe to świetne rozwiązanie w przypadku nie tylko urządzania, ale także modernizacji poddasza. Wiele osób aranżuje dzisiaj pokoje w tej przestrzeni i instaluje okna dachowe w starszych budynkach, gdzie dotąd poddasze nie miało charakteru użytkowego. Dzięki temu zyskujemy dodatkową, pełnowartościową przestrzeń mieszkalną, którą możemy przeznaczyć np. na sypialnię czy gabinet do pracy.

Współczesne wnętrza coraz częściej poszukują równowagi między minimalizmem a przytulnością. Drewniane okna dachowe doskonale wpisują się w ten trend. To materiał, który z pewnością nie wyjdzie z mody. Przeciwnie, z każdym rokiem coraz bardziej doceniamy jego zalety w funkcjonalnym wnętrzu. Okna dachowe renomowanych producentów wykonywane są z drewna sosnowego wysokiej jakości. Ten rodzaj drewna jest szczególnie ceniony za swoją trwałość, uniwersalność, elegancję, a równocześnie korzystny stosunek jakości do ceny. To też ważny element, gdy budowa domu stanowi ogromne obciążenie finansowe.

Dlaczego drewno sprawdza się w codziennym użytkowaniu okien dachowych? Zapewnia naturalną wymianę wilgoci z otoczeniem. Materiał ten charakteryzuje się również niewielką rozszerzalnością cieplną, a jego sztywność konstrukcyjna wpływa na stabilność całej stolarki. Do atutów drewna należy także możliwość odnowienia powierzchni profili. Pozwala to odświeżyć wygląd okna bez konieczności wymiany całej konstrukcji. To rozwiązanie nie tylko zmniejszające w przyszłości koszty, ale także wpisujące się w trend budownictwa ekologicznego, w którym stawiamy na maksymalne wydłużenie żywotności materiałów zamiast ich częstą wymianę.

Drewniane okna dachowe wysokiej jakości od zewnątrz chronione są aluminiowym oblachowaniem, co wspiera trwałość konstrukcji i zabezpiecza drewno przed czynnikami atmosferycznymi. – *Okna dachowe GREENVIEW powstają z klejonego warstwowo drewna sosnowego. Standardowo pokryte są bezbarwnym lakierem akrylowym, który podkreśla naturalny rysunek drewna. Dostępne są również modele z białym wykończeniem poliuretanowym, przeznaczone do wnętrz o podwyższonej wilgotności, a także okna w innych kolorach z palety RAL. Zewnętrzne oblachowanie oferowane jest w trzech wariantach kolorystycznych, w standardzie dostępne w kolorze antracytowym. Konstrukcja z wyższym profilem skrzydła oraz trzyszybowy pakiet P50 wspierają właściwości termoizolacyjne oraz akustyczne* – mówi Sławomir Kwarciak, menedżer okien dachowych w firmie FAKRO.

Aby drewniane okna dachowe zachowały przez lata swoje właściwości, trzeba zadbać o odpowiednie warunki na poddaszu. Ważną rolę odgrywa prawidłowa wentylacja, która pomaga zapobiegać nadmiernemu gromadzeniu się wilgoci we wnętrzu budynku. Regularna wymiana powietrza gwarantuje utrzymanie parametrów zalecanych dla użytkowania drewnianych elementów oraz pomaga zachować przez długi czas ich estetyczny wygląd.

Poddasze często kojarzy się z prywatnością, spokojem i atmosferą domowego azylu. Drewniane okna dachowe doskonale wpisują się w ten klimat. W połączeniu z naturalnymi belkami i stropami, drewnianą podłogą czy subtelnymi dodatkami tworzą spójną, harmonijną przestrzeń nawiązującą do natury. To rozwiązanie, które nie tylko dobrze wygląda, ale też buduje nastrój. Wpadające przez okna naturalne światło podkreśla strukturę drewna, a pokoje na poddaszu stają się miejscem, które sprzyja odpoczynkowi i wyciszeniu.

CEZARY KOWANDA

eprasa.pl f2420985f2

ALUPROF
LET'S BUILD A BETTER PLACE

OKNA I DRZWI I FASADY I OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE I PERGOLE



AMBASADOR
Szymon Marciniak

Granice?

Tylko te, które sam wyznaczasz.
To Twój wybór.

Panoramiczne drzwi przesuwne **MB-Skyline Type S**

Wejście eleganckie i bezpieczne

Mają chronić domowników, ograniczać straty ciepła, a przy tym komponować się z resztą domu. Na jakie cechy drzwi warto zwrócić uwagę i kiedy nowe technologie mogą okazać się przydatne?

Drzwi wejściowe wiele mówią o charakterze domu. Niektóre pozwalają wyeksponować układ słojów i podkreślić geometrię wzoru. Równocześnie można znaleźć opcje klasyczne, minimalistyczne, a także wzory o oszczędnej, geometrycznej kompozycji. Na przykład rytm pionowych podziałów nawiązuje do modnych okładzin lamelowych stosowanych we wnętrzach i na elewacjach. Ceramiczne okładziny czerpią z surowości kamienia, betonu i metalu. Ich niejednorodna struktura i naturalna głębia koloru sprawiają, że drzwi zyskują monolityczny, architektoniczny charakter. Takie okładziny wyróżniają się wysoką odpornością w codziennym użytkowaniu.

Producenci mają w ofercie bardzo różne rozwiązania w zależności od preferencji estetycznych inwestora. – *W modelach VINTAGE drzwi CREO ART inspirowanych sztukaterią modern classic oraz charakterystycznymi rombowymi przeszyciami znanymi z tapicerowanych powierzchni pokazujemy własną interpretację ponadczasowych wzorów. Klasyczne motywy zostały uproszczone i przełożone na język współczesnej architektury, dzięki czemu zachowują elegancki charakter, nie tracąc przy tym nowoczesności. Jednocześnie konsekwentnie rozwijamy linię CERAMIC, która cieszy się uznaniem inwestorów poszukujących wyjątkowej trwałości i wyrazistych materiałów* – mówi Robert Mastalski, menedżer produktu w firmie WIŚNIOWSKI.

Budując czy remontując dom, mamy do dyspozycji rozwiązania konstrukcyjne umożliwiające wykonanie drzwi otwieranych zarówno na zewnątrz, jak i do wewnątrz budynku, co daje swobodę w projektowaniu



© WIŚNIOWSKI

strefy wejścia. Smukłe przeszklenia w drzwiach zewnętrznych pozwalają nadać wejściu lżejszy i wyrazisty charakter, jednocześnie zachowując równowagę między otwartością a prywatnością. Z kolei brak przeszkleń ogranicza straty ciepła i harmonijnie komponuje się z minimalistyczną elewacją.

Gdy myślimy o bezpieczeństwie drzwi wejściowych, powinniśmy pamiętać o dwóch aspektach. Pierwszy to bezpieczeństwo codziennego użytkowania. Zwiększa je wyposażenie drzwi w rozwiązania kontrolujące ruch ciężkiego skrzydła, takie jak asystent drzwiowy czy ukryty samozamykacz. Asystent drzwiowy to innowacyjne urządzenie ukryte w skrzydle drzwi, które zmniejsza ryzyko gwałtownego uderzenia skrzydłem w ścianę lub osobę znajdującą się za drzwiami. Pozwala także przytrzymać drzwi w wybranej pozycji oraz zapewnia ciche domknięcie, ograniczając trzaskanie.

Bezpieczeństwo użytkowania zwiększają nowoczesne pakiety szybowe, blokada rodzicielska oraz elektroniczny wizjer pozwalający monitorować strefę wejścia. Łączy on funkcję tradycyjnego dzwonka z zaawansowaną rejestracją wideo. Wyposażony w ekran LCD oraz optykę o dużym kącie widzenia zapewnia pełną widoczność strefy wejściowej. Wbudowany detektor ruchu automatycznie uruchamia zapis foto lub wideo. Funkcja trybu nocnego wykorzystuje podczerwień do efektywnej pracy po zmroku.

Drugi wymiar bezpieczeństwa drzwi wejściowych to oczywiście ochrona przed włamaniem. Zwiększają ją np. trzypunktowe zamki, atestowane wkładki antywłamaniowe oraz rozwiązania umożliwiające uzyskanie klasy odporności RC2, również w przypadku drzwi z przeszkleniami. Trzypunktowy zamek automatyczny wykorzystuje unikatowy układ wytrzymałych haków i bolców, które po domknięciu skrzydła błyskawicznie ryglują konstrukcję na głębokość 20 mm. Zintegrowane zabezpieczenie przed cofnięciem rygli gwarantuje najwyższy stopień szczelności i bezpieczeństwa.

Dodatkowe zabezpieczenie przed dostępem osób niepożądanych zapewniają szkło antywłamaniowe i kontrola faktycznego zaryglowania współpracująca z systemem alarmowym. Opcjonalny czujnik położenia rygla może zostać podłączony do tego systemu. Informuje o faktycznym zaryglowaniu zamka, a nie jedynie o przymknięciu drzwi. Dokonując wyboru, warto także zwrócić uwagę na nowoczesne metody kontroli dostępu, takie jak czytnik linii papilarnych, RFID (zdalna identyfikacja radiowa) czy klawiatura kodowa. Pozwala to ograniczyć dostęp do domu tylko do grona osób uprawnionych bez konieczności korzystania wyłącznie z tradycyjnego klucza. Niektórzy patrzą na takie nowości krytycznie, ale to, co może początkowo wydawać się zbędnym gadżetem, często okazuje się przydatne w codziennym użytkowaniu.

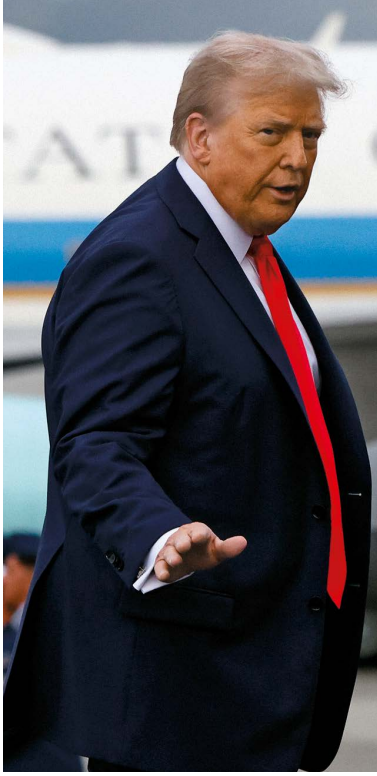
CEZARY KOWANDA

eprasa.pl f2420985f2



eprasa.pl f2420985f2





Wegetarianie kontra kanibale

Rozmowa z ekspertem ds. międzynarodowych Eugeniuszem Smolarem o tym, dlaczego Trump wcale nie sprzyja Putinowi. I jak skutecznie Europa straszy Chiny.

MAREK OSTROWSKI: **– Broni pan Donalda Trumpa?**

EUGENIUSZ SMOLAR: – Trump jest niezwykłą – mówiąc delikatnie – osobą, której możemy przypisać wszystkie złe cechy i niewiele dobrych. Jest kretynem, ale nie idiotą. Problem w tym, że dziennikarze i politolodzy skupiają się często na jego cechach osobistych, a nie tym, co tak naprawdę robi. I jakie to ma konsekwencje dla Polski i Europy.

I co robi?

Wszystko to zostało wcześniej zapowiedziane w licznych dokumentach środowisk prawicowych, głównie Heritage Foundation, zwłaszcza w tzw. Project 2025. Trump wprowadził już w życie ok. 60 proc. zawartych tam propozycji programowych. Dotyczą one głównie spraw wewnętrznych, ale i polityki zagranicznej, w tym stosunku do sojuszników. Trumpiści zupełnie przeformułowali globalną rolę Stanów Zjednoczonych. Inaczej niż w 1945 r., kiedy potęga Ameryki była budowana na sojuszach, zaczęli traktować sojuszników w sposób transakcyjny – coś za coś.

Czy to zbliża nas do wojny z Rosją?

Nie wiem, ale – trzymając się modelu transakcyjnego – odstraszanie jest dużo tańsze niż sama wojna. I to jest ważna teza mojej nowej książki: trzeba rozpatrywać takie scenariusze, w których USA nie przyjdą jednak z pomocą Europie „w godzinie W". Choć intensywne zbrojenie się zarówno Polski, jak i innych państw europejskich w jakimś stopniu realizuje oczekiwania Waszyngtonu.

I mimo to nie możemy już być pewni sojuszniczej odsieczy?

W Warszawie wystąpił ostatnio głównodowodzący wojsk NATO w Europie gen. Alexus Grynkewich i przedstawił optymistyczną wizję obrony. Ale Sojusz oparty jest na jednomyślności – wystarczy jedno weto, aby wszystko zablokować. Poza tym Trump może wydać rozkaz oficerom amerykańskim w NATO, w tym gen. Grynkewichowi, ażeby powstrzymali się od jakiejkolwiek reakcji na ewentualną rosyjską agresję. Powody mogą być rozmaite – biznesowe, wewnątrzamerykańskie. A Unia Europejska, choć zrobiła bardzo wiele w ciągu ostatnich dwóch lat, sama się nie obroni.

W tytule książki ukuł pan neologizm „bezsojusz". Jesteśmy obecnie bez sojuszu?

Sojusze istnieją, ale uległy wewnętrznej erozji, brakuje zaufania między sojusznikami. Państwa bałtyckie zastanawiają się,

© KYODO NEWS/GETTY IMAGE, GETTY IMAGES, ANNA AMAROWICZ

eprasa.pl f2420985f2



Od lewej: **Donald Trump z Xi Jinpingiem podczas majowej wizyty w Pekinie i z Władimirem Putinem na spotkaniu w Anchorage na Alasce w sierpniu 2025 r.**



Eugeniusz Smolar – ur. 1945 r., analityk i były prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych. Opozycjonista w czasach PRL, wyjechał do Szwecji w 1970 r. Na emigracji był dziennikarzem, dyrektorem Sekcji Polskiej BBC, współtwórcą wydawnictwa Aneks. Współpracownik KOR i innych środowisk demokratycznej opozycji. Jego najnowsza książka „Chaos bezsojuszu: Polska i Europa wobec rumowiska starego świata" ukazała się na platformie internetowej Fundacji im. Stefana Batorego.

na ile mogą liczyć na Polskę. Polska zastanawia się, czy polegać na pomocy Europy Zachodniej, w tym Niemiec, przez które będzie przechodziło gros ewentualnej pomocy wojskowej. Cała Europa nie ufa już Stanom Zjednoczonym. Musimy liczyć na siebie, może z wyjątkiem obrony nuklearnej.

Może dlatego, że w różnych państwach Unii postrzeganie zagrożeń jest odmienne?

Poruszamy się na dwóch poziomach – co innego elity europejskie, co innego społeczeństwa, również polskie. Elity przeszły ogromną zmianę od 2022 r. – poczucie zagrożenia zbliżyło państwa europejskie. A ludzie skupiają się na swoich potrzebach, głównie materialnych. Niepokoi ich gwałtowność przemian. Stracili zaufanie do starych elit i lokują swoje nadzieje w ruchach skrajnych, głównie prawicowych – jak AfD w Niemczech czy Marine Le Pen we Francji – ale w praktyce te ruchy nie prezentują przecież żadnej alternatywy.

Może groźba wojny coś zmieni?

Nie wiem. Z jednej strony w ramach Unii dyskutuje się rozszerzenie głosowania większościowego na sprawy polityki zagranicznej i bezpieczeństwa. A z drugiej strony trudno sobie wyobrazić, żeby np. Francja – zważywszy jej tradycje geostrategiczne – pogodziła się z przegłosowaniem jej w ramach Rady Europejskiej, jeśli uznałaby, że chodzi o jej podstawowe interesy. Nie wiemy też, jak zareagują społeczeństwa i w jakim stopniu będą się kierowały solidarnością wobec zaatakowanych państw na wschodniej flance. Dlatego tak potrzebna jest Unii autonomia strategiczna, ale bez zrywania z USA. Nawet gdyby trzeba było, jak to robi dziś sekretarz generalny NATO Mark Rutte, podlizywać się Trumpowi.

Tylko czym kieruje się Trump? Geopolityką? Swoiście rozumianym interesem amerykańskiej gospodarki?

Jej rozwój jest celem samym w sobie, ale należy go widzieć w kontekście zmagań o supremację z Chinami. Gospodarka amerykańska rozwija się ponad trzy razy szybciej niż europejska, ale poziom zadłużenia USA osiągnął 120 proc. PKB. We Francji przy podobnym zadłużeniu mamy głęboki kryzys. W Ameryce nie, choć widać już ograniczenie wydatków inwestycyjnych.

Moi amerykańscy przyjaciele mówią, że gdy wracają z Europy do siebie, czują się jak w Trzecim Świecie. Nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo rozwinięta w sensie infrastrukturalnym jest Europa. Stany Zjednoczone w wyniku zapóźnienia w odbudowie i modernizacji infrastruktury tracą setki miliardów dolarów. A te pieniądze są im bardzo potrzebne. Obecnie koszty obsługi długu USA są wyższe niż wydatki na amerykańską obronę, opiekę zdrowotną i socjalną razem wzięte. Nawet Demokraci przyznają, że Trump jest pierwszym prezydentem, który poważnie się do tego zabrał – dla niego to narzędzie realizowania celów strategicznych, czyli również walki o supremację z Chinami.

Jakie to ma znaczenie dla bezpieczeństwa Europy?

Celem Waszyngtonu i Pekinu jest uniknięcie starcia zbrojnego. Reżim chiński – poza rozbudową wpływów gospodarczych i politycznych na świecie – dba przede wszystkim o stabilność polityczną w kraju. Oni wiedzą, że wojna z Ameryką zniszczyłaby tę stabilność. Dlatego mimo groźnych słów, podwyższania i obniżania taryf celnych mamy do czynienia tak naprawdę ze stabilizacją stosunków. Obie strony zdają sobie sprawę, że są od siebie gruntownie uzależnione. I w produkcji, i w sprzedaży. Z tej perspektywy wojna w Ukrainie jest dla nich źródłem irytacji, ponieważ Rosja – z wyjątkiem wymiaru nuklearnego – nie odgrywa znaczącej roli w światowej polityce. Trump chce więc zakończyć tę wojnę, żeby usunąć źródło irytacji. I dlatego uderza w prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, gdy ten nie godzi się na oddanie Rosji Donbasu.

Czy więc Trump sprzyja Moskwie?

Wręcz przeciwnie – gospodarczo i politycznie uderza w Moskwę. Po spotkaniu Putin–Trump na Alasce w sierpniu 2025 r., z którego Rosjanie wrócili przekonani, że wszystko załatwili, Trump wyciągnął zupełnie inne wnioski. Mianowicie, że Putin nie chce pokoju. I prezydent USA zachowuje się zgodnie z tym przeświadczeniem. Problem w tym, że nie jest w stanie realizować przyjętych priorytetów, bo z administracji usunięto ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ tysiące analityków i dyplomatów znających się na europejskiej polityce. Stąd szamotanina w sprawie Ukrainy.

Warto o tym pamiętać w kontekście ostatniej umowy dieslowskiej z Rosją. Idąc na wojnę z Iranem, Donald Trump i Beniamin Netanjahu wywołali ogólnoświatowy kryzys energetyczny, który uderza też w amerykańską gospodarkę. Dlatego przed listopadowymi wyborami do Kongresu Trump postanowił poczynić gest, który mógłby wpłynąć na opinię publiczną – pokazać, że on jest sprawczy i że ceny diesla spadną. Stąd to porozumienie pozwalające na eksport rosyjskiego oleju napędowego. Ono zasadniczo nie zmienia relacji Waszyngton–Moskwa, bo jednocześnie Amerykanie odmrozili ustawę o daleko idących sankcjach na Rosję i jej kontrahentów energetycznych. Trump nie musi jej użyć, wystarczy, że nią postraszy, choćby w kontekście Ukrainy.

Czyli Trump i rosyjski diesel to żaden skandal?

Absolutnie nie, to nie zmienia linii amerykańskiej polityki. I Moskwa to rozumie. Rozumiał to szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow, który powiedział, że „zostaliśmy oszukani" na Alasce. Takie wypowiedzi Rosjan są ważne, bo wyrażają nie tylko emocje, ale wykazują też pewną linię rozumowania. Putin wie, że Trump nie jest jego przyjacielem. Mało tego, uważam, że Trump kontynuuje politykę Joe Bidena – zarówno gospodarczego, jak i politycznego osłabiania Rosji na wojnie z Ukrainą. Z jednej prostej przyczyny – jeśli miałoby dojść do wojny USA z Chinami, ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie Waszyngton, to Rosja otwierająca drugi front w Europie. Dlatego osłabienie Rosji, wykrwawienie jej na wojnie w Ukrainie leży w interesie USA.

To również leży w interesie Europy. A czy w jej interesie jest dogadanie się z Chinami?

Pekin to nasz partner i jednocześnie konkurent handlowy. W unijnych dokumentach na temat Chin nie pada słowo „przeciwnik", choć Chiny są przeciwnikiem strategicznym z uwagi na ideologię. Mamy do czynienia z opresyjnym reżimem komunistycznym. Ale wobec tego, co ostatnio na świecie wyczyniają Amerykanie, Chiny jawią się dziś jako oaza stabilizacji, przewidywalności oraz multilateralizmu – dlatego tak wzdychają do nich kraje Globalnego Południa. One poszukują dziś alternatywy dla stosunków z Waszyngtonem. I chodzi tu o pragmatyzm, nie ideologię. Chiny, ani tym bardziej Rosja, nie są źródłem – nazwijmy to – ideologicznych nadziei, jak to było w przeszłości.

To pragmatyczne podejście do relacji z Chinami nie sprawdziło się jednak w przypadku państw afrykańskich.

To prawda, w Afryce chińskie inwestycje spotykają się z rosnącym oporem. Chiny zatrudniają tam własnych pracowników, nie dopuszczają lokalnych inżynierów do nowych technologii, nie przekazują tych technologii, wykorzystują de facto te państwa i uzależniają od ogromnych kredytów.

Jakie z tego lekcje dla Europy?

Zagrożenia są ogromne. Dla bezpieczeństwa – ze względu na Rosję. Chiny zagrażają nam z powodu ich subsydiowanej produkcji i handlu. USA – z powodu nieprzewidywalności i wrogości trumpistów wobec UE, bo Unia jako wspólnota utrudnia im wykorzystywanie, wyłuskiwanie poszczególnych państw. Ze względu na te wszystkie zagrożenia Unia nie może zachowywać się jak wegetarianin w świecie kanibali.

Bo wegetarianom brak energii?

Dziś już nie wystarczy, że jesteśmy najlepszym miejscem do życia na świecie. To już za mało, że Unia jest potęgą regulacyjną i wzorcotwórczą. Musimy zintegrować unijne polityki, wykorzystując atrakcyjność wspólnego rynku, z polityką pomocową, z polityką migracyjną, z polityką klimatyczną, aby skutecznie oddziaływać na świecie. Ale pozostaje kwestia twardego bezpieczeństwa. Świat w sensie geopolitycznym zmierza w kierunku duopolu amerykańsko-chińskiego. I my w zasadzie nie mamy wyboru. Przy wszystkich błędach administracji Trumpa w polityce gospodarczej, wewnętrznej, atakach na prawa obywatelskie w USA, przy całym upolitycznieniu FBI, wojska, administracji w stopniu niespotykanym wcześniej Stany Zjednoczone pozostają dla nas niezbędnym punktem odniesienia z jednego powodu – bezpieczeństwa.

A nie możemy – jako Europa – grać na dwóch fortepianach, amerykańskim i chińskim?

Podaję w mojej książce dane, które wskazują na ogromne zagrożenie dla gospodarki europejskiej ze strony Chin. Poziom subsydiów chińskich dla własnej produkcji jest niespotykany, często wynosi ponad 4 proc. wartości produktu końcowego. Te subsydia zaczynają się na poziomie projektowania inwestycji w Chinach, zakupu gruntu, budowy fabryki, wyposażenia jej w maszyny, produkcję, transport i eksport.

I jak Europa na to reaguje?

Słabo albo wcale. Zaplanowane kontrataki nie były realizowane ze względu na różnice zdań między grupami państw skupionymi wokół Berlina i Paryża. Ostatnio, z ponadrocznym opóźnieniem, Friedrich Merz i Emmanuel Macron dali Komisji Europejskiej zielone światło dla radykalnego ograniczenia chińskiego importu do Unii, który pozbawia nas kilkudziesięciu tysięcy miejsc pracy dziennie. Pekin to odnotował i zareagował, godząc się na ograniczenie eksportu samochodów do Europy. To było zaskoczenie, że Chiny w tej sprawie się cofnęły. A okazało się, że gdy występujemy jako Unia zjednoczeni i zdecydowani, możemy postawić na swoim. Atrakcyjność wspólnego rynku europejskiego ma dla Chin znaczenie zasadnicze. Zamknięcie lub przymknięcie tego rynku uderzy natychmiast w skalę chińskiej produkcji, a tym samym – w stabilizację społeczną.

Czyli Europa może być asertywna i skuteczna?

Wierzę w europejską spójność, ale może być różnie. Teraz negocjowany jest nowy budżet unijny. Liczne państwa już zapowiedziały, że się nie zgodzą na zwiększenie budżetu ponad obecny poziom ok. 1,1 proc. wspólnego PKB państw członkowskich. A jednocześnie oczekiwania wobec Unii gwałtownie rosną, ostatnio w sprawie bezpieczeństwa i zbrojeń. I tu mamy paradoks: państwa członkowskie z jednej strony publicznie wyrażają poparcie np. dla programu SAFE (unijny instrument finansowy wspierający obronność – przyp. red.), ale przecież bezpieczeństwo musi być „kupowane" z budżetów państw członkowskich, samej Unii na to nie stać. W sensie finansowym jej rola ma głównie charakter mobilizacyjny i organizacyjny.

Unia to arena negocjacji.

Nie dość tego powtarzać. Przecież w wyniku różnic między Berlinem i Paryżem reforma strefy euro ugrzęzła dwa, trzy lata temu. Dodajmy – reforma przecież niezbędna dla dalszego rozwoju Unii. Ona ma również wymiar polityczny, bo przecież jeśli chcemy odciąć tlen ruchom skrajnym w Europie, to musimy zadbać o rozwój gospodarczy, o społeczną stabilność. A jest na to szansa, bo według badań sondażowych wciąż ponad 65 proc. Europejczyków popiera unijny projekt. Teraz trzeba temu projektowi nadać treść i sprawczość.

ROZMAWIAŁ MAREK OSTROWSKI

eprasa.pl f2420985f2

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki POLITYKI





Październikowe numery już w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektpulsar.pl

Prenumerata także z bezpłatną dostawą do wybranego

InPost Paczkomat 24/7

eprasa.pl f2420985f2

Prawa ręka ojca

Flavio Bolsonaro, syn skazanego eksprezydenta puczysty, jest o krok od wygrania prezydentury Brazylii. Czym porwał za sobą blisko połowę wyborców?

ARTUR DOMOSŁAWSKI

Niemal wszystkie sondaże zawiodły. Pierwszą turę wyborów prezydenckich w Brazylii miał wygrać urzędujący przywódca, legenda latynoamerykańskiej lewicy, Lula da Silva. Różnicę „na żyletki" przewidywano dopiero w drugiej turze, która odbędzie się w najbliższą niedzielę. Zwycięstwo ultraprawicowca Flavia Bolsonaro już w pierwszej turze zostawiło Luli niewielkie szanse na odwojowanie wyniku.

Ostatnią deską ratunku dla lidera lewicy są ci, którzy nie głosowali w pierwszej odsłonie. Frekwencja wyniosła 79 proc.





Obecny prezydent Lula da Silva, wciąż popularny, lecz politycznie samotny, może jeszcze liczyć na wyborców centrowych

i w polskiej optyce wydaje się wysoka, ale w Brazylii głosowanie jest obowiązkowe – tam uznano ją za niską. Jeśli Luli uda się przeciągnąć na swoją stronę zdecydowaną większość nieobecnych, wciąż będzie mieć szansę. Potrzebuje cudu i w polityce takie cuda czasem się zdarzają. Ale rzadko.

Człowiek klanu

Wiele wskazuje na to, że nowym prezydentem Brazylii zostanie 45-letni Flavio Bolsonaro. Tę kandydaturę, jak głosi wieść, narzucił obozowi ultraprawicowców jego ojciec Jair, były prezydent, który odsiaduje w areszcie domowym wyrok 27 lat pozbawienia wolności za próbę zamachu stanu po przegranych wyborach w 2022 r. Stary Bolsonaro, nieufający nikomu, chciał mieć pewność, że jeśli jego obóz polityczny wróci do władzy, on będzie mieć nadal wpływ na bieg spraw. Początkowo sondaże nie dawały szans jego synowi. Uważano, że forsując kandydaturę Flavia, senior Bolsonaro przedkłada interesy klanu rodzinnego ponad interes obozu politycznego. Jednak

© MARINA UEZIMA/BRAZIL PHOTO PRESS/ALAMY/BE&W, PAP/EPA/ISAAC FONTANA



wydarzenia potoczyły się zgodnie z oczekiwaniami i klanu, i obozu.

Flavio ma opinię najbardziej umiarkowanego w rodzinie. Nie demonstruje sympatii do dawnej dyktatury wojskowej, nie popisuje się seksistowskimi i rasistowskimi wypowiedziami, z jakich słynął ojciec; w porównaniu z nim i z braćmi jest istnym gołąbkiem, przynajmniej tak się prezentuje. Jego brat Carlos, podobnie jak macocha Michelle (trzecia żona katolika Jaira) zostali właśnie wybrani do senatu. Inny brat, Eduardo, przyczaił się w Stanach Zjednoczonych, gdzie zajmuje się polityką zagraniczną klanu. W Brazylii skazano go zaocznie na cztery i pół roku więzienia za nielegalne próby wpływania na proces ojca puczysty.

Flavio bynajmniej nie odcina się od ojca. Przeciwnie – uważa go za ofiarę politycznych prześladowań. Zapowiedział, że jeśli wygra wybory, podejmie kroki na rzecz amnestii dla wszystkich skazanych za próbę puczu. Takich osób jest 1402, większość z nich to uczestnicy demolki budynków pałacu prezydenckiego, kongresu i sądu najwyższego w stolicy kraju Brasilii.

Fala z Waszyngtonu

Czym Bolsonaro junior porwał blisko połowę Brazylijczyków? Zapowiedział obniżenie podatków, ograniczenie do minimum roli państwa i budowę megawięzień. Ta ostatnia zapowiedź to lejtmotyw kampanii także innych reakcyjnych liderów w regionie; takoż i polityka twardej ręki wobec przestępczości zorganizowanej, którą Bolsonaro nazywa „narkoterroryzmem". Nazwa „narkoterroryzm" nie jest niewinna – posługuje się nią Donald Trump i otwiera ona drzwi do interwencji zbrojnej USA. Brazylia pod przywództwem Bolsonaro juniora zapewne przystąpi do sojuszu politycznego tworzonego przez Trumpa.

Żadne oskarżenia ani śledztwa prokuratury nie zaszkodziły liderowi wyścigu o prezydenturę. Bolsonaro junior, który zapowiada walkę ze zorganizowaną przestępczością, sam jest oskarżany o korupcję, pranie pieniędzy, bliskie związki z bankierem, który był mózgiem głośnej korupcyjnej afery. Flavio jeszcze jako poseł w imieniu stanowego parlamentu odznaczył sądzonego za zabójstwo policjanta, który stał się później ważną figurą przestępczych milicji – postrachu dzielnic nędzy – trudniących się wymuszaniem pieniędzy. W biurze parlamentarnym zatrudniał matkę i żonę skazanego, które nie wykonywały żadnej pracy, a on przywłaszczał część ich wynagrodzenia.

Młodego Bolsonaro niesie fala, jaka wezbrała w regionie w ostatnich latach, a której patronuje lokator Białego Domu. Jej liderzy, a za nimi ich zwolennicy, kwestionują nie tylko egalitarne reformy ostatniego ćwierćwiecza, lecz także całą progresywną racjonalność. Zwracają się ku zmitologizowanym obrazom przeszłości, gloryfikują zbrodnicze prawicowe dyktatury, kpią z praw kobiet, rdzennych mieszkańców, osób LGBT, negują zmiany klimatyczne. Podoba im się szeroki dostęp do broni palnej i drakońskie kary za najdrobniejsze nawet przestępstwa. Szczują przeciw imigrantom.

Skrajni prawicowcy zdobyli już władzę w Argentynie (Javier Milei), Chile (José Antonio Kast), Kolumbii (Abelardo de La Espriella), Boliwii (Rodrigo Paz), Peru (Keiko Fujimori), Salwadorze (Nayib Bukele) i kilku małych państwach.

Być może hasłem Bolsonaro, które najbardziej trafiło do wielu Brazylijczyków, były nie niskie podatki ani obcięcie funkcji społecznych państwa, lecz wizja zakończenia epoki Luli i Partii Pracujących. Najczęściej powtarzanym słowem w jego kampanii była „zmiana". Być może, jak sugerują niektóry komentatorzy, to zmęczenie starymi politykami – tak lewicy, jak i prawicy – jest najsilniejszym wiatrem w żagle bolsonaryzmu.

Mistrz wstawania

Lula i jego Partia Pracujących to długa i imponująca historia – ponad 45 lat walki o demokrację i o prawa słabych, nieuprzywilejowanych. Syn pary biednych z biednego regionu kraju, wychowany w wielodzietnej rodzinie przez samotną matkę (ojciec ich porzucił). Zbuntowany przeciw dyktaturze wojskowej lider związku metalowców i założyciel Partii Pracujących, która zmusiła wojskowych do stopniowego oddawania władzy. Charyzmatyczny mówca i świetny negocjator – z pracodawcami, z rekinami świata finansów, z dyktatorskim rządem. Pragmatyk, który układa się z przysłowiowym diabłem, jeśli służy to tym, którym obiecał poprawę losu.

Trzy razy przegrywał wybory prezydenckie – wygrał dopiero za czwartym, w 2002 r. Nie złamała go śmierć żony, z którą spędził większość życia, ani rak. Nie złamały go fałszywe oskarżenia, brudna kampania oszczerstw i więzienie oparte na lipnych poszlakach. Upadał i wstawał – ostatnio, gdy uwolniony od zarzutów, wypuszczony z więzienia odbudował swoją reputację, i po raz trzeci, w 2022 r., wygrał wybory prezydenckie. Pokonał w nich Jaira Bolsonaro – patriarchę klanu.

Za swój największy sukces uważa wyciągnięcie z ubóstwa ok. 40 mln Brazylijczyków; włączenie wykluczonych do grona beneficjentów bogactw kraju; przezwyciężenie historycznych niesprawiedliwości; awans społeczny potomków niewolników i większą obecność kobiet w instytucjach władzy. Jak mawia czasem, dzieci sprzątaczek, pracownic domowych, dozorców mogą dziś zostać lekarzami i prawnikami – kiedyś nie do pomyślenia. Gdy z końcem 2010 r. – po ośmiu latach rządów – opuszczał urząd prezydenta, cieszył się aprobatą 90 proc. Brazylijczyków.

Mimo zaawansowanego dziś wieku – niedługo skończy 81 lat – nadal tryska energią. Dbanie o formę fizyczną, które zawdzięcza w dużej mierze sporo młodszej żonie, socjolożce Rosângeli da Silvie (zwanej Janją), stało się nie tylko strategią piarową, ale też promowaniem zdrowego stylu życia. Janja skutecznie zarządza nagraniami wideo w mediach społecznościowych, na których Lula dźwiga sztangi na siłowni, żwawo maszeruje na bieżni lub truchta w parku. ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ Kończąca się trzecia już kadencja Luli była przede wszystkim porządkowaniem bałaganu, jaki zostawił po swoich rządach Bolsonaro ojciec (2019–22). Lula wznowił porzucone lub wypaczone przez niego programy socjalne dla najbardziej potrzebujących. Jedną z konsekwencji tych działań było ponowne skreślenie Brazylii z oenzetowskiej „mapy głodu" (w pierwszych dwóch kadencjach, 2003–11, rząd Luli zlikwidował zjawisko głodu, ale polityka Bolsonaro sprawiła, że plaga ta wróciła).

W ostatnich czterech latach wzrosła płaca minimalna i zmniejszyło się bezrobocie. Rząd Luli zajął się zmorą brazylijskich rodzin – zadłużeniem gospodarstw domowych. Program oddłużania „Desenrola Brasil" otworzył drogę do renegocjacji długów milionów Brazylijczyków. Zniesiono podatek dochodowy dla osób zarabiających do 5 tys. reali miesięcznie (ok. 4 tys. zł). Jednocześnie najbogatsi płacą więcej, a dodatkowo obciążono ich fundusze i inwestycje utrzymywane za granicą.

Przywrócono funkcjonowanie wielu instytucji, m.in. powróciły konkursy na stanowiska w administracji publicznej. Przywrócono zlikwidowane przez Bolsonaro ministerstwa – kultury i ds. kobiet. To ostatnie prowadzi intensywną kampanię przeciw kobietobójstwom (w Brazylii śmiertelnymi ofiarami przemocy domowej padają średnio cztery kobiety dziennie). A jednak wszystkie te naprawy, reformy nie wystarczyły, by po pierwszej turze Lula był faworytem wyścigu o prezydenturę. Dlaczego?

Krótka pamięć

Skrajna prawica trafiła ze swoim przekazem do duchowości ludowej i przekonała wielu wyborców do utopii indywidualizmu jako drogi do lepszego życia. Gdy w czasach globalizacji, potęgi rynków finansowych i ponadnarodowych koncernów państwo może mniej, zbawiajmy się sami. Niektórzy komentatorzy przywołują w tym kontekście włoskiego myśliciela, komunistę Antonia Gramsciego. Ukuł on pojęcie hegemonii kulturowej, wedle którego władzę sprawuje się nie tylko za pomocą instytucji przemocy, lecz także dominującego światopoglądu. Kto zdoła narzucić własną narrację, symbole, obrazy, wartości, ten dyktuje warunki i politycznie wygrywa. Ta sztuka udaje się dziś skrajnej prawicy nie tylko w Brazylii.

Filarami przekazu Flavia Bolsonaro są wiara, rodzina, osobisty dobrobyt. A państwo, polityki społeczne, progresywne idee odsyła do lamusa. Nierówności są naturalnym stanem rzeczy (zatem precz z „rozdawnictwem"), czyńmy sobie naturę poddaną (więc tnijmy Amazonię), osobisty dobrobyt to znak przychylności Boga (więc po co wyciągać nieszczęśników z nieszczęść?).

Spójne i okrutne – lecz podoba się połowie wyborców w spolaryzowanym kraju. Bo przecież skoro przestępczość panoszy się na ulicach, to może – jak sądzi pewnie niejeden wyborca Bolsonaro – samoobrona (czytaj: szeroki dostęp do broni) jest receptą. Twarda ręka i megawięzienia – też. Koncept ratowania się na własną rękę, także w innych obszarach życia, trafia na podatny grunt, gdy państwo nie nadąża z rozstrzyganiem kolejnych problemów. Te uproszczone, nierzadko mylące komunikaty, docierają do wiernych Kościołów ewangelikańskich, użytkowników platform cyfrowych i mediów społecznościowych po wiele razy codziennie. I odwołują się do instynktów, nawet nie uczuć, na pewno nie rozumu. Skrajna prawica skutecznie je rozgrywa, lewica jest w tej grze nieudolna.

W Brazylii rządząca Partia Pracujących i sam Lula niosą dziś na sztandarach własne sukcesy, ale głównie te sprzed 15–20 lat: program Bolsa Familia (port. Koszyk Rodzinny) i wiele innych programów społecznej inkluzji, dostęp do uniwersytetów dla nieuprzywilejowanych, ogólnie – wyciąganie biednych z biedy. Tyle że działania te ludzie traktują dziś jako przezroczystą, bezimienną politykę państwa, a nie osiągnięcia Luli i lewicy. Społeczna pamięć się zaciera, a ciepła woda w kranie jest oczywistością.

W odbywających się równocześnie wyborach do parlamentu i na gubernatorów błędem Partii Pracujących było prawdopodobnie postawienie na starych, opatrzonych liderów. Bolsonaro junior i jego Partia Liberalna wpuścili młodych, niezwiązanych z tradycyjnymi partiami, co stworzyło efekt świeżości, otwarcia na nowe pokolenie. Wielu zasłużonych działaczy lewicy przegrało miejsca w parlamencie i stanowiska gubernatorów z młodszymi ultrasami – zadziałał efekt nowości i nadziei na zmianę.

W „Krótkim manifeście przeciw rozpaczy" lewicujący pisarz i wykładowca socjologii José H. Bortoluci sugeruje przywódcom Partii Pracujących sformułowanie nowych diagnoz, także autokrytycznych, nowego repertuaru działań i nowego języka. Apeluje o odważne przyznanie, że dawne sukcesy już nie wystarczają. „Aby sutuacja się odwróciła, trzeba stworzyć alternatywę na miarę rewolucji polityczno-kulturowej, jaką z wielkim sukcesem wdrożył obóz przeciwny – pisze Bortoluci. – [Powinna to być] radykalnie nowa, przekonująca wizja przyszłości, zbudowana z materii prawdziwego życia i energii marzeń".

Wyczerpani zdecydują

Czy Lula będzie w stanie wejść na tę ścieżkę? Być może jako mentor czy patron. Na razie ma inny ból głowy, któremu próbuje zaradzić – drugą turę wyborów, bój ostatni o demokrację i zatrzymanie reakcyjnego tsunami. Przez dekady miał krąg zaufanych, którzy mówili mu w oczy niewygodne prawdy. Poumierali lub oddalili się. Dziś, choć wciąż popularny, Lula jest politycznie samotny i – jak mówi w „El País" jego dawny przyjaciel i wciąż niezachwiany zwolennik brat Betto, dominikanin – nikogo nie słucha. A może słucha, bo zawsze słuchał, tylko ci, którzy go otaczają, nie mają odwagi mówić mu tego, co trudno przyjąć.

Przed niedzielnym finałem Lula wyciąga rękę do wyborców centrowych, których część mogła zagłosować w pierwszej turze na Bolsonaro, a inna część nie poszła na wybory. Różne głosy wzywają do szerokiego frontu demokratycznego, aby połączyć nie tylko tych, którzy zazwyczaj popierają lewicę. Kartą przetargową Luli są zagrożenia dla demokracji, jakie mogą przynieść rządy klanu Bolsonarów, jak i zagrożenie suwerenności kraju – bo Bolsonarowie są zblatowani z Trumpem, a ten już wyciąga ręce po niektóre z drogocennych brazylijskich surowców.

Jak pisze analityk Leonardo Sakamoto, wybory może rozstrzygnąć „wyczerpany Brazylijczyk", mający dość politycznej polaryzacji i wiecznej bijatyki. Wśród 21 proc. niegłosujących w pierwszej turze takich jest zapewne sporo. Ich ewentualne poparcie będzie kwestią nie tylko dobrej lub złej kampanii, lecz także tego, czy z własnej woli wyjdą na ulice demonstrować i przekonywać nieprzekonanych, że od odwrócenia wyniku z pierwszej tury zależy przyszłość kraju. Bo z Bolsonaro juniorem za sterami jawi się ona w ciemnych kolorach – jeśli nie od razu czarnym, to na pewno brunatnym.

ARTUR DOMOSŁAWSKI

eprasa.pl f2420985f2



© COSTAS BALTAS/ANADOLU/GETTY IMAGES

Upadła Afrodyta

ŁUKASZ WÓJCIK

Czy to koniec „namiestniczki USA na Bałkanach”? Kimberly Guilfoyle okazała się równie sprawna i skorumpowana jak jej niedoszły teść Donald Trump.

Cała na czarno. Czarny makijaż w stylu smokey eye, czarne obcisłe kreacje od znanych projektantów. Generalnie styl kobiet z otoczenia Donalda Trumpa: włosy niczym u Roszpunki, sztuczne rzęsy, powiększone usta, wysokie obcasy. I nominacja na ambasadorkę Stanów Zjednoczonych w Grecji. Mogłoby się wydawać, że to historia, jakich wiele w okolicach Białego Domu. Ważne stanowisko zajmuje osoba niekompetentna, której prezydent był coś winien – albo zakłada, że ona będzie mu coś winna. Nominatka się kompromituje, ale zanim z hukiem straci posadę, na lewo i prawo „monetyzuje” dostęp do Białego Domu, dzięki czemu gromadzi pokaźny majątek. Pozory mogą jednak mylić.

„Prześlij mi te pieniądze. Proszę” – miała napisać na Signalu do Erica Detersa. Potem wysłała mu również instrukcje, jak zrobić przelew, nie zostawiając śladów. Był wrzesień 2025 r., dzień przed przesłuchaniem w Kongresie, które miała przejść jako kandydatka na ambasadorkę. Procedury wymagają, aby taka osoba nie miała żadnych niejasnych zobowiązań, które mogłyby posłużyć do szantażu. 57-letnia Kimberly Guilfoyle była wtedy spłukana. Na karcie kredytowej miała debet dochodzący do 100 tys. dol. I właśnie o taką sumę poprosiła Detersa, bogatego biznesmena i donatora Republikanów. Deters najpierw odpisał jej, że taki przelew skończyłby się dla niego rozwodem, a potem przyznał, że „nie ma akurat tyle wolnej gotówki”.

Guilfoyle, zanim poszła w zaparte i zaczęła przekonywać, że ujawniona konwersacja z Detersem to wytwór sztucznej inteligencji, wcześniej się tłumaczyła, że Deters był jej winny akurat 100 tys. dol. za wykłady i szkolenia, które przeprowadziła podczas organizowanych przez niego „konferencji” (media nie znalazły po nich śladu). Gdy na początku października „Wall Street Journal” ujawnił tę historię, prezydent Trump jeszcze przez kilka dni próbował jej bronić. W końcu się poddał i napisał: „Niemiło to wszystko czytać o Kimberly”. 13 października nowa rzeczniczka Białego Domu Katie Zacharia poinformowała, że prezydent poprosił Guilfoyle o ustąpienie ze stanowiska. To jednak nie koniec tej historii. ▶

eprasa.pl f2420985f2

2 Trump radykalnie spersonifikował politykę zagraniczną USA, którą prowadzą dziś członkowie jego rodziny, dawni prawnicy, koledzy z deweloperki. Od początku drugiej kadencji jego ludzie wyrzucili prawie 40 proc. dotychczasowej kadry dyplomatycznej – „zwolnieni nie budzili zaufania prezydenta", głosiło oficjalne oświadczenie. Rzadko się zdarza, że ktoś z ostańców wyjeżdża kierować placówką dyplomatyczną. Polska ma problem z nominacjami ambasadorskimi? To żaden problem. Na 196 stanowisk ambasadorskich w amerykańskiej służbie dyplomatycznej jeszcze w zeszłym tygodniu nieobsadzonych było 93. W zasadzie 94, licząc ambasadę w Grecji.

Guilfoyle, która ją właśnie opuściła, to prawie rodzina Trumpa. Przedstawia się jako dziecko imigrantów, choć matka pochodziła z Portoryko formalnie należącego do USA. Ojciec był z pochodzenia Irlandczykiem – stąd charakterystyczne nazwisko – ale z papierów Amerykaninem. Urodziła się w San Francisco, tam też skończyła prawo – aby opłacić studia, dorabiała jako modelka bielizny. Nigdy nie miała problemów z eksponowaniem swojego ciała, o czym zaraz.

Po studiach szybko awansowała w prokuraturze, dochodząc do stanowiska zastępczyni prokuratora okręgowego. Wówczas poznała swojego pierwszego męża, Gavina Newsoma, dziś demokratycznego gubernatora Kalifornii i jednego z pretendentów do Białego Domu, wtedy – szeregowego radnego San Francisco. Co roku jeździli na kolejne „podróże poślubne", a gdy Newsom został burmistrzem miasta św. Franciszka, polecieli do Grecji.

Po latach Guilfoyle przyzna, że właśnie wtedy poczuła, że jest „duchową Greczynką". Przypomniała sobie kurs ze starożytności, który zaliczyła na studiach, po powrocie do kraju zarządziła wielki remont domu w stylu greckim. Wkrótce potem rozwiodła się z Newsomem i zaczęła solową karierę. Przeniosła się na Wschodnie Wybrzeże i na ekran. Najpierw doradzała w kwestiach prawnych CNN, w końcu trafiła do Fox News, największej prawicowej telewizji w USA. W latach 2011–18 prowadziła tam popularny program polityczny „The Five", w czym zasadniczo przydał się jej ofensywny język. Ale ofensywna była też w innej sferze, co zresztą przyniosło jej po raz pierwszy ogólnokrajową sławę.

Zaczęło się od listu, który jedna z asystentek Guilfoyle wysłała do dyrekcji Fox News. Na bitych 42 stronach opisała tam wszystkie niestosowne zachowania przełożonej. Guilfoyle m.in. kazała jej pracować razem z nią w domu, po którym chodziła nago, i domagała się recenzji swojego ciała, a także genitaliów mężczyzn, z którymi spała (miała je wszystkie sfotografowane). Namawiała asystentkę do uprawiania seksu z bogatymi gośćmi jej programów i puszczała filmy porno w biurze. Stacja musiała zapłacić ponad 10 mln dol. odszkodowania asystentce, która i tak wytoczyła proces Guilfoyle. Ona sama wszystkiemu zaprzecza, ale jej proces zakończył się ugodą, zapewne słono opłaconą. Po tym wszystkim wyrzucono ją z Fox News.

3 Korzystając ze swych telewizyjnych znajomości, Guilfoyle trafiła do wielkiej polityki. Starający się o reelekcję Trump akurat potrzebował kobiet w kampanii, bo wśród Amerykanek miał wyraźnie gorsze notowania od Joe Bidena. Guilfoyle najpierw zajęła się finansami kampanii, ale Trump szybko zrobił z niej wiecową gwiazdę i – ku zaskoczeniu wielu doświadczonych Republikanów – powierzył jej otwarcie partyjnej konwencji.

Trump miał nosa, Guilfoyle błyszczała. Niemal wrzeszcząc, ostrzegała, że Demokraci „chcą zniszczyć ten kraj oraz wszystko, o co walczyliśmy i co jest nam drogie". Wystąpienie zakończyła okrzykiem: „Panie i panowie, liderzy i bojownicy o wolność i amerykańskie marzenie: to, co najlepsze, dopiero przed nami!". Trump miał jej potem powiedzieć, że było to jedno z „najwspanialszych" przemówień, jakie kiedykolwiek widział. Podczas tamtej kampanii Guilfoyle „poznała seksualnie", jak sama się chwaliła, Donalda Trumpa, choć juniora – para szybko się zaręczyła. Dziś Donald senior mówi: „ledwie ją znam", ale Guilfoyle przez cztery lata nie przegapiła żadnej rodzinnej imprezy Trumpów, raz nawet zorganizowała swoje urodziny w Mar-a-Lago. Tam też miały się odbyć huczny ślub i wesele.

Aż w grudniu 2024 r. brytyjski tabloid „Daily Mail" opublikował plażowe zdjęcia Donalda juniora z niejaką Bettiną Anderson w niepozostawiających wątpliwości pozach. „New Yorker" donosił, że Trump senior wpadł w panikę. A Stephanie Grisham, była rzeczniczka pierwszej damy Melanii Trump, napisała w serwisie X: „Ona wie zdecydowanie za dużo o rodzinie Trumpów i ich najbliższym otoczeniu; domyślam się, że woleliby mieć ją jak najdalej od siebie".

Grecję wymyśliła sobie sama, Trump junior przezornie się za nią wstawił i Trump senior długo się nie zastanawiał.

4 „Wiesz, mogę dać ci cały świat. Na to zasługujesz" – mówiła do Alexandrosa Exarchou, jak wynika z nagrania ujawnionego przez „Wall Street Journal". „Zarobię dla ciebie mnóstwo pieprzonej kasy". Exarchou to jeden z najbogatszych Greków, właściciel koncernu AKTOR Group, do niedawna z branży budowlanej. Na pokładzie jego odrzutowca Guilfoyle poleciała w styczniu na Światowe Forum Ekonomiczne do Davos. Exarchou to ważna postać, jeszcze do niej wrócimy. Inny bogaty Grek, magnat z branży żeglugowej Nikolas Tsakos, wcześniej, na święta, gościł ją w swoim domu w szwajcarskim Gstaad. A po Davos zaprosił do apartamentu w paryskim hotelu Four Seasons George V (ponad 40 tys. zł za noc). Guilfoyle była już wtedy ambasadorką USA w Grecji.

Senat zatwierdził ją na to stanowisko we wrześniu 2025 r. Początkowo Grecy zareagowali z rezerwą. Przypomniano jej, że podczas greckiego kryzysu finansowego na antenie Fox News nazwała ich „darmozjadami", których należy ukarać „niczym psa sikającego na dywan". Niektóre gazety pisały nawet o braku szacunku dla Grecji. Ale tylko do dnia, gdy przyleciała do Aten.

Już pięć dni po przylocie, 5 listopada 2025 r., wzięła udział w uroczystości podpisania przez Grecję umowy z amerykańskim koncernem ExxonMobil w sprawie rozpoczęcia poszukiwań gazu ziemnego na północny zachód od Korfu. 10 listopada patronowała umowie gazowej między greckim premierem Kiriakosem Mitsotakisem a ukraińskim prezydentem Wołodymyrem Zełenskim. Potem Guilfoyle powie portalowi Breitbart News, że regularnie rozmawia z Mitsotakisem: „A jeśli chodzi o (greckich – przyp. red.) ministrów spraw zagranicznych, obrony czy marynarki wojennej, to zawsze odbierają ode mnie telefon". W reakcji na to znany grecki politolog Konstantinos Filis napisał, że „wyglądamy jak kraj Trzeciego Świata". A wywodzący się z lewicy były szef MSZ Jeorjos Katrungalos mówił, że ma „wrażenie, jakby USA współrządziły Grecją".

eprasa.pl f2420985f2

5 Pieniądze, których na początku tego tekstu domagała się Guilfoyle od Detersa, to był tylko finał całej serii skandali z jej udziałem, ujawnianych od początku września głównie przez „Wall Street Journal". Zaczęło się od pewnej ateńskiej kolacji w marcu 2026 r. – pani ambasador poróżniła się tam z greckim ministrem energii Stawrosem Papastawru. Groziła mu publicznie, że jeśli Ateny nie zaangażują się bardziej we współpracę gazową z USA, to grecki rząd może upaść. Po czym zwróciła uwagę na kryzys rządowy w Rumunii. „Możemy to zrobić każdemu krajowi, któremu zechcemy. Możemy to zrobić tutaj" – miała powiedzieć. Papastawru potem zaprzeczał, ale świadków było zbyt wielu.

Gdy więc rumuński rząd rzeczywiście upadł 5 maja, tamtejsza opozycja i niezależne media rzuciły się sprawdzać wersję z udziałem Guilfoyle i... znalazły zdjęcia z jej kolejnych, nieoficjalnych wizyt w Rumunii. Na jednym z nich miesiąc przed obaleniem rządu Guilfoyle rozmawia z bliskim doradcą prezydenta Nicuşora Dana i przedstawicielem lidera skrajnej prawicy George'a Simiona. Rumuńskie media pisały wtedy o „woni spisku".

Wkrótce psychoza opanowała cały region. Bułgarskie media pisały, że wiosną 2026 r. Guilfoyle trzykrotnie była w Sofii, gdzie spotkała się z prezydentką Ilijaną Jotową. W marcu rozmawiała z premierem Albanii Edim Ramą. Taka pętla wokół Bałkanów nie jest standardowym zachowaniem ambasadora akredytowanego przecież tylko w jednym kraju. Chodziło jednak o niestandardowy projekt.

6 Bałkany, tak jak spora część Europy, od 2022 r. przechodzą gwałtowną transformację energetyczną. Większość tamtejszych państw jest na jakimś etapie akcesji do Unii Europejskiej i w związku z tym stara się dostosować z jednej strony do sankcji unijnych (w tym przypadku przeciw Rosji), a z drugiej – do wspólnej polityki klimatycznej, która wymusza stopniowe odejście od paliw kopalnych.

Przypomina to często polski przypadek, ale na sterydach. Bo nie dość, że w punkcie wyjścia stopień uzależnienia od rosyjskich surowców energetycznych był wyższy i w zasadzie bezalternatywny, to jeszcze brakuje pieniędzy na inwestycje w energię odnawialną. Państwa bałkańskie skazane są więc na paliwo przejściowe, czyli gaz ziemny. Nie ma go w Europie, z Rosji nie wolno, więc pozostaje jedyne na świecie państwo z nadwyżką produkcji, czyli USA.

Guilfoyle przez 11 miesięcy swojego ambasadorowania zrobiła bardzo wiele, żeby zapewnić swojej ojczyźnie w zasadzie monopol na dostarczanie LNG na Bałkany. Grecja odgrywa tu rolę kluczową – właśnie stąd startuje Wertykalny Korytarz Gazowy, który docelowo będzie zaopatrywać w amerykańskie LNG Bułgarię, Rumunię i Albanię, a może Węgry, Słowację, Ukrainę i Mołdawię. W 2026 r. za sprawą Guilfoyle do projektu oficjalnie dołączyły Serbia i Macedonia Północna.

Priorytetem ma być całkowite uniezależnienie regionu od rosyjskich źródeł energii. Eksperci ostrzegają jednak przed pułapką amerykańskiego monopolu, w ramach którego już dziś Amerykanie sprzedają swój gaz po wyraźnie wyższych



Premier Grecji Kyriakos Mitsotakis z ambasador USA Kimberly Guilfoyle, 2025 r.

cenach niż rynkowe. UE się obawia, że terminy zapowiadanych dziś kontraktów z Amerykanami (w przypadku Albanii – do 2050 r.) w praktyce zablokują przejście państw bałkańskich na odnawialne źródła energii.

7 Równie duże wątpliwości wiążą się z rolą samej Guilfoyle. Otóż wprowadziła ona na Bałkanach model biznesowy charakterystyczny dla innych trumpowskich biznesów. Nagle się okazało, że strona amerykańska uzależniła podpisywanie kolejnych kontraktów gazowych od włączania do nich wspomnianego koncernu AKTOR Group Alexandrosa Exarchou (tego od samolotu do Davos).

Wyjściowy kontrakt na dostawy do Grecji po stronie odbiorców podpisała spółka, w której mniejszościowe udziały ma „grecki Orlen", czyli DEPA, a większościowe właśnie AKTOR Group, czyli firma, która wcześniej nie miała nic wspólnego z gazem. Koncern Exarchou znalazł się we wszystkich umowach podpisanych z inicjatywy Guilfoyle. Dziennik „Financial Times" nazywał to mechanizmem „kupowania dostępu", który niemal powszechnie stosują ludzie z otoczenia Trumpa. „Wall Street Journal" pisze, że gdy tylko wyszło na jaw, że Guilfoyle jedzie na placówkę do Aten, zaraz zaczęli wokół niej krążyć greccy biznesmeni. A ona wiedziała, jak tę sytuację wykorzystać.

Przykład, o którym wiemy. Jeszcze gdy zarządzała finansami kampanii Trumpa, poznała szefa organizacji „Greek Votes for Trump" Christosa Marafatsosa. To młody Amerykanin greckiego pochodzenia, który przez kilka lat prowadził firmę dostarczającą greckie produkty spożywcze do restauracji w pobliżu Waszyngtonu. Marafatsos przypadł do gustu Guilfoyle. Pomógł jej w przygotowaniu do senackich przesłuchań. Miał ponoć służyć również radą w sprawach sercowych.

Gdy ambasadorka Guilfoyle pojawiła się w Atenach, pojawił się razem z nią Marafatsos. Brał udział w najważniejszych spotkaniach, podróżował z nią po Bałkanach. Wielu dyplomatów brało go za szefa biura pani ambasador. Dopiero w sierpniu jedna z greckich gazet ujawniła, że od niedawna jest czołowym lobbystą AKTOR Group i kilku innych dużych greckich firm, które tylko od listopada 2025 do czerwca 2026 r. zapłaciły za jego usługi prawie pół miliona dolarów.

8 Z Guilfoyle jest podobny problem jak z Trumpem. Oboje zachowują się w sposób niezrozumiały z punktu widzenia celów, jakie sobie publicznie wyznaczają. A może ich prawdziwe cele są jednak inne? Tych podobieństw jest więcej. Guilfoyle sprawia wrażenie niezbyt rozgarniętej osoby o wybujałym libido, której wizerunek i zachowania sugerują, że nie może pogodzić się ze swoim wiekiem. I której wyznaczono zadanie daleko wykraczające poza jej kompetencje. W obu przypadkach to tylko pozory.

Dla amerykańskich interesów – tych państwowych i korporacyjnych – Guilfoyle zrobiła na Bałkanach bardzo wiele. Być może jeszcze więcej dla samej siebie. Czy to właśnie zabolało Trumpa, który kazał jej wracać? Ale przecież prezydent USA robi dokładnie to samo, tylko na dużo większą skalę. W obu przypadkach ekscentryzm przesłania wyrachowanie.

ŁUKASZ WÓJCIK

© COSTAS BALTAS/ANADOLU/GETTY IMAGES

eprasa.pl f2420985f2



Robot kurierski Yandexu na ulicach Moskwy. Z infrastruktury tego operatora korzystają nie tylko indywidualni klienci, ale i tysiące firm.

Zabij bota

Ukraińskie ataki na zaplecze rosyjskiego internetu pokazały, że jest on dokładnie taki sam jak całe rosyjskie państwo: absurdalnie scentralizowany i silny tylko pozornie.

LEON PIŃCZAK

Najpierw jednak o pewnej iluzji. Zeszłotygodniowe ukraińskie uderzenia na serwerownie Yandexu, czyli „rosyjskiego Google'a na sterydach", pokazały, jak łatwo ulegamy narracjom zgodnym z naszymi oczekiwaniami. Dobitnym tego przykładem była wrzutka o tym, że owe ataki „zabiły" również rosyjskie boty szerzące dezinformację. W polskiej i europejskiej debacie natychmiast pojawiła się teza (i satysfakcja), że rosyjskie boty nagle zniknęły z internetu. Podchwycili ją politycy, komentatorzy i użytkownicy mediów społecznościowych. 12 października, podczas pierwszego dnia Warsaw Security Forum, mówił o tym sam prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, sugerując, że po uderzeniach było „mniej nienawiści, podziałów i prowokacji". Tyle że to wszystko nieprawda.

Analiza Cloudflare, firmy specjalizującej się w infrastrukturze sieciowej, wykazała, że gwałtowny spadek automatycznego ruchu generowanego przez Yandex (czyli boty) wynikał przede wszystkim z zakłóceń w działaniu jego serwerów. W przypadku wyszukiwarki chodziło głównie o roboty indeksujące (sortujące) strony internetowe, a nie konta szerzące propagandę w mediach społecznościowych. Cloudflare nie znalazł wyraźnych dowodów, że ataki sparaliżowały rosyjskie operacje wpływu w mediach społecznościowych.

Ta historia pokazuje, jak łatwo błędnie interpretować dane techniczne i jak szybko rozchodzą się informacje zgodne z naszymi oczekiwaniami. Zełenski miał interes w podkreślaniu skuteczności ukraińskich uderzeń, ale jego tezę bezrefleksyjnie podchwycili także europejscy politycy i komentatorzy. Niewielu zadało sobie trud, by zweryfikować źródło wykresu aktywności botów masowo udostępnianego w mediach społecznościowych. A ten wykres okazał się fałszywką.

Od co najmniej 12 lat na konferencjach poświęconych bezpieczeństwu słychać o konieczności zwalczania rosyjskiej dezinformacji i sprawdzania źródeł. W nieustannym strumieniu informacji liczą się jednak przede wszystkim szybkość i zasięgi. To także przykład błędu poznawczego zwanego rozumowaniem motywowanym – skłonności do uznawania za wiarygodne informacji potwierdzających to, w co już wierzymy. W powszechnej dziś wojnie informacyjnej nawet odbiorcy świadomi zagrożenia pozostają podatni na niezweryfikowane, ale za to kuszące narracje.

Co nie zmienia faktu, że ukraińskie ataki na centra danych wywołały poważne zakłócenia w działaniu usług cyfrowych w Rosji. Ich skutki pokazały, jak silnie

eprasa.pl f2420985f2

rosyjska gospodarka uzależniła się od infrastruktury krajowych operatorów i jak fizyczne zniszczenie kilku obiektów może nadwyrężyć cały ekosystem cyfrowy.

Mosty i serwery

We wrześniu, wobec impasu na froncie, a nawet lokalnych sukcesów ukraińskiej armii na kierunku łymańskim, Rosja wzmogła ataki na ukraińską infrastrukturę, m.in. na kijowskie mosty. Zastosowana amunicja mogła służyć do przecięcia want i uszkodzenia przepraw, których stan techniczny był krytyczny jeszcze przed rosyjską inwazją w lutym 2022 r. W odpowiedzi mosty zaczęto osłaniać siatkami antydronowymi, podobnymi do tych rozciąganych nad drogami w przyfrontowych częściach Donbasu.

Zaraz potem rosyjskie wojsko zaatakowało ukraińską infrastrukturę telekomunikacyjną – w ciągu miesiąca uderzyło w co najmniej 27 składających się na nią obiektów. Ok. 100 tys. ukraińskich gospodarstw domowych czasowo straciło stabilny internet, a część stacji telewizyjnych miała problemy z nadawaniem. Rosyjskie ministerstwo obrony kpiło z zakłóceń, publikując na Telegramie grafiki z hasłem „Przymusowy Detoks Cyfrowy".

W październiku podobnych grafik na kanałach rosyjskiego resortu obrony już nie znajdziemy. Tym razem poważne zakłócenia dotknęły rosyjskich użytkowników. Różnicę skutków dobrze tłumaczy organizacja infrastruktury cyfrowej obu państw. Ukraina korzysta z usług wielu dostawców, ma bardziej rozproszone zasoby i otrzymuje wsparcie zachodnich firm technologicznych. Po rozpoczęciu pełnowymiarowej inwazji część państwowych rejestrów i baz danych przeniesiono do chmur obliczeniowych. Dzięki temu zniszczenie pojedynczej serwerowni nie musi oznaczać utraty danych ani paraliżu usług w skali kraju. Nie chroni to Ukrainy przed lokalnymi awariami, ale utrudnia doprowadzenie do systemowego załamania jej infrastruktury cyfrowej.

W Rosji zasoby są bardziej scentralizowane, a jednym z kluczowych operatorów pozostaje technologiczny czempion Yandex. Jego centra danych obsługują zarówno własne usługi, jak i systemy zewnętrznych klientów. Uszkodzenie kilku obiektów może więc odbić się na działaniu wielu platform, które z perspektywy użytkownika nie mają ze sobą wiele wspólnego.

Yandex w ogniu

7–11 października ukraińskie drony uderzyły w trzy z sześciu największych centrów danych Yandexu. W Sasowie w obwodzie riazańskim wstrzymano pracę jednego z obiektów, w którym znajdowały się dwa z trzech superkomputerów firmy. Na zdjęciach satelitarnych Planet Labs widać, że skrzydło budynku mieszczące serwerownię doszczętnie spłonęło. Poważnie uszkodzone są też centra danych we Włodzimierzu i Kałudze.

Zakłócenia szybko odczuli użytkownicy. Problemy objęły nie tylko usługi samego Yandexu, w tym Yandex Go (aplikacja mobilna: taksówki, bilety komunikacji), Yandex Eats (dowóz jedzenia) i Yandex Pay (płatności elektroniczne), lecz także platformy zewnętrznych firm z sektorów bankowego, handlowego i medialnego oraz serwisy ogłoszeniowe. Ucierpieć miały również niektóre zasoby państwowe, w tym portale związane z przyznawaniem grantów prezydenckich i rejestrem nieruchomości. Kłopoty odnotowano także poza Rosją, m.in. w Armenii, Białorusi, Gruzji, Kazachstanie i Serbii.

Efekt domina wynika z pozycji Yandexu w rosyjskiej gospodarce cyfrowej. Firma, która na początku XXI w. zaczynała jako wyszukiwarka internetowa, rozwinęła się w ekosystem obejmujący pocztę, mapy, transport, dostawy, płatności i usługi chmurowe. W 2025 r. jej wyszukiwarka obsługiwała 69 proc. rosyjskiego rynku wyszukiwania, a Yandex Cloud miała 51 tys. klientów zewnętrznych. Z infrastruktury firmy korzystają więc nie tylko użytkownicy jej własnych aplikacji, lecz także tysiące przedsiębiorstw, które przechowują tam dane i utrzymują własne systemy.

Nie znamy jeszcze pełnego bilansu ostatnich ukraińskich ataków. Rosyjscy analitycy wskazują, że superkomputery Yandexu mogły poważnie ucierpieć wskutek pożarów i zadymienia. Nawet jeśli ogień nie dotarł bezpośrednio do serwerów, sadza mogła przedostać się do urządzeń wraz z powietrzem wykorzystywanym w systemie chłodzenia i uszkodzić ▶

© SEFA KARACAN/ANADOLU/GETTY IMAGES)

REKLAMA

SPACE

POLITYKA INSIGHT

Newsletter o branży kosmicznej w Polsce, Europie i na świecie - nie tylko dla ekspertów

dołącz do grona czytelników



politykainsight.pl/pi-space

eprasa.pl f2420985f2

▶ elektronikę. Czyszczenie sprzętu może potrwać miesiące, a wymiana uszkodzonych układów – nawet dwa lata, m.in. z powodu sankcji i ograniczonej dostępności zaawansowanych chipów Nvidii.

To szczególnie istotne ze względu na rolę superkomputerów w rozwoju sztucznej inteligencji. Te wyspecjalizowane systemy obliczeniowe pozwalają przetwarzać ogromne zbiory danych i wykonywać równolegle złożone obliczenia. Yandex wykorzystuje je m.in. do trenowania i rozwijania własnych modeli sztucznej inteligencji, w tym YandexGPT. Ich długotrwałe wyłączenie mogłoby spowolnić rozwój technologii, a tym samym jeszcze bardziej osłabić pozycję Rosji w globalnym wyścigu AI.

Ataki ujawniły zarazem, że rosyjska infrastruktura cyfrowa nie była odpowiednio przygotowana na uderzenia ukraińskich bezzałogowców. Kilka dni przed pierwszym atakiem na obiekty Yandexu wiceszef rosyjskiego ministerstwa rozwoju cyfrowego Jewgienij Fiłatow przekonywał, że centra danych trzeba przenosić w głąb kraju, nawet za Ural, jak za czasów Stalina. Niektóre przedsiębiorstwa, m.in. VK, MegaFon i Rosatom, zamawiały już siatki ochronne i detektory dronów oraz projektowały schronienia dla pracowników. 12 października minister łączności Maksut Szadajew poinformował, że jego resort wspólnie z ministerstwem obrony pracuje nad zabezpieczeniem centrów danych. Przygotowania nabrały więc tempa dopiero po uderzeniach.



Sasowo, jedno z centrów danych Yandexu, podczas ataku ukraińskich dronów, 7 października

Długofalowe konsekwencje mogą być kosztowne dla rosyjskiej branży IT. Oprócz naprawy uszkodzonych obiektów firmy będą musiały inwestować w ochronę fizyczną, kopie zapasowe i rozpraszanie zasobów między różnymi lokalizacjami. Jeśli Ukraina rozszerzy kampanię na kolejnych operatorów, koszty wzrosną jeszcze bardziej. Stawką jest nie tylko odbudowa zniszczonych obiektów, lecz także zmiana sposobu zabezpieczania cyfrowego zaplecza rosyjskiej gospodarki. Ale Rosjanie nie mają do tego dziś głowy.

Suwerenny, kontrolowany

Runet, czyli rosyjski internet, od lat jest stopniowo podporządkowywany państwu. Proces ten przyspieszył po 2019 r., gdy władze zaczęły realizować ideę „suwerennego Runetu", zakładającą większą kontrolę nad ruchem sieciowym i infrastrukturą telekomunikacyjną. Podstawy tej polityki powstały wcześniej – od 2015 r. rosyjskie prawo wymagało przechowywania danych osobowych obywateli na serwerach w kraju. Po pełnowymiarowej inwazji na Ukrainę sankcje i wycofywanie się zachodnich dostawców usług chmurowych dodatkowo ograniczyły możliwości korzystania z zagranicznej infrastruktury. W rezultacie rosyjskie firmy i użytkownicy w coraz większym stopniu uzależnili się od krajowych platform.

Ostatnie ukraińskie ataki ujawniły jednak słabość tego modelu. Koncentracja danych i usług u krajowych operatorów zwiększa kontrolę Kremla nad przestrzenią cyfrową, ale nie gwarantuje jej odporności. Przeciwnie, awaria kilku kluczowych obiektów może zakłócić działanie wielu pozornie niezależnych systemów.

„Suwerenny Runet" ma również wymiar polityczny. Federalna Służba Bezpieczeństwa rozszerza nadzór nad krajowymi platformami, domagając się dostępu do danych użytkowników i możliwości monitorowania ich aktywności, w tym korzystania z narzędzi omijających blokady. Dla władz krajowa infrastruktura oznacza większą kontrolę, dla firm – rosnące obowiązki i koszty, a dla użytkowników – coraz większą zależność od usług, których dostępność i jakość nie są gwarantowane. Paradoks polega na tym, że im mocniej Rosja ogranicza zależność od zagranicznych dostawców, tym większe znaczenie zyskuje odporność krajowej infrastruktury. Październikowe uderzenia pokazały, jak wiele pozostaje w tej kwestii do zrobienia.

Znaczenie rusyfikacji internetu wykracza jednak poza ciągłość działania usług cyfrowych. Kreml dąży do podporządkowania przestrzeni internetowej rosyjskim regulacjom, ograniczenia dostępu do zagranicznych usług i rozszerzenia kontroli służb specjalnych. Stawką jest nie tylko cyfrowa niezależność państwa, lecz także pozbawienie Rosjan resztek swobody w sieci i dalsze umocnienie rosyjskiego Lewiatana. Ukraińskie uderzenia mogą więc utrudniać funkcjonowanie usług, ale również podważać wiarygodność projektu cyfrowej suwerenności, który Kreml próbuje budować.

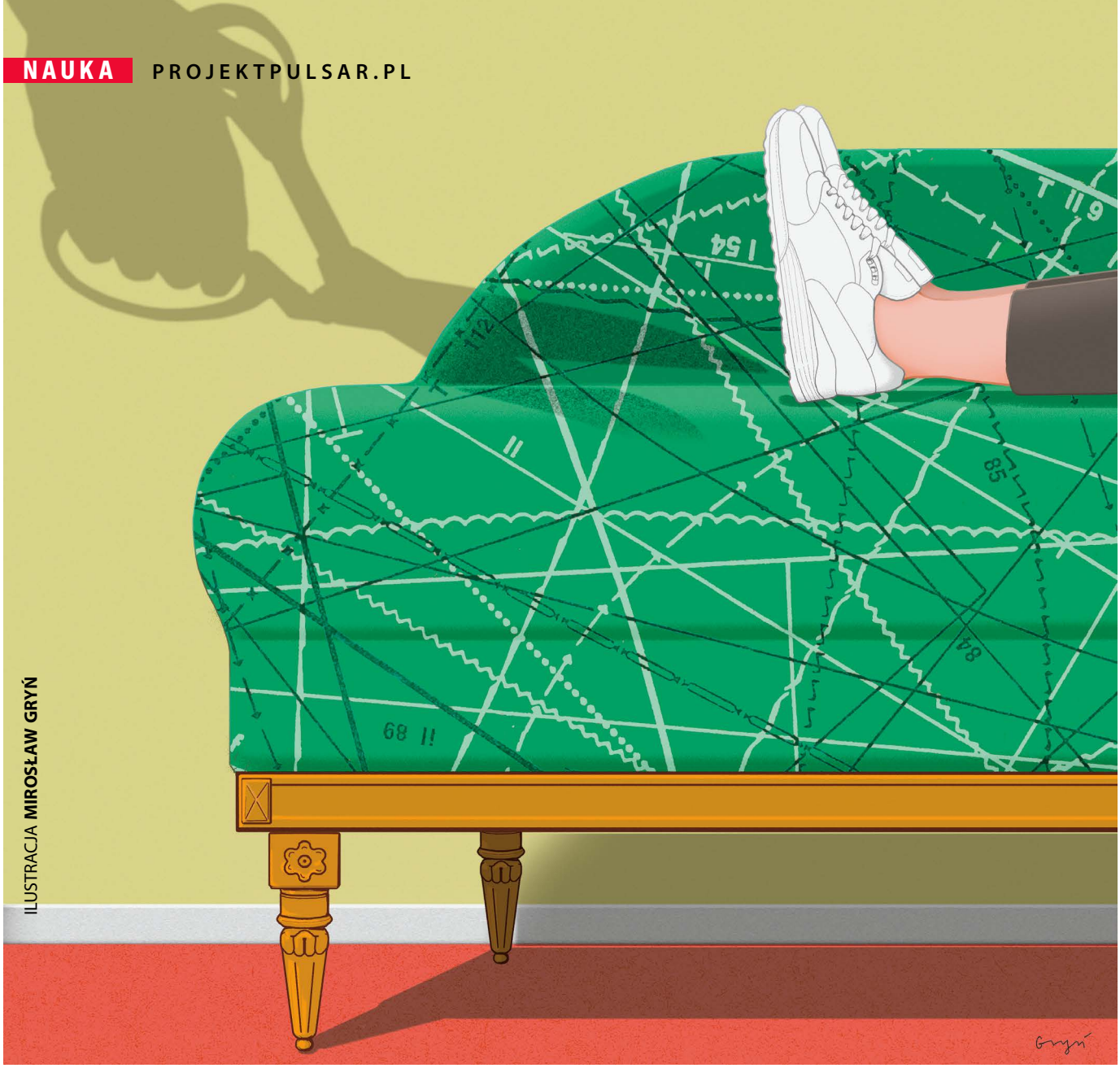
Nie należy jednak traktować takich operacji jako uniwersalnej wunderwaffe, która nagle pozwoli Ukrainie wygrać wojnę. Ich skutki, choć dotkliwe dla użytkowników i przedsiębiorstw, nie muszą przekładać się na osłabienie rosyjskiego potencjału militarnego. Mogą natomiast przynieść skutek odwrotny do zamierzonego: Kreml może wykorzystać ataki jako argument za ostatecznym zerwaniem z niepisaną umową społeczną, która kształtowała relacje państwa z obywatelami w pierwszych dwóch dekadach rządów Władimira Putina. Jej istotą było polityczne wycofanie się obywateli z życia publicznego w zamian za względnie ograniczoną ingerencję państwa w ich prywatność i codzienne życie.

Trudno bowiem zakładać, że na gruzach przedwojennej infrastruktury wyrośnie „serwer wolności". W kremlowskich gabinetach myślenie o państwie biegnie dziś zupełnie innymi torami.

LEON PIŃCZAK
Autor jest analitykiem ds. bezpieczeństwa i spraw wschodnich w Polityce Insight.

© FACEBOOK

eprasa.pl f2420985f2



ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

Mój kawałek kozetki

Dlaczego polscy psychoterapeuci toczą ze sobą bezpardonową walkę i czy rzeczywiście chodzi w niej tylko o dobro pacjentów? Odpowiada psycholog prof. Przemysław Bąbel z Uniwersytetu Jagiellońskiego.

MARCIN ROTKIEWICZ: **– Pańska nowa książka ma mocny tytuł: „Wojna o psychoterapię". To chwyt marketingowy wydawnictwa, żeby przykuć uwagę czytelników, czy naprawdę psychoterapeuci toczą ze sobą walkę?**

PRZEMYSŁAW BĄBEL: – Tytuł nie jest przesadzony. W normalnych okolicznościach można byłoby mówić o dyskusji czy debacie. Dziś jednak w środowisku polskich psychoterapeutów poziom emocji jest tak wysoki, a wzajemnych oskarżeń, kłamstw, manipulacji czy argumentów *ad personam* tak wiele, że mamy do czynienia z czymś więcej niż typowy spór. Nawet polityczny.

Smaczku całej tej sytuacji dodaje fakt, że w ten sposób kłócą się specjaliści od leczenia zaburzeń zdrowia psychicznego. Czyli ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ grupa zawodowa, po której spodziewalibyśmy się wszystkiego, tylko nie tego, co robią, w dodatku często publicznie. Można by napisać całą książkę składającą się wyłącznie z cytatów obu walczących stron, bez żadnego odautorskiego komentarza, i byłaby to fascynująca lektura.

Kiedy ten konflikt wybuchł i o co się toczy?

Jego zarzewie tliło się od dawna, ale do otwartego starcia doszło w ostatnich latach, gdy zaczął powstawać projekt ustawy o zawodzie psychoterapeuty. Wtedy spór przestał być akademicki. Od kształtu ustawy zaczęło zależeć, kto będzie mógł świadczyć psychoterapię i szkolić przyszłych psychoterapeutów.

A o co toczy się ta walka? Na poziomie deklaracji obie strony – które w swojej książce nazywam „jakościowcami" i „ilościowcami" – walczą o dobro pacjenta. Spór dotyczy zaś trzech fundamentalnych kwestii. Po pierwsze, czym jest psychoterapia. Jakościowcy uważają, że to wyłącznie leczenie zaburzeń zdrowia psychicznego metodami psychologicznymi. Ilościowcy chcą, by psychoterapią nazywać wszelkie formy pomocy psychologicznej, w tym rozwój osobisty zdrowych osób. Druga sprawa – kto może leczyć. Jakościowcy twierdzą, że psychoterapeutami powinni zostawać specjaliści od zdrowia psychicznego: psycholodzy i psychiatrzy. Ich oponenci postulują, by dopuszczać każdego absolwenta dowolnych studiów wyższych. I trzecia kwestia – jakich metod w psychoterapii używać. Grupa jakościowa twardo domaga się stosowania wyłącznie tych o naukowo dowiedzionej skuteczności. Ilościowcy uważają, że skuteczność nie wszystkich metod da się równie łatwo zbadać. W praktyce oznacza to dopuszczenie również tych, których skuteczności nie potwierdzono w rzetelnych badaniach.

Czy ten pana podział na dwa obozy trafnie oddaje różnice zdań w środowisku?

Tak. Bo on pokazuje, jak obie strony rozumieją dobro pacjenta i kształt samej psychoterapii. Ilościowcy stawiają, jak sama nazwa wskazuje, na ilość. Uważają, że priorytetem jest szeroki dostęp do usług, co chcą osiągnąć poprzez drastyczne zwiększenie liczby psychoterapeutów. Jakościowcy, do których sam należę, kładą nacisk właśnie na jakość. Stoimy na stanowisku, że do szkolenia powinny być dopuszczane wyłącznie osoby po pięcioletnich studiach psychologicznych lub lekarze psychiatrzy oraz – ewentualnie – absolwenci wybranych kierunków pokrewnych, np. pedagogiki specjalnej. Ten spór ostatecznie sprowadza się do tego, czy chcemy mieć wielu psychoterapeutów o zróżnicowanym przygotowaniu merytorycznym, czy mniejszą grupę dobrze wykształconych specjalistów, zapewniających pacjentom jakość i bezpieczeństwo.

Czy to nie jest jednak radykalne zamykanie dostępu do zawodu? Dlaczego np. poloniści lub socjologowie, jeśli mają talent i chęci oraz uzupełnią swoją wiedzę, nie mogliby zostać dobrymi psychoterapeutami?

Chyba nikomu nie przyszłoby na myśl dopuszczanie do specjalizacji z chirurgii osób bez studiów medycznych. Dlaczego więc zdrowie psychiczne miałoby być traktowane gorzej? Oczywiście w każdej branży zdarzają się genialni samoucy, ale z faktu, że ktoś bez wykształcenia kierunkowego świetnie sobie radzi, nie wynika, że jest ono zbędne. Skuteczna, odpowiedzialna i bezpieczna psychoterapia wymaga m.in. dogłębnej diagnozy psychologicznej, która wykracza poza sztywne etykiety z klasyfikacji chorób i zaburzeń psychicznych. Pięcioletnie studia psychologiczne to 3–3,6 tys. godzin nauki m.in. o rozwoju, emocjach, psychopatologii oraz metodologii badań. Osoby bez takiego przygotowania, jak np. poloniści, nie zdobędą tych kluczowych kompetencji na kursie podyplomowym, którego program obejmuje łącznie 1,2 tys. godzin, ale na szkolenie w zakresie psychoterapii przypada zaledwie 400, co w praktyce oznacza 20 weekendowych zjazdów. Ilościowcy proponują wręcz, by braki te łatać zaledwie 80-godzinnym kursem z podstaw psychologii.

Dlatego twardo podkreślam, że w psychoterapii nie leczy sama osobowość czy empatia psychoterapeuty, lecz stosowane przez niego metody. Wymaganie odpowiednich studiów to nie jest zamykanie zawodu, ale absolutna podstawa gwarantująca bezpieczeństwo pacjentów.

W książce wskazuje pan jeszcze jeden powód wojny – istotny, ale i wstydliwy: pieniądze.

Ludziom często się wydaje, że psychoterapeuci zarabiają na pacjentach przysłowiowe kokosy, tymczasem naprawdę gigantyczne pieniądze pochodzą ze szkoleń przyszłych psychoterapeutów. Czteroletnie szkolenie kosztuje obecnie od 60 do 85 tys. zł, a po doliczeniu obowiązkowych staży, superwizji i często terapii własnej kwota ta nierzadko przekracza 100 tys. zł. Początkujący psychoterapeuta za 50-minutową sesję bierze dziś ok. 200 zł, z czego często sporą część oddaje ośrodkowi, w którym przyjmuje pacjentów, i wydaje na koszty stałe – podatki, ubezpieczenie etc. Zanim więc ta inwestycja mu się zwróci, mijają lata.

Największe zyski czerpią właściciele szkół psychoterapii. Jedna edycja szkolenia, obejmująca kilkadziesiąt osób, to dla nich przychód rzędu milionów złotych. Dlatego metaforycznie nazywam ten system piramidą finansową – oni bogacą się na składkach kandydatów. Stąd dopuszczenie do szkoleń absolwentów dowolnych kierunków studiów – jak chcą tego ilościowcy – ma także oczywisty skutek ekonomiczny, bo powiększa rynek szkoleń. Gdy naturalnie zaczął on skręcać w stronę metod o udowodnionej naukowo skuteczności, zwłaszcza terapii poznawczo-behawioralnej (CBT), inne szkoły tracą chętnych do nauki i wpływy finansowe.

Skąd ta zmiana?

Osoby kończące studia psychologiczne dowiadują się w ich trakcie, co naprawdę działa i ma uzasadnienie w badaniach. To naturalne zatem, że chcą się później szkolić właśnie w takich nurtach, jak CBT, psychoterapia psychodynamiczna czy systemowa. Podsumowując – ta wojna to w dużej mierze rozpaczliwa próba zachowania dotychczasowego modelu i zabezpieczenia własnych interesów kosztem jakości.

To bardzo mocne oskarżenie. Czy jedna strona tego sporu rzeczywiście kieruje się tylko chęcią zysku?

Jako naukowiec staram się precyzyjnie ważyć słowa. Dlatego w swojej książce podkreślam, że nie oznacza to, iż ilościowcy kierują się wyłącznie interesem ekonomicznym ani że ich troska o dobro pacjentów jest z gruntu pozorna. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, jak owo dobro rozumiemy. Dla ilościowców oznacza ono przede wszystkim zwiększenie liczby psychoterapeutów, co – jak wierzą – zapewni szerszy dostęp do usług.

Nie możemy być jednak całkowicie ślepi na pewne fakty. Niektórzy ilościowcy jeszcze niedawno byli przeciwnikami wszelkiego formalizowania psychoterapii, a po zaangażowaniu się w prace nad projektem ustawy nadali sobie certyfikaty – bez ukończenia czteroletniego szkolenia psychoterapeutycznego – i założyli własne szkoły. To nie jest zarzut cynizmu, lecz pytanie o konflikt interesów i przejrzystość procesu legislacyjnego.

W mediach ten spór jakościowców z ilościowcami bywa przedstawiany jako niezrozumiały i trudny do rozstrzygnięcia,

eprasa.pl f2420985f2

gdyż po obu stronach występują autorytety z tytułami profesorskimi oraz liczne stowarzyszenia reprezentujące różne nurty psychoterapeutyczne. Czy jest tu rzeczywiście symetria?

Ilościowcy powołują się na liczbę popierających ich postulaty stowarzyszeń, nie uwzględniając ich liczebności. Powstaje w ten sposób mylne wrażenie, że stoi za nimi większość środowiska. W rzeczywistości są to w przeważającej mierze organizacje małe lub bardzo małe, liczące nieraz po kilkunastu członków, a nierzadko reprezentujące pseudonaukę, a nie psychoterapię. Tymczasem największe stowarzyszenia psychoterapeutyczne i psychologiczne nie popierają rozwiązań forsowanych przez ilościowców. Skupiają więcej członków niż wszystkie małe stowarzyszenia razem wzięte – samo Polskie Towarzystwo Terapii Poznawczej i Behawioralnej liczy ponad 8 tys. osób. Trudno tu zatem mówić o realnej symetrii.

Co dokładnie ma pan na myśli, mówiąc o pseudonauce?

Chodzi mi o promowanie metod, które jedynie przybierają naukową formę i język, ale nie spełniają kryteriów naukowości, a ich skuteczność nie została potwierdzona w rzetelnych badaniach. Sztandarowym przykładem jest tu klasyczna psychoanaliza freudowska, której w książce poświęcam osobny rozdział. Mimo że to teoria oparta na nieweryfikowalnych dogmatach, w Polsce wciąż działają zrzeszające psychoanalityków stowarzyszenia roszczące sobie prawo do decydowania o standardach zawodu psychoterapeuty.

Psychoterapia psychodynamiczna – chyba najliczniejszy nurt wśród ilościowców – też jednak czerpie z freudowskiej psychoanalizy. A jej skuteczność potwierdzają badania.

To pytanie dotyka ciekawego paradoksu. Rzeczywiście, teoria psychoanalityczna u podstaw tego nurtu jest w dużej mierze pseudonaukowa, a jednak liczne badania i metaanalizy bez wątpienia dowodzą, że metody psychoterapii psychodynamicznej są skuteczne w leczeniu niektórych zaburzeń.

Jak wyjaśnić tę sprzeczność? Przede wszystkim musimy wyraźnie oddzielić klasyczną freudowską psychoanalizę od współczesnej terapii psychodynamicznej. Ta druga jest znacznie bardziej pragmatyczna i ma coraz mniej wspólnego z dawnymi założeniami – nie skupia się np. na interpretowaniu snów czy ukrytych symboli, lecz pracuje na realnej relacji terapeutycznej z pacjentem oraz jego emocjach „tu i teraz". Mówiąc krótko, działa nie dzięki Freudowi, ale mimo Freuda. Do jej skuteczności mogą przyczyniać się m.in. niespecyficzne czynniki leczące, na czele z samą relacją psychoterapeutyczną oraz oczekiwaniami pacjenta na poprawę.

Posłużę się analogią. Skuteczność każdego leku stosowanego w medycynie wynika nie tylko z jego aktywnego składnika, ale również z tzw. czynników niespecyficznych: koloru i kształtu tabletki, sposobu jej podania, a nawet wyposażenia gabinetu i autorytetu lekarza, który ją przepisał. W psychoterapii odpowiednikiem tych „dodatków" są tzw. czynniki wspólne, które stanowią swoiste placebo. Występują w każdym gabinecie niezależnie od tego, jaką konkretną metodą posługuje się dany specjalista. Wymienię dwa najważniejsze. Pierwszy to relacja psychoterapeutyczna, czyli po prostu więź, głębokie zaufanie oraz poczucie bycia autentycznie zrozumianym i wspieranym – sama empatia terapeuty i uwaga drugiego człowieka mają potężną moc leczniczą. A drugi element to oczekiwania pacjenta. Z badań wiemy, że jeśli są pozytywne, to mogą sprzyjać poprawie.



Prof. dr hab. **Przemysław Bąbel** jest psychologiem, pracuje w Instytucie Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdzie kieruje Zespołem Badania Bólu. Dwukrotnie znalazł się w rankingu Stanford-Elsevier obejmującym 2 proc. najczęściej cytowanych naukowców na świecie (2023 i 2025 r.). Pełni też funkcję prodziekana ds. naukowych Wydziału Filozoficznego UJ i jest prezesem Polskiego Towarzystwa Psychologii Behawioralnej oraz członkiem Komitetu Psychologii Polskiej Akademii Nauk.

Warto też pamiętać o fundamentalnej zasadzie: fakt, że jakaś metoda leczenia działa, nie przesądza o prawdziwości teorii leżącej u jej podłoża. Dlatego skuteczność psychoterapii psychodynamicznej absolutnie nie oznacza, że pseudonaukowe dogmaty psychoanalizy stały się nagle naukową prawdą.

Trudno nie odnieść wrażenia, że potencjalni pacjenci znajdują się dziś w naprawdę trudnej sytuacji. Nie dość, że psychoterapeuci toczą ze sobą niezrozumiałą dla zwykłego człowieka wojnę, to na dodatek nurtów terapeutycznych są setki. Który wybrać dla siebie, jeśli np. cierpi się na depresję?

Na świecie istnieje już ponad 650 podejść psychoterapeutycznych, co musi powodować zagubienie pacjentów. Pamiętajmy jednak, że podział na nurty ma charakter przede wszystkim historyczny, a leczą konkretne metody.

Co ma zrobić pacjent? Ponieważ polskie państwo na razie kapituluje w kwestii ochrony zdrowia psychicznego, zmuszony jest, niestety, chronić się sam. Pierwszym krokiem zawsze powinna być wizyta u psychologa lub lekarza psychiatry w celu postawienia rzetelnej diagnozy, ponieważ to oni mają do tego odpowiednie kompetencje. Z taką gotową diagnozą pacjent powinien sprawdzić, jakie metody leczenia mają dowiedzioną naukowo skuteczność. Wobec braku jasnych polskich standardów, gorąco polecam wytyczne brytyjskiej rządowej agencji NICE (National Institute for Health and Care Excellence). Wystarczy wpisać tam swoje rozpoznanie, aby otrzymać przejrzystą listę rekomendowanych terapii. W razie bariery językowej narzędzia AI mogą pomóc w tłumaczeniu, ale rekomendacje należy omówić ze specjalistą.

Ostatni etap to weryfikacja. Nie bójmy się pytać w gabinecie! Sprawdźmy, czy terapeuta ma bazowe wykształcenie psychologiczne lub psychiatryczne, czy ukończył czteroletnie szkolenie podyplomowe (lub co najmniej dwa lata takiego szkolenia) i otrzymał certyfikat, a także czy regularnie poddaje swoją pracę superwizji. Dobry fachowiec nigdy nie obrazi się na takie pytania, lecz potraktuje je jako cenny wstęp do świadomej współpracy i zawarcia kontraktu terapeutycznego z pacjentem.

Wróćmy do projektu ustawy o zawodzie psychoterapeuty, nad którym trwają prace w parlamencie. Kto wygra wojnę o jej ostateczny kształt?

Ilościowcy.

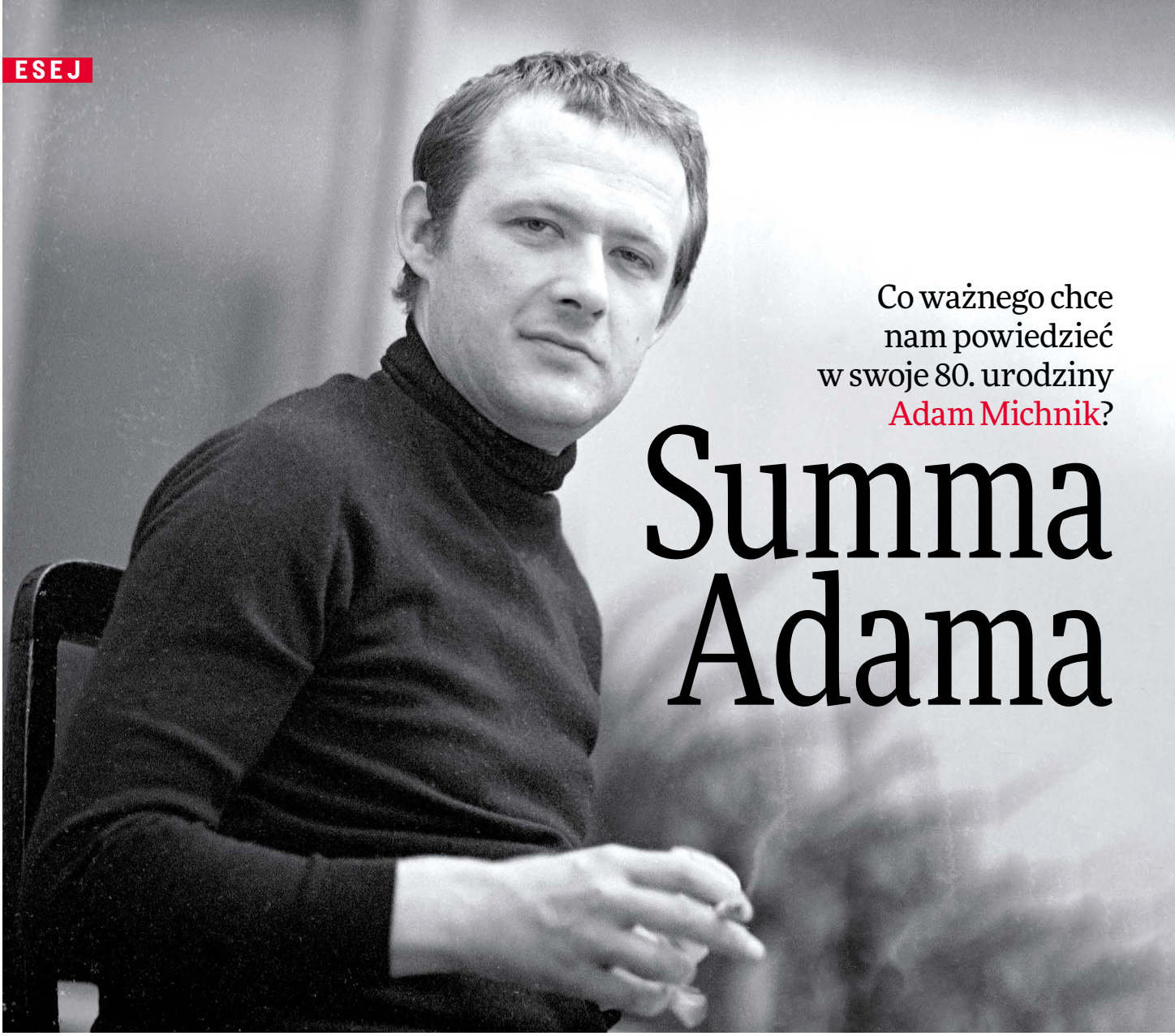
Jakościowcy są na przegranej pozycji?

Raczej tak. To jednak nie oni na niej stracą, tylko pacjenci.

ROZMAWIAŁ MARCIN ROTKIEWICZ

© ADAM SŁOMIŃSKI

eprasa.pl f2420985f2



Co ważnego chce nam powiedzieć w swoje 80. urodziny Adam Michnik?

Summa Adama

JAKUB HALCEWICZ

Rok swoich 80. urodzin Adam Michnik zaczął w telewizji śniadaniowej. „Musimy się nauczyć żyć razem. Jeśli żyjemy z sąsiadem w jednym domu, musimy się nauczyć, że sąsiadowi się nie dokucza. Nie śmieci mu się na wycieraczkę. Stara się z nim ułożyć współżycie życzliwie i pokojowo, chociaż możemy się różnić w kwestii istnienia Boga" – mówił Dorocie Wellman w „Dzień Dobry TVN" w połowie stycznia. Okazało się, że ciepła rozmowa z Michnikiem, występującym w roli spokojnego mędrca, miała nawet sporą oglądalność.

To był Michnik w wersji pop. Jednocześnie ukazały się ostatnio aż trzy książki, które starają się opowiedzieć jego historię w sposób pogłębiony, a każda robi to inaczej. Najpierw „Obywatel Michnik" Michała Siermińskiego i Przemysława Witkowskiego (Instytut Narutowicza) – rekonstrukcja myśli politycznej bohatera; „Michnik. Człowiek, który zredagował Polskę" Anny Nasalskiej (Znak) – gruba, dwutomowa biografia intelektualna; w końcu wywiad rzeka Jarosława Kurskiego „Adam, syn Ozjasza" (Agora). Czego nowego dowiadujemy się z tych publikacji? Czy Michnik – centralna postać polskich sporów kilku dziesięcioleci – chce nam coś przekazać, podsumowując własne życie?

Tworzenie historii przez historyka

Widać wyraźnie, że chce być zapamiętany przede wszystkim jako intelektualista. „Górę wziął mój wizerunek człowieka, który jest czynnym awanturnikiem politycznym, a nie kimś, kto uczestniczy w publicznej debacie o sprawach najważniejszych dla lewicy, dla kultury liberalnej, konserwatywnej, dla Polski, dla Europy" – mówił wiosną w wideokaście Adama Leszczyńskiego i Jarosława Kuisza. Podkreślał, że książki Nasalskiej oraz duetu Siermiński–Witkowski pokazują go właśnie jako uczestnika debat, mniej jako działacza, aktywistę czy polityka.

Chce być zapamiętany także jako wiarygodny i integralny bohater najnowszej historii, który w godzinie próby staje po stronie zasad. „Spełniony jestem. Byłem w cieniu ludzi

eprasa.pl f2420985f2

polskiej niepodległości, insurekcji, polskiej rewolucji i chciałem żyć na ich miarę – bezkompromisowo. Nie potknąłem się" – mówi Kurskiemu.

Przypomina, jak władze PRL oferowały w 1983 r. jedenastu więzionym przywódcom Solidarności i KOR emigrację na Zachód. To wtedy w słynnym liście do gen. Czesława Kiszczaka napisał, że proponować więźniowi Lazurowe Wybrzeże w zamian za moralne samobójstwo może tylko świnia. Po latach dodaje: gdybym wtedy pękł, ludzie nie powiedzieliby, że komuniści złamali „naszego Adasia", tylko że „ten Żyd Michnik dał dupy". I zaraz wyciąga z tego własny paradoks: wytykane mu przez antysemitów żydowskie pochodzenie „zamiast być dla mnie balastem, stało się źródłem mojej siły".

Nasalska przywołuje inny dramatyczny moment, z karnawału Solidarności, gdy w Otwocku tłum szykował się do linczu na milicjantach. Michnik stanął przed oblegającymi posterunek i powiedział do mikrofonu: „Nazywam się Adam Michnik. Jestem siła antysocjalistyczna". Tłum posłuchał. Nasalska nazywa to „spektakularnym momentem tworzenia historii przez historyka, który dotychczas tylko o niej pisał".

Mocne świadectwo inteligenta, który uparcie broni swej niezależności, dał już w wolnej Polsce, gdy nie przyjął akcji Agory, wydawcy kierowanej przez siebie „Gazety Wyborczej". Sam mówi, że nigdy nie widział się w roli milionera. Tym większy ból zadała mu później afera Rywina. Producent filmowy zaoferował Agorze załatwienie korzystnych zmian w ustawie medialnej w zamian za pieniądze. Michnik propozycję nagrał, a „Gazeta" ją ujawniła. Paradoksalnie afera uderzyła także w niego: skoro Rywin przyszedł właśnie do Michnika, można było pytać, dlaczego uznał, że z redaktorem „Wyborczej" w ogóle można w ten sposób rozmawiać.

Przeszłość i tożsamość

Biografia Michnika rozgrywa się na kilku polach. Jest utożsamiany z „Gazetą", która w szczególnym momencie początków polskiej demokracji miała niezwykłą siłę oddziaływania. Ale idei, którymi żyje Michnik, jest więcej. Nie bez powodu w ostatnich książkach i wypowiedziach wraca do swoich dawnych tekstów, zwłaszcza do „Cieni zapomnianych przodków" i „Nowego ewolucjonizmu".

Dwa eseje z lat 70. można czytać jak dwa kolejne akty intelektualnej emancypacji. W „Cieniach..." z 1973 r. Michnik wychodzi poza odziedziczony język komunistycznej lewicy i sięga po tradycję niepodległościową, przede wszystkim młodego, socjalistycznego Piłsudskiego – nie po to, by zmienić politycznego patrona, ale by odzyskać historię, którą PRL wcześniej mu opowiedział i ocenzurował. „Odkłamanie przeszłości bywa nader często odnalezieniem własnej tożsamości" – pisał. Po latach mówi wprost, że był to krok od pytania „jak reformować państwo rządzone przez komunistów" do pytania „jakiej Polski byśmy chcieli".

Cztery lata później „Nowy ewolucjonizm" przynosi emancypację już nie od komunistycznej historii, lecz od komunistycznej polityki: zamiast czekać na reformatorów w partii, trzeba organizować społeczeństwo, budować niezależne instytucje i społecznym naciskiem krok po kroku poszerzać obszar wolności. Program ma mówić społeczeństwu, co może zrobić samo, a nie władzy, jak powinna się zreformować. „Społeczeństwo obywatelskie i prawa człowieka. To był dla mnie klucz" – mówi dziś Michnik.

Po latach przyznaje zresztą, że w jednym się pomylił: uważał, że zmiana wewnątrz partii komunistycznej jest niemożliwa, tymczasem pierestrojka zaczęła się właśnie w aparacie partyjnym. Nie zmienia to głównej idei „Nowego ewolucjonizmu". Michnik mówi, że tym tekstem „zdefiniował sam siebie". Rzeczywiście są w nim już zalążki KOR, społeczeństwo obywatelskie, prawa człowieka, ale także przyszły Okrągły Stół: skoro odrzuca się rewolucję na rzecz ewolucji, przeciwnika trzeba naciskać, lecz któregoś dnia trzeba będzie także z nim rozmawiać.

Idee Michnika to także Europa, Kościół, literatura, a przede wszystkim ludzie i spór. Wydaje się, że przeczytał wszystkie książki. Gdziekolwiek się pojawia, otacza go wianuszek słuchaczy; nieraz ktoś nieznajomy podchodzi po prostu zapytać, czy może posłuchać rozmowy.

Granice akceptacji

Pisanie o ludziach było dla Michnika zawsze sposobem pisania o Polsce, polityce, wyborach moralnych, także o sobie. Sam miał przy tym niezwykłe doświadczenie: od młodych lat lgnął do wybitnych postaci polskiej humanistyki. Widać to także w ostatnich książkach. Drugi tom biografii Nasalskiej opowiada o ludziach z kręgu Michnika, wywiad rzeka Kurskiego z założenia jest opowieścią o tych, którzy byli dla niego ważni.

Czytanie Michnika przypomina prostą prawdę, że w życiu publicznym, tak samo jak w prywatnym, największe zobowiązania rodzą osobiste relacje. W eseju „Umysł wyzwolony" wspomina pierwszą kolację z Czesławem Miłoszem w Paryżu. Poeta długo szukał niewielkiej bułgarskiej restauracji w Dzielnicy Łacińskiej. Dopiero przy stole wyjaśnił dlaczego: na początku lat 50. przychodził tam codziennie i codziennie myślał o samobójstwie. Po trzeciej butelce wina Michnik zaczął recytować z pamięci jego wiersze. Miłosz się rozpłakał. „Nie sądziłem, że w Polsce młodzi ludzie znają na pamięć moje wiersze. Myślałem, że zostałem wyklęty" – powiedział.

Michnik bywa obecnie ostrzejszy niż we wcześniejszych esejach o swoich mistrzach. Potrafi ich też rozdzielać: „Intelektualnie bliżej mi było do Miłosza, a moralnie do Herberta" – mówi Kurskiemu. Herbert miał jego zdaniem rację w warunkach zniewolenia, ale „świat jest bardziej skomplikowany" i nie w każdej sytuacji da się zastosować skrajne kryterium moralne. Stąd ważny dla Michnika wniosek: „herbertowskie kryteria moralne przede wszystkim stosować trzeba wobec siebie, a nie wobec innych. Wobec innych trzeba mieć znacznie więcej wyrozumiałości".

To zresztą zasada szersza. W rozmowie z Siermińskim i Witkowskim wraca do sporu z Piotrem Wierzbickim, który ludzi wahających się albo bojących zaangażować w opozycję nazywał „gnidami". „Dla mnie to była wtedy pogarda dla innego myślenia, dla innego człowieka. Ludzi nie należy odrzucać, trzeba wyciągać do nich rękę" – mówi Michnik. Później, choć Wierzbicki jako naczelny „Gazety Polskiej" ostro atakował „Wyborczą", po utracie przez niego pracy Michnik zaproponował mu pisanie do swojego dziennika. „Taka jest moja filozofia w stosunku do drugiego człowieka, do świata, do pluralizmu".

A gdzie przebiega granica akceptacji? – pytają autorzy „Obywatela Michnika". „Intuicyjna. Innej nie ma. Gdyby była raz na zawsze wyznaczona dla wszystkich, to świat byłby prostszy, ale mniej ciekawy". ▶

© TOMASZ MICHALAK/FOTONOVA

eprasa.pl f2420985f2

▶ Pragmatyzm zamiast miłosierdzia

Michnik walczy o uznanie dla swojej tożsamości, o szacunek dla rodziców, których grób jest dewastowany, wreszcie o uznanie dla własnego życiowego dorobku. W moim wywiadzie dla „Więzi" (nr 1/26) wspomina rozmowy z dzieciństwa: „Ojciec szanował w polskiej tradycji wszystko to, co było aktem niezgody, sprzeciwu, buntu. I mówił, że nieszczęściem Rosji jest to, że tam buntu było tak mało. Matka odpowiadała, że Rosjanie zbudowali potężne państwo. A ja, że to jeszcze nic nie znaczy, bo ludzie byli w nim nieszczęśliwi. Pamiętam te rozmowy między nimi: mamą, polską organicznikowską patriotką, i ojcem – polskim patriotą niezgody".

Mówi jednocześnie Kurskiemu: „Atakuje się mnie nie za to, co zrobiłem, ale kim jestem".

Jednak potrafi też niuansować własne wybory. W Muzeum Historii Polski podczas spotkania o Okrągłym Stole ktoś zapytał go, czy nie uważa dziś, że posunął się za daleko, fraternizując się z gen. Wojciechem Jaruzelskim i deklarując publicznie sympatię do niego. Michnik przyznał, że tak. Co ciekawe, wcześniej popełnił błąd odwrotny. W stanie wojennym sądził, że generał nigdy nie zgodzi się na porozumienie z opozycją. „Uważałem, że kompromis jest możliwy tylko na trupie Jaruzelskiego" – mówi Kurskiemu. Spierał się o to z Bronisławem Geremkiem. „A to Geremek miał rację".

Podobnie mówi dziś o rozliczeniach komunizmu. W „Więzi" przyznaje: „Do dziś mam sobie za złe, że miałem za mało wrażliwości na te potrzeby ludzkie. Tylko że do dzisiaj nie wymyśliłem żadnych instrumentów, które by mi pozwoliły zaproponować, w jaki sposób te potrzeby zaspokajać".

Nowe książki o Michniku warto jednak zderzyć z tekstami autorów bardziej krytycznych czy wręcz mu niechętnych, choćby z „Michnikowszczyzną" Rafała Ziemkiewicza. Niepokorny i awanturniczy Michnik zapewne sam zrobiłby podobnie.

Teza Ziemkiewicza jest taka, że czytelnicy Michnika i „Gazety", liberalno-demokratyczna czy centrolewicowa inteligencja, zbyt łatwo przyjęli jego sposób myślenia za własny, bez dostatecznie krytycznego namysłu; że zgodzili się na wyznaczone przez niego granice rozliczania zła poprzedniego systemu. Samemu Michnikowi zarzuca, że nie stworzył żadnej szkoły myślenia i nie wychował uczniów.

Ten pierwszy zarzut jest ciekawszy. Michnik na przykład nieraz powoływał się na wartości chrześcijańskie, i dla części czytelników stał się ich uosobieniem. Tymczasem on sam mówi Kurskiemu: „Przeze mnie nie przemawiało żadne miłosierdzie chrześcijańskie, tylko pragmatyzm". Nie ma w tym demaskacji. Michnik realizował konkretny program polityczny: pokojową transformację, pluralizm, prawa człowieka, Polskę zakotwiczoną w Europie. Wartości i pragmatyzm nie musiały się tu wykluczać.

Zarzut Ziemkiewicza, że Michnik niczego nie stworzył i nie wychował uczniów, brzmi jednak osobliwie, kiedy spojrzeć na „Gazetę Wyborczą". Michnik wraz z zespołem „Tygodnika Mazowsze" stworzył nie tylko najważniejsze medium pierwszych lat III RP, ale też wielką szkołę dziennikarską. Tego wpływu chyba jeszcze nikt porządnie nie zbadał. Naturalna mobilność pracowników, a później także zwolnienia sprawiły, że dziennikarze i redaktorzy z warsztatem „po »Gazecie«" zasilili właściwie cały polski rynek medialny. Jaki byłby ten rynek, gdyby Lech Wałęsa w 1989 r. nie powierzył Michnikowi stworzenia „Gazety", a zamiast niego wybrałby innego doradcę – Jarosława Kaczyńskiego?

Można się spierać z linią dziennika, jego rolą w transformacji czy z samym Michnikiem. Trudniej zaprzeczyć, że był jednym z najważniejszych polskich redaktorów ostatnich dekad – w tym sensie bliższym Giedroyciowi niż klasycznemu publicyście. Nie tylko pisał, ale też dobierał autorów, tworzył miejsce debaty, podsuwał czytelnikom książki, idee i ludzi. Jeśli kiedykolwiek Michnik „redagował Polskę", to właśnie wtedy.

Złamane pióro

Michnik w ostatnich publikacjach bywa ostry. Wiele osób, o których mówi, już nie żyje. Sprawy, których kiedyś życzliwość i szacunek kazały nie wydobywać przesadnie, dziś nie muszą być tajemnicą. Opowiada więc o tarciach między ekspertami Solidarności, ostro ocenia też Giedroycia i schyłek „Kultury".

Właśnie „Kultura" dostarcza mu ważnej lekcji na starość. „Moment, kiedy »Kultura« zgubiła temperaturę swojego czasu, był bardzo dla mnie ważną przestrogą na resztę życia, że kiedyś też mogę coś ważnego zgubić" – mówi Kurskiemu. I dodaje: „Złamałem pióro. Nie ścigam się z moim czasem. Kiedyś miałem poczucie, że jestem w centrum tego czasu, dziś tego poczucia nie mam".

Michnikowi zostaje coś w rodzaju redakcyjnego minimalizmu: rubryka „Adam Michnik poleca", przypominanie ważnych tekstów, zabieganie o wydawanie książek, nawet jeśli – jak sam mówi – przeczyta je niewiele osób. Ostatnia powinność redaktora: wybierać to, co warto ocalić. I pamiętać o ludziach. Dlatego wchodząc do gabinetu Michnika, mija się zdjęcia zmarłych redaktorów i autorów „Gazety", także zmarłych w ostatnich latach Piotra Nehringa i Pawła Smoleńskiego.

Zaskakujące, że w rozmowie z Kurskim nie ma zasadniczej rozmowy o „Gazecie Wyborczej" i Agorze. Kurski przez wiele lat był jedną z twarzy „Gazety", Michnik pozostaje jej redaktorem naczelnym, choć na co dzień nią nie kieruje. Jak patrzy na jej dzisiejsze wybory, odejścia wybitnych dziennikarzy i redaktorów, zmieniające się miejsce pisma? Szczera rozmowa Michnik–Kurski na ten temat byłaby jednym z najciekawszych fragmentów książki.

Michnik jest zawsze niepokorny. „Za polskością nie wolno się chować, a trzeba jej stawiać czoła" – mówi Kurskiemu, powołując się na Miłosza. Jest też głodny sporu. Istotna pozostaje dla niego możliwość relacji z adwersarzem – przekonanie, że spór nie musi oznaczać wykluczenia go ze wspólnoty. A granicę akceptacji – jak już wspomnieliśmy – wyznacza intuicja. To pomaga zrozumieć, dlaczego mimo fundamentalnych różnic może rozmawiać z politycznymi przeciwnikami. Nawet o konflikcie z Antonim Macierewiczem mówi, że jest on „czysto charakterologiczny".

Po premierze „Adama, syna Ozjasza" pod koniec września jeden z uczestników napisał w mediach społecznościowych: „Fantastyczny wieczór w Warszawie, w Agorze. Promocja książki Jarka/Adama... wśród przyjaciół i w tej lepszej połowie Polski... gdzie czuję się dobrze i u siebie...". Rzeczywiście, wydarzenie było bardzo miłe. Tyle że „lepsza połowa Polski" brzmi wyjątkowo niemichnikowsko. Sam Michnik przekonywał, że jest tylko jedna wspólna Polska, w której musi być miejsce dla różnych ludzi.

I może to jest najprostsza odpowiedź na pytanie, co ważnego chce nam powiedzieć w swoje 80. urodziny. Nie to, że należy myśleć tak jak Adam Michnik. Raczej, że z ludźmi, którzy myślą zupełnie inaczej, nadal trzeba umieć żyć w jednym kraju. Jak z sąsiadem: nie trzeba się z nim zgadzać nawet w kwestii istnienia Boga. Wystarczy nie śmiecić mu na wycieraczkę.

JAKUB HALCEWICZ

eprasa.pl f2420985f2

Rozmowy z rewolwerem na stole

Radzieckie czołgi jadące na Warszawę w październiku 70 lat temu zatrzymała nocna rozmowa dwóch choleryków, Władysława Gomułki i Nikity Chruszczowa. Przedstawiamy jej fragmenty.

KRZYSZTOF PERSAK

Rankiem 19 października 1956 r. wylądowała w Warszawie nieproszona delegacja Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego z sekretarzem generalnym Nikitą Chruszczowem na czele. Towarzyszył jej naczelny dowódca Układu Warszawskiego marszałek Iwan Koniew ze swoim sztabem. Sowiecki przywódca już z daleka wygrażał witającym go Polakom, wykrzykując pod adresem I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki: „Zdradziecka działalność towarzysza Ochaba wyszła na jaw! Ten numer wam nie przejdzie!".

Był to szczytowy moment kryzysu, jaki narastał w Polsce od wiosny 1956 r. Śmierć Bolesława Bieruta i upowszechnienie w Polsce wystąpienia Chruszczowa „O kulcie jednostki i jego następstwach" podważyły stalinowski system rządów i rozbudziły w społeczeństwie nadzieję na zmiany. Po tym, jak w czerwcu zbuntowani robotnicy Poznania otwarcie podnieśli hasła antykomunistyczne, „odwilż" przeistoczyła się w prawdziwą „powódź". Po kraju rozlewała się fala dyskusji i krytyki. Hasłem dnia stały się praworządność i demokratyzacja.

Dwie frakcje

Napiętnowanie zbrodni Stalina dało asumpt do przypomnienia krzywd doznanych od Związku Radzieckiego: wymordowania elity KPP, agresji 17 września 1939 r., zbrodni katyńskiej, procesu szesnastu. Jesienią 1956 r. na wiecach i w prasie społeczne żądania często wyrażano w języku antyradzieckiej frazeologii.

Tymczasem komunistyczną elitę władzy paraliżował spór między dogmatyczną frakcją „natolińczyków" i bardziej proreformatorską frakcją „puławian". Pierwsi (nazwani od rządowego pałacyku w Natolinie) chcieli zneutralizować napięcie społeczne, zrzucając odpowiedzialność za wypaczenia stalinizmu na konkretnych działaczy, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego. Byli zwolennikami rządów twardej ręki, domagali się silniejszej kontroli partii nad prasą i powściągnięcia swobody dyskusji. Puławianie (nazwani tak od ul. Puławskiej, przy której wielu z nich mieszkało) widzieli potrzebę głębszych zmian systemowych, wewnętrznej demokratyzacji partii, liberalizacji w sferze kultury i prasy. Natolińczyków łączyły bliskie związki z ambasadą radziecką, podczas gdy puławianie chcieli większej niezależności od Moskwy w polityce wewnętrznej.

Obie grupy zabiegały o pozyskanie Gomułki, który otoczony nimbem ofiary stalinowskich represji wyrastał na męża opatrznościowego. Ten na swojej drodze do władzy zdecydował się oprzeć na puławianach. ▶



© ZBIGNIEW MATUSZEWSKI/PAP, ERICH LESSING/EAST NEWS

eprasa.pl f2420985f2

▶ Impas miały przełamać zwołane na 19 października posiedzenie plenarne KC PZPR i wybór nowego, bardziej spójnego kierownictwa partii. Było oczywiste, że pierwszym sekretarzem zostanie Gomułka. Proreformatorska większość przeforsowała propozycję składu Biura Politycznego, w którym nie przewidziano miejsca dla marszałka Konstantego Rokossowskiego i uważanych za ludzi Moskwy czołowych natolińczyków.

Sowieckie pretensje

Właśnie w reakcji na te nieuzgodnione zamierzenia w dniu otwarcia plenum KC przyleciała do Warszawy delegacja z Moskwy. Jak wynika z telegramu rozesłanego jednocześnie do „bratnich" partii komunistycznych, na Kremlu obawiano się wręcz wyjścia Polski z bloku sowieckiego. Ostatecznym sygnałem alarmowym było dla Chruszczowa odrzucenie przez Polaków przekazanego za pośrednictwem ambasadora Pantalejmona Ponomarienki żądania odroczenia plenum KC i podjęcia rozmów z sowieckim kierownictwem. W swoich wspomnieniach Chruszczow napisał, że wtedy stracił zaufanie do Edwarda Ochaba, który od marca był I sekretarzem KC PZPR. Na tym miała polegać zdrada, o której krzyczał na warszawskim lotnisku.

Nieproszonych gości z Moskwy zawieziono do pałacu belwederskiego, gdzie rozpoczęły się trwające ponad 12 godzin rozmowy ze starym składem kierownictwa PZPR. Ale wcześniej zainaugurowano plenum, na którym do KC PZPR dołączono Gomułkę i kilku jego współpracowników usuniętych w 1948 r. za „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne". Dawało mu to legitymację do udziału w rozmowach z Rosjanami.

Formalnie spotkaniu przewodniczył Ochab, ale to Gomułka był głównym oponentem Chruszczowa. A że obaj mieli temperament choleryków, rozmowy od pierwszej chwili przeradzały się w utarczki. Pokazują to cytowane niżej fragmenty sporządzonego przez stronę radziecką zapisu spotkania.

Gomułka: Wasz przyjazd jest ingerencją w nasze sprawy.

Chruszczow: Chcą nas oderwać od naszych wojsk w Niemczech zachodnich.

Gomułka: Kto chce?

Chruszczow: Polska. Macie zamiar usunąć z Biura Politycznego towarzyszy Rokossowskiego, [Franciszka] Jóźwiaka, [Zenona] Nowaka, [Edwarda] Gierka, a wprowadzić – [Jerzego] Morawskiego. Nie możemy do tego dopuścić i jeśli postawicie nas przed faktami dokonanymi, będziemy zmuszeni brutalnie ingerować.

Ochab: Polscy komuniści siedzieli w waszych więzieniach i widocznie znowu będą siedzieć.

Chruszczow: Ja tak nie powiedziałem, nie przekręcajcie. Chcecie popsuć naszą przyjaźń. (...) Zrozumcie, że nie przyjechaliśmy po to, żeby was wykorzystywać i coś wam zabrać. Nigdy nie wtrącaliśmy się do waszych spraw.

Gomułka: Skoro nie wtrącaliście się, to niech wszystko zostanie po staremu i teraz też się nie wtrącajcie.

Czego dotyczyły sowieckie pretensje? Przede wszystkim usunięcia z Biura Politycznego „przyjaciół ZSRR", tolerowania w radiu i prasie antyradzieckich wystąpień (za co Rosjanie winili zwłaszcza sekretarzy KC Jerzego Morawskiego i Władysława Matwina), stawiania Moskwy przed faktami dokonanymi.

Chruszczow: Przestaliście nas informować. O wydarzeniach w Polsce dowiadujemy się z Głosu Ameryki.

Gomułka: Jeśli sądzicie, że zmiany w Biurze Politycznym dokonywane są przeciwko przyjaźni z ZSRR, to się głęboko mylicie. Jeśli się tego nie zrobi, to partia będzie się rozpadać, co może doprowadzić do następstw, które trudno przewidzieć.

[Wiaczesław] Mołotow [minister spraw zagranicznych ZSRR]**:** Już sam fakt, że nie chcecie z nami rozmawiać na te tematy, wiele mówi.

Gomułka: Powiedziałem tow. Ponomarience, że bezcelowe jest, żebyście przyjeżdżali do Warszawy i prowadzili rozmowy przed plenum KC. Prosiliśmy, żebyście przyjechali nie dzisiaj, a jutro. Wychodzi na to, że o niczym nie możemy sami decydować, a tylko zgodnie z waszą radą.

W cieniu czołgów

Rozmowy w Belwederze toczyły się – jak to później ujął Gomułka – „z rewolwerem na stole". Rano sowieckie dywizje stacjonujące na Śląsku i Pomorzu rozpoczęły marsz na Warszawę. Na rozkaz marszałka Rokossowskiego weszły do stolicy niektóre pododdziały Wojska Polskiego.

Gomułka: Właśnie otrzymałem komunikat o ruchach radzieckich i polskich czołgów. W jednym miejscu czołg zmiażdżył sekretarza terenowej organizacji partyjnej. Prosimy towarzyszy radzieckich, żeby dali polecenie tow. Koniewowi zatrzymania ruchu wojsk.

Chruszczow i pozostali towarzysze radzieccy wyjaśniają, że to są zwykłe jesienne manewry. Jednocześnie zgodzili się na udzielenie odpowiednich wskazówek tow. Koniewowi.

Ale te wyjaśnienia okazały się tylko wykrętami, a sowieckie kolumny posuwały się nadal. Wieczorem Gomułka interweniował ponownie.

Gomułka: Pytam, co oznaczają wasze słowa, powiedziane rano „jesteśmy gotowi do zdecydowanej interwencji"?

[Anastas] Mikojan [członek Prezydium KC KPZR]**:** Dlaczego wiecie o wszystkim, co dzieje się w Polsce, a nie wiecie tego, że trwają zwykłe ćwiczenia?

Gomułka: Nie możemy powiedzieć narodowi, że akurat w dniu waszego przyjazdu rozpoczęły się manewry.

Mikojan: Ćwiczenia planowane były już od dawna. Czyżbyście wątpili, że śmierć jednego człowieka była przypadkowa?

Gomułka: Myślałbym, że to przypadek, gdyby nie słowa tow. Chruszczowa o interwencji i gdyby nie ruch czołgów. (...)

Mikojan: Wy podrywacie naszą przyjaźń.

Gomułka: Przyjaźń jest nam bardziej potrzebna niż wam i wszyscy myślący ludzie w Polsce to rozumieją. Możemy wysłuchać waszej opinii o sytuacji wewnętrznej w Polsce, ale decyzja ostateczna to nasza sprawa. Tow. Chruszczow miesza się do naszych spraw i niesłusznie mówi, że jesteśmy przeciwko przyjaźni.

[Łazar] Kaganowicz [członek Prezydium KC KPZR]**:** Tow. Chruszczow daje jedynie polityczną ocenę faktów.

Gomułka: Tow. Chruszczow powiedział, że wyprowadzenie tow. Rokossowskiego z Biura Politycznego oznaczać będzie zerwanie Układu Warszawskiego.

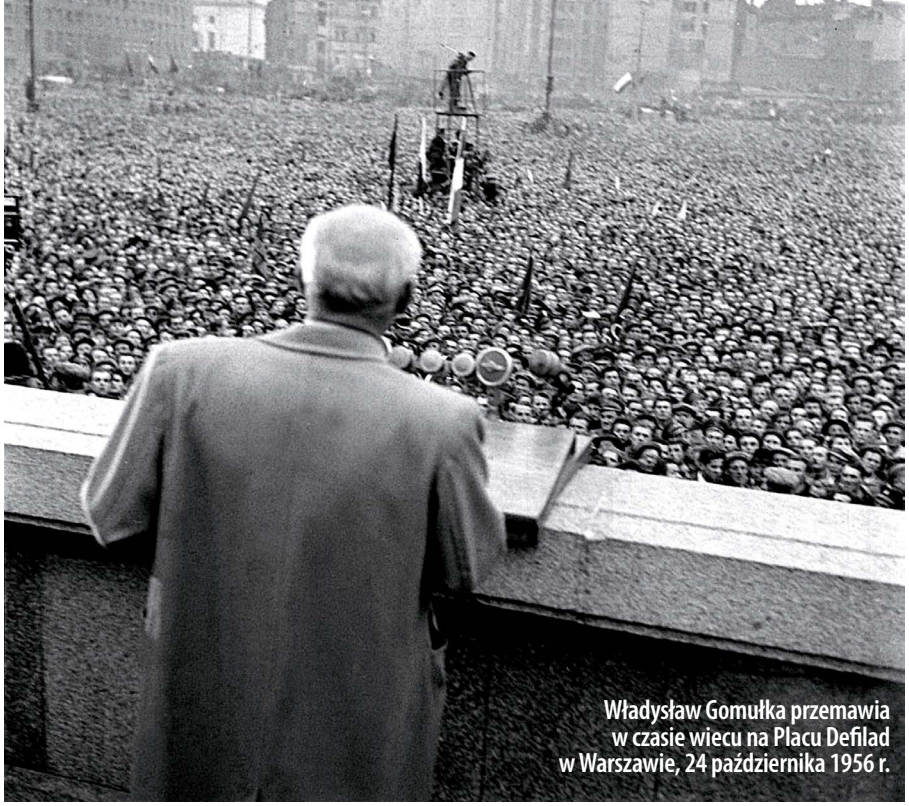
Chruszczow i Mikojan: Tak.

Gomułka: Nie macie prawa nam grozić.

Atmosferę spotkania podgrzewały wieści o napiętej sytuacji w Warszawie – wiecach na uczelniach wyższych, mobilizacji robotników Żerania szykujących się do obrony plenum KC przed sowiecką ingerencją. Rosjanie mieli pretensję o wyciek (rozesłanych kilkudziesięciu członkom KC) kandydatur do nowego Politbiura. Widzieli w tym, zresztą słusznie, próbę kreowania przez puławian politycznej rzeczywistości.

Kaganowicz: Taka demonstracyjna metoda może być stosowana przez

eprasa.pl f2420985f2



Władysław Gomułka przemawia w czasie wiecu na Placu Defilad w Warszawie, 24 października 1956 r.

opozycję lub partię opozycyjną. Z punktu widzenia leninowskiej partyjności jest niedopuszczalna.

Chruszczow: Jak można pozwolić, żeby o składzie Biura Politycznego decydowała ulica?

Jóźwiak [członek Biura Politycznego KC PZPR]**:** To skandal. Uważam, że te działania nie są przypadkowe, że ktoś świadomie działa, żeby uniemożliwić wolny wybór kierownictwa na plenum.

Chruszczow: Całkowicie słusznie. (...) Właśnie po to lista składu przyszłego Biura Politycznego została rozdana członkom KC i wysłana do zakładów. (...)

[Zenon] Nowak [członek Biura Politycznego KC PZPR]**:** Tu nie tyle chodzi o bycie za czy przeciw demokratyzacji, ale o walkę o władzę. Towarzysz Jóźwiak mówił już, jak to się odbywało. Najpierw zaatakowano część kierownictwa, później całe kierownictwo, partię, ZSRR, wszystkich świętych. Rugano ich, żeby móc powiedzieć, że winni są nie ludzie, ale system. To jest linia kontrrewolucjonistów. (...)

Mikojan i Kaganowicz: Tow. Nowak mówi bardzo słusznie i logicznie. Fakt z listą to kolejny dowód na istnienie wielkiej frakcyjnej roboty.

Bez porozumienia

Przez większą część spotkania w Belwederze strona polska – z wyjątkiem wtórujących Rosjanom Jóźwiaka i Nowaka – zachowywała względnie jednolite stanowisko. Roman Zambrowski, Józef Cyrankiewicz, Stefan Jędrychowski i Adam Rapacki wypowiadali się zgodnie z linią Gomułki. Nawet jeśli niektórzy członkowie Biura Politycznego (Aleksander Zawadzki i Ochab) podzielali krytykę nadmiernej swobody prasy i jej tonu wobec ZSRR, poparli główny argument Gomułki, że opanowanie kryzysu wymaga wyłonienia nowego, spójnego kierownictwa partii, i bronili samodzielności polskiej strony w tej sprawie. Jednak pod koniec rozmów z tego jednolitego frontu wyłamał się Zawadzki i wezwał do ustępstw.

Zawadzki: Nie zgadzam się z propozycjami tow. Gomułki w tej kwestii, chociaż wcześniej inaczej podchodziłem do tej sprawy. Jako komuniści nie możemy tak postępować. Będzie niedobrze, jeśli się tak bez rezultatów rozejdziemy. Z linii tow. Gomułki jestem niezadowolony. (...)

Chruszczow i **Kaganowicz:** Słusznie, słyszymy głos bolszewika! (...)

Jędrychowski [21 października awansował na pełnoprawnego członka Biura Politycznego KC PZPR]**:** Ale wy niesłusznie sądzicie, że przyjaźń będzie wtedy, gdy do BP wejdą ludzie, którzy wam się podobają. Rozbijacie Biuro Polityczne.

Kaganowicz: To niesłychane! Kto to widział: wycinacie połowę Biura Politycznego, a mówicie, że my je rozbijamy.

Chruszczow: Usuwacie Rokossowskiego. Nie jesteście dziećmi i powinniście rozumieć, co to znaczy.

Zawadzki: Towarzyszu Jędrychowski, nie macie racji, mówiąc, że towarzysze radzieccy przyjechali tutaj, żeby rozbijać Biuro Polityczne. Siedzimy razem i omawiamy problem, a wy mówicie o rozbijaniu. A kogo planowaliście usunąć z Biura? Nowaka, Rokossowskiego i innych.

Rokossowski: Chcecie sobie dobierać ludzi, towarzyszu Gomułka, którzy będą tańczyć, jak im zagracie.

Gomułka: Po wystąpieniu tow. Zawadzkiego powstała skomplikowana sytuacja. Teraz to już nie jest jednomyślna decyzja o składzie Biura Politycznego. I z tego powinienem od razu wyciągnąć wnioski.

Głosu Zawadzkiego, uważanego za przywódcę konserwatystów w kierownictwie partii, nie można było zlekceważyć. Gomułka zagrał va banque, grożąc wycofaniem się z zaangażowania w proces odnowy. Do żadnego porozumienia w Belwederze nie doszło. Rozmowy zakończyły się o pierwszej w nocy bez zbliżenia stanowisk. Nie uzgodniono nawet konstruktywnie brzmiącego komunikatu dla prasy, ograniczając się do sformułowania, że „obrady przebiegały w atmosferze partyjnej i przyjacielskiej szczerości".

Wyrozumiałość Chruszczowa

W Warszawie 20 i 21 października obradowało VIII Plenum KC PZPR, na którym wybrano Biuro Polityczne w oprotestowanym przez Sowietów i natolińczyków składzie z Gomułką jako I sekretarzem. Na Kremlu tymczasem wciąż zastanawiano się nad postępowaniem wobec krnąbrnego satelity. Opcja interwencji nadal była na stole. Sowieckie czołgi nadal stały w polu, gotowe wznowić marsz na Warszawę.

Jak wynika z roboczych notatek protokolanta posiedzeń Prezydium KC KPZR, jeszcze 21 października rozważano: „jakiej trzymać się linii – a) wpływać i obserwować wydarzenia, b) lub pójdziemy drogą interwencji". Ostatecznie jednak przeszedł wniosek Chruszczowa: „biorąc pod uwagę sytuację, należy zrezygnować ze zbrojnej interwencji. Wykazać wyrozumiałość".

Zadecydowały o tym dwa czynniki – gigantyczne, wyrażające się m.in. w tysiącach uchwalanych w tych dniach rezolucji, poparcie społeczne, jakie zyskał Gomułka, oraz sprzeciw Komunistycznej Partii Chin wobec interwencji w Polsce. A kiedy dwa dni później wybuchła antystalinowska rewolucja w Budapeszcie, Kreml miał już na głowie większe problemy.

KRZYSZTOF PERSAK

© ZYGMUNT WDOWIŃSKI/PAP

eprasa.pl f2420985f2

galeria



Patricia Ayres, „1-12-5-14-1", 2025 r.

W trójwymiarze 5/6

Rzeźba po stabilności, wystawa zbiorowa, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, do 28 lutego 2027 r.

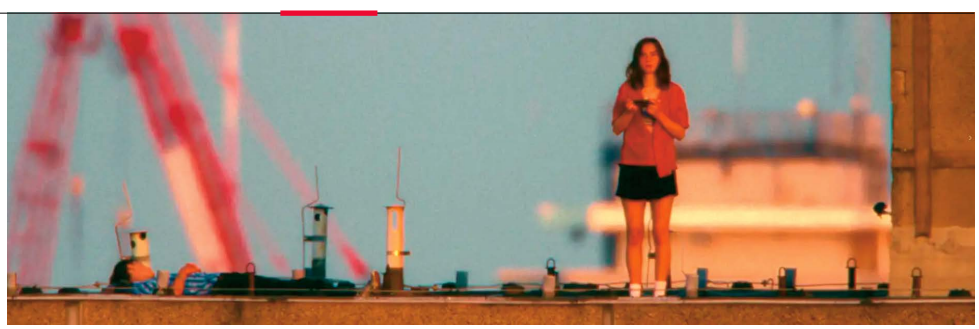
Na przylegającym do muzeum Placu Centralnym okazale prezentuje się monumentalna rzeźba Igora Mitoraja. Bynajmniej jednak nie stanowi zapowiedzi wystawy, raczej jej antytezę, przypadek pracy świetnie lokującej się w tradycji klasycznej rzeźby. Tymczasem ekspozycja jest opowieścią o tym, co współcześnie dzieje się z tym gatunkiem sztuki, jak ewoluuje i jak szuka dla siebie miejsca w czasach, które mu raczej słabo sprzyjają. O ile bowiem malarstwo jakoś się broni, o tyle rzeźba od dłuższego czasu pozostaje w defensywie, spychana na margines przez artystyczne instalacje. Słowem: czy potrafi jeszcze uwodzić, jak za czasów Berniniego, Rodina czy Brâncușiego?
Trzydzieści kilka dzieł na nowej wystawie w Muzeum Sztuki Nowoczesnej to oczywiście subiektywny wybór, ale pewne trendy można z nich wyczytać. Głównie ten, że figuratywność jest w odwrocie i nawet jeśli sporo dzieł nawiązuje do otaczającego świata, to robi to nie wprost, na widza przerzucając zadanie odczytywania sensów, symboli, skojarzeń ukrytych w wyrafinowanych formach. Po drugie, że nieodwołalnie już rzeźba nie powinna kojarzyć się z tradycyjnie jej przypisanymi materiałami, jak marmur, drewno czy brąz. Na wystawie są dzieła zrobione z brezentowych plandek, fragmentów spadochronów, skór, odpadów poprzemysłowych i różnych innych dziwnych materii. Rzeźby często tworzą zmultiplikowane grupy. Przenikają się z przestrzenią, światłem, dźwiękiem, nawet wilgocią, chętnie wchodzą w relacje z miejscem, w którym się znalazły, zaskakują obecnością w nieoczywistych miejscach (warto uważnie rozglądać się wokół budynku i w jego holu). Dlatego nie są tworzone „na stulecia", ale często wyłącznie na potrzeby konkretnej wystawy. Czy uwodzą? Na pewno są w stanie intrygować. I jeszcze jedno. Na wystawie jest ponaddwukrotnie więcej artystek niż artystów, co może oznaczać, że współczesna rzeźba jest kobietą, a już na pewno oznacza, że MSN jest feministką.

PIOTR SARZYŃSKI

film

Poemat o stracie 5/6

Everytime, reż. Sandra Wollner, prod. Niemcy, Austria, 119 min, w kinach od 23 października



Niemal każda opowieść o żałobie i traumie to zarazem historia budowania świata od nowa, sklejania rozbitej rzeczywistości, prób wypełnienia brakujących elementów. Tragiczna śmierć nastoletniej Jessie jest dla jej rodziny nie tylko wstrząsem, lecz także nieoczekiwaną szansą na zbliżenie. Jej matka Ella ukrywa rozpacz i gniew za maską stoickiego spokoju, dziesięcioletnia Melli wciąż wysyła do zmarłej siostry esemesy i spędza czas, grając w jej ulubioną grę wideo, Lux, chłopak Jessie, nie potrafi poradzić sobie z wyrzutami sumienia – dziewczyna zginęła, gdy po imprezowej nocy oboje postanowili obejrzeć wschód słońca z dachu wieżowca. Mijają miesiące, a cała trójka zaczyna spędzać ze sobą coraz więcej czasu, aż razem wyjeżdżają na Teneryfę, by podjąć próbę ostatecznego pogodzenia się ze stratą ukochanej osoby. W tę z pozoru tradycyjną fabułę Sandra Wollner (nagrodzona na tegorocznym festiwalu w Cannes w sekcji Un Certain Regard) wpisuje coraz więcej elementów niesamowitości, zrywa z surowym realizmem, zamiast kropek i wykrzykników woli ciszę i niedopowiedzenia. Jej film nie podsuwa uniwersalnych prawd, nie przynosi łatwych pocieszeń, nie poddaje się także jednoznacznym interpretacjom. Im bliżej przejmującego, enigmatycznego finału, tym bardziej „Everytime" staje się hipnotyzującym poematem na temat śmierci, miłości, smutku.

Pewnego ranka Jessie (Carla Hüttermann) i Lux (Tristán López) wyszli na dach wieżowca. Nie wrócili razem…

JAKUB DEMIAŃCZUK

© KUNNING HUANG, CINOBO / JAMNIK FILMS, PRIME VIDEO/TVP, HBO MAX, THE GUARDIAN

eprasa.pl f2420985f2

Sympatyczny SOR 3/6

SOR, scen. Maciej Sobczyk, Zbigniew Zborowski, 12 odc., Prime Video i TVP

Olbrzymi sukces amerykańskiego serialu medycznego „The Pitt" HBO Max wywołał także w Polsce nową falę szpitalnych produkcji. Wkrótce Netflix pokaże „Znieczulenie", a już teraz dostajemy „SOR", wspólne dzieło Prime Video i TVP, które w tym pierwszym zostało właśnie udostępnione w całości, a na antenie TVP2 i w serwisie VOD TVP będzie pokazywane co tydzień. Siłą „The Pitt" jest z jednej strony naturalizm, z jakim pokazuje zarówno pracę na oddziale ratunkowym amerykańskiego szpitala, jak i współczesną Amerykę, z drugiej – edukacyjny charakter: nauka procedur i szacunku do pacjenta. Polski „SOR" – sądząc po sześciu udostępnionych nam przed premierą odcinkach – to zaś powtórka z rozrywki, nowsza odsłona emitowanego od 27 lat w TVP2 „Na dobre i na złe", zresztą producentem obu serii jest Artrama Tadeusza Lampki. Pacjenci są dodatkiem do romantycznych perypetii starszej rezydentki na oddziale ratunkowym Kaśki Zawadzkiej (**Sonia Mietielica**) i nowo tam zatrudnionego lekarza Piotra Hajduka (**Sebastian Dela**), którzy byli parą dekadę temu, ale rozdzieliła ich kibolska pasja Piotra i związana z nią odsiadka. Ona stara się być rozważna, on jest romantyczny, co oznacza, że ona trzyma się procedur i jest w związku ze statecznym prokuratorem, a on jest charyzmatyczny, genialny i brawurowy, ona jest córką znanego i autorytarnego kardiologa (Andrzej Grabowski), on jest ambitnym self-made manem. Sympatyczne.

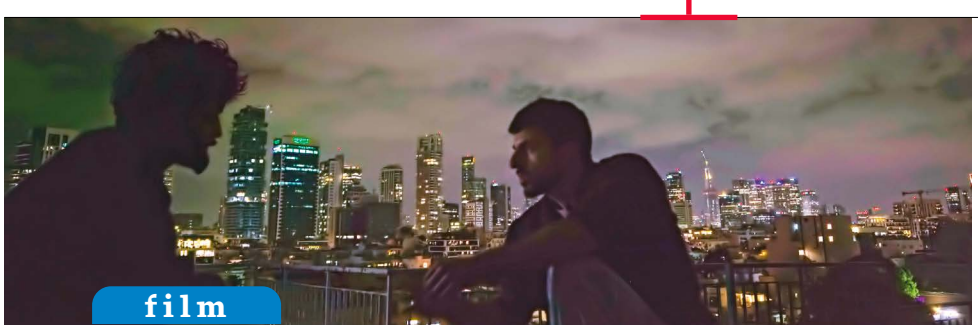


ANETA KYZIOŁ

Krwawy obóz 4/6

Crystal Lake, twórca serii: Brad Caleb Kane, 8 odc., HBO Max

Jason Voorhees, zabójca w masce hokejowej, to jeden z najpopularniejszych czarnych charakterów w dziejach horroru. Nie każdy pamięta jednak, że w pierwszej części serii „Piątek trzynastego" to jego matka Pamela mordowała beztroskich nastolatków na letnim obozie w miasteczku Crystal Lake, dopiero później Jason przejął maczetę i wyruszył na krwawe łowy. Po kilkunastu filmach, komiksach i grach wideo, z reguły opartych na identycznych schematach, przyszła pora na serial. To prequel, w znacznej mierze zgodny z budowaną przez lata filmową mitologią, a zarazem twórczo ją rozbudowujący. Dwunastoletni Jason tonie podczas wakacji, ponieważ jego opiekunowie byli bardziej zainteresowani sobą nawzajem, a nie pilnowaniem bawiących się dzieci. W zrozpaczonej Pameli Voorhees (bardzo dobrze obsadzona **Linda Cardellini**) budzi się skłonność do przemocy. Pierwsze morderstwo pociąga za sobą kolejne, a spirala gwałtownych zdarzeń wstrząsających lokalną społecznością nakręca się z każdym dniem. W przeciwieństwie do filmowego „Piątku trzynastego" krwawy slasher nie jest tu celem samym w sobie, a jedynie drogą do niego. „Crystal Lake" jest satysfakcjonujący jako horror, lecz nie ucieka od innych tematów: społecznych konfliktów, rasowych napięć, korporacyjnych manipulacji. Czy seria o Jasonie Voorheesie potrzebowała rozpisanego na osiem godzinnych epizodów prequela? Z pewnością nie, lecz wyszło z niego całkiem sprawne widowisko. JD



film

Zabijanie na ekranie 5/6

NAZA, reż. Juwal Abraham, Rachel Szor, prod. USA, Wielka Brytania, 80 min, w kinach od 23 października

Ten film wbija w fotel. Nie epatuje obrazami śmierci, ale dokładnie odtwarza proces zabijania w Strefie Gazy, który doprowadził do ponad 73 tys. ofiar, w tym co najmniej 20 tys. dzieci. W nocnej scenerii na dachach Tel Awiwu, 60 km w linii prostej od Gazy, oficerowie elitarnej cyberjednostki izraelskiego wywiadu opowiadają, jak sztuczna inteligencja systemu Lavender pomogła im zidentyfikować dziesiątki tysięcy celów, a następnie przeprowadzać nocne ataki na domy, w których obok hamasowców ginęły całe rodziny. Tytułowa NAZA to *nezek agawi*, dosłownie „straty uboczne", czyli liczba cywilów, którzy zginą w danym ataku. Czasem było to 20, 30, 300, a nawet 500 osób. Film pokazuje też, jak zrównywano Gazę z ziemią kwartał po kwartale i strzelano do ludzi próbujących zdobyć pożywienie w centrach dystrybucji. Operatorzy obserwujący to z daleka na ekranach mieli skojarzenia z grami wideo i „świetną zabawą". To akt oskarżenia izraelskiej armii i rządu. A twórcy filmu stali się w Izraelu wrogami publicznymi, otrzymują groźby śmierci i odebrania obywatelstwa. Armia odrzuca zarzuty, twierdząc, że anonimowi rozmówcy wypowiadali się na tematy wykraczające poza ich kompetencje. Zarzuty stawiane autorom – np. że przed publikacją nie przedstawili oskarżeń do weryfikacji – wyglądają z kolei na próbę minimalizowania „strat ubocznych" po filmie, którego oddziaływanie już szeroko rozchodzi się po świecie.

Masakra jak gra wideo. Akt oskarżenia pod adresem armii i rządu Izraela.

AGNIESZKA ZAGNER

eprasa.pl f2420985f2



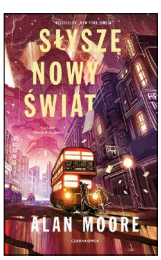
Głosem Frycza 4/6

Jakub Żulczyk, **Pan Darek**, Świat Książki, Warszawa 2026, s. 528



Jakub Żulczyk domyka swoją trylogię zapoczątkowaną przez „Ślepnąc od świateł". Był już ciąg dalszy „Dawno temu w Warszawie", teraz dostajemy wcześniejsze losy Daria, granego w serialowej adaptacji przez znakomitego Jana Frycza. Akcja nowej książki zaczyna się w 1990 r. w Trójmieście. Darek Kinski, kelner z Cristalu, wychodzi z więzienia i rozkręca interesy, zwłaszcza bursztyn kusi. W tle słychać przeboje tamtego czasu, które nadają rytm tej prozie: Halina Frąckowiak, „Mydełko Fa" (wykonywane przez, a jakże, Marka Kondrata), leci serial „W labiryncie", na stole przed telewizorem Rubin – kanapki z baleronem i herbata z cukrem. Pan Darek nie jest sam, zawsze towarzyszy mu Zmora, która potrafi usiąść mu na piersiach i przydusza go obrazami przeszłości. Jego głowa to piekło, które podsuwa mu kolejne obrazy. Warszawę – w poprzednich dwu powieściach będącą pełnoprawną bohaterką tej prozy – tutaj zastępuje Trójmiasto ze swoją solidarnościową legendą i z postaciami takimi jak prałat Jankowski, sportretowany tu zresztą bez taryfy ulgowej. To właśnie za jego sprawą pan Darek przemienia się w Daria – brzmi jak włoski kardynał. Żulczyk dobrze odtwarza tamtą rzeczywistość, splot szemranego biznesu, polityki i Kościoła. Znowu wprowadza czytelników w ciemność, a piekło tkwi tutaj również w zdrobnieniach, największa przemoc wydaje się w ten sposób pomniejszona, niegroźna, swojska. Tymczasem to zło, które Żulczyk portretuje, ma siłę promieniującą na przyszłość. Trudno wymagać, żeby kolejna część cyklu miała moc oddziaływania „Ślepnąc od świateł", ale autor za każdym razem udowadnia, że potrafi wprowadzać czytelników w otchłań brudu i przemocy. A pan Darek mówi do nas głosem Jana Frycza.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Zaułki pełne cudów 4/6

Alan Moore, **Słyszę nowy świat**, przeł. Wojciech Szypuła, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2025, s. 440

Autor „Wielkiego Kiedy" wraca do magicznej, fascynującej i niebezpiecznej wersji Londynu. Czy też raczej – ponownie wysyła tam bohatera swojego cyklu Dennisa Knuckleyarda, niegdyś młodego antykwariusza, teraz o parę lat starszego autora tandetnych opowiadań do pisemek pornograficznych. Dennis miał nadzieję, że Długi Londyn – w którym splatają się wszystkie epoki historyczne i mity angielskiej stolicy – zostawił dawno za sobą. Jednak niespodziewanie musi znów odwiedzić spowite mgłą zaułki, którymi przechadzają się widma i potwory, by ocalić przed zagładą nie tylko magiczną metropolię, lecz również jej rzeczywisty odpowiednik. Nawet jeśli sam pomysł na miejską fantasy rozgrywającą się w równoległej rzeczywistości nie jest specjalnie oryginalny, Alan Moore nadaje mu fascynujący kształt. Jego proza jest przejmująca, inteligentna i dowcipna. Pełna znakomitych narracyjnych pomysłów urzeka zapadającymi w pamięć obrazami – zwłaszcza Długi Londyn wydaje się surrealistycznym obrazem, który rzuca wyzwanie prawom logiki i fizyki. Brytyjski pisarz konstruuje świat z odprysków historii, legend, faktów i kultury masowej (jedną z ważnych postaci drugoplanowych jest tu Joe Meek, słynny producent muzyczny, którego płyta „I Hear a New World" użyczyła tytułu powieści). I czyni to z werwą i entuzjazmem, jakich mogliby mu pozazdrościć autorzy młodsi o pokolenie.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Pytania 4/6

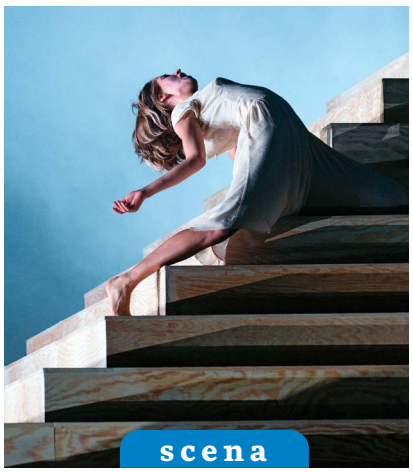
Catherine Lacey, **Odpowiedzi**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2026, s. 352

Wydarzenia rozgrywają się na początku XXI w., można domniemywać, że niedługo po ataku na World Trade Center, ale ich wymowa jest dziś ciągle, a może i bardziej aktualna. To zwariowana proza, poprzedzająca wydaną w Polsce wcześniej błyskotliwą „Biografię X". Mary, jedna z głównych bohaterek powieści, dorastała pod kloszem („byliście jak amisze czy coś w tym stylu?"). Wyrwała się z reżimu, ale mentalnie jeszcze nie. Świat nie okazał się zresztą nadzwyczaj przyjazny. Mary tonie w długach i stale dokucza jej ból. Wiele niezidentyfikowanego bólu. Przyjaciółka posyła ją na trening PAKowania i choć serie ćwiczeń przypominają raczej szarlatanerię niż pełnoprawną terapię, to przynoszą efekty. Żeby je opłacić, Mary szuka dodatkowej pracy. Bierze udział w świetnie płatnym eksperymencie, który ma naukowo rozpracować idee zakochania i miłości. Po to Mary zostaje partnerką – jedną z wielu – Kurta, aktora z zawodu. Ale sprawa wymyka się spod kontroli. Przywiązanie między ludźmi najwyraźniej trudno sprowadzić do prostych obliczeń, a sami badacze mają ukryte, mało etyczne zamiary. Powieść, którą dwie dekady temu można by umieścić na półce z science fiction, dziś wydaje się dystopią, najciekawszą wtedy, kiedy blisko trzyma się życia. Porażają subtelnie wplecione w tę historię fragmenty o nierównych relacjach kobiet i mężczyzn. Kim jesteśmy, dokąd zmierzamy, czy to my działamy w określony sposób, czy też raczej chemia w mózgu popycha nas w jakimś kierunku – tymi kwestiami Lacey próbuje się zająć. Jednak wszystko, co ma przynieść odpowiedzi – terapie, badania, religia – rodzi tylko więcej pytań.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

© STACH ANTKOWIAK/REPORTER, MARIIA SHULGA, MICHAŁ WOŹNIAK/DZIEŃ DOBRY TVN/EAST NEWS, MP (4)

eprasa.pl f2420985f2



scena

Po „Odysei” 2/6

Oresteja, na motywach trylogii Ajschylosa, reż. Luk Perceval, Teatr Narodowy w Warszawie

Jest to jeden z tych spektakli, na które należy iść wyspanym, a wcześniej wymodlić u matki natury pomyślny barometr. Wtedy co prawda także spędzi się te dwie godziny bez kwadransa w Teatrze Narodowym na walce ze snem, ale szanse na wygraną będą większe. Życzliwi nazwą inscenizację Luka Percevala minimalistyczną i skupioną na słowie, mniej tolerancyjni – reżyserskim pójściem na skróty i audiobookiem w monumentalnej scenografii. Obsada – Danuta Stenka (Hekuba), Cezary Kosiński (Ajgistos), Aleksandara Justa (Klitajmestra), Ewa Bukała (Elektra), **Hanna Wojtóściszyn** (duch Ifigenii) oraz nowe nabytki w zespole: Karolina Staniec (Kasandra) i Robert Czerwiński (Agamemnon, Orestes) – stara się ożywić tę historię o wyniszczającym kołowrocie przemocy, jaki przynosi wojna także zwycięzcom. Jednak aktorskie wysiłki torpeduje reżyseria, stawiająca w centrum piramidę na obrotówce, po której i wokół której majestatycznie poruszają się bohaterki i bohaterowie, a czasem rusza też sama obrotówka, popychana przez mamroczącego Chorusa (gościnnie Mariusz Bonaszewski w roli wybitnie fizycznej). Drugi problem to świeżość tego odczytania „Orestei” – niedawno „Odyseja” Christophera Nolana podnosiła te same sensy, a kontekstem były wojny wywołane przez Trumpa i Putina, które pewnie mają odbijać się także w spektaklu Percevala – i w przedstawieniu, i w filmie współczesność odzywa się w języku bohaterów i w podkreśleniu mechanizmów psychologicznych. AK





muzyka

Dać się ponieść 5/6

Ewa Koc, **Nie ma lepszego świata niż ten**, e-muzyka

Błażej Król zaczyna tę płytę od niepokojącej deklaracji: „Na autopilocie, na jednym silniku, do tego prawie na oparach”. Silniki supergrupy Ewa Koc są jednak co najmniej dwa – drugi to **Dawid Tyszkowski**, który Króla poznał kiedyś, pracując w radiu studenckim (opowiadał o tym w podkaście POLITYKI). Dziś relacja zmieniła się we współpracę, a z krótkiej sesji w studiu na Kocewce (Kujawsko-Pomorskie) zaplanowanej jako pisanie jednego utworu wyszła cała płyta. Także dzięki muzykom uzupełniającym skład, którymi są **Kamil Pater**, **Kuba Staruszkiewicz** i **Wawrzyniec Topa**. Energia tej sesji musiała być rzeczywiście fantastyczna, bo przełożyła się na energię płyty: zupełnie innej niż solowe dokonania Tyszkowskiego (daleko od tegorocznej płyty „Chciałbym umrzeć z miłości”) i nieco odmiennej od albumów Króla. Zdominowanej przez rockowe riffy odwołujące się do polskiej klasyki, a zarazem przynoszącej ślady fascynacji estetyką Radiohead. Formuła zespołu bez wyraźnego lidera i z utworami pisanymi wspólnie jest zaskakująca, jeśli wziąć pod uwagę autorski charakter muzyki obu wokalistów, ale sprawdziła się i pozwala uniknąć jechania na autopilocie. A już na pewno lotu na oparach.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

23.
jazztopad
festival

13 —— 22.11.2026
Wrocław
NFM

jazztopad.pl

Olga Humeńczuk
Dyrektorka NFM

Piotr Turkiewicz
Dyrektor Artystyczny

Organizator

NFM – instytucja kultury współprowadzona przez

NFM NARODOWE FORUM MUZYKI
Wrocław
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
DOLNY ŚLĄSK

eprasa.pl f2420985f2

Ośmiornica

PIOTR SARZYŃSKI



eprasa.pl f2420985f2

w kierpcach



Dobrze pamiętana przez starsze pokolenie Cepelia doczekała się, na równi z Matejką czy Wyspiańskim, monograficznej wystawy w Krakowie. Na miejscu można się przekonać o skali zjawiska, jakie reprezentowała.

Teoretycznie Cepelia była przemysłowo-handlowym konglomeratem, jednym z wielu tworów centralnie zarządzanej socjalistycznej gospodarki, wraz z nią powołanym do życia (1949 r.) i wraz z nią pożegnanym (1990 r.). W praktyce jednak w działaniach Centrali Przemysłu Ludowego i Artystycznego nie brakowało sprzeczności, paradoksów i osobliwych wyzwań. Zachłanna, zagarniała pod siebie coraz więcej aktywów i trudno oprzeć się wrażeniu, że zaczęła w pewnym momencie przypominać potężną ośmiornicę, która sięgała swymi mackami w najprzeróżniejsze obszary życia społecznego, gospodarczego, kulturalnego. Przyjrzyjmy się tej osobliwej anatomii owego wykreowanego przez ludową władzę głowonoga.

Najbardziej reprezentacyjną, sunącą z przodu cepeliowską macką pozostawała „twórczość ludowa". „Ludowość Cepelii została skonstruowana jako towar – piszą kuratorzy wystawy – który miał przekazywać miejskim odbiorcom (a dodajmy, że i zagranicznym – P.S.) emocje i wartości zakorzenione w romantycznym koncepcie ludu". Teoretycznie więc cel wyznaczono precyzyjnie. Ale praktyka bardzo go komplikowała. Bo czyż ma to być rzemiosło, rękodzieło czy sztuka? Autentyki, kopie, zapożyczenia, wariacje na temat czy luźny dobór motywów? A może produkt przemysłowy? Owoc tradycji ludowej czy jej skomercjalizowany ekstrakt? Produkt masowy czy krótkoseryjny, a nawet zindywidualizowany? A jeśli masowy, to jak utrzymać dobrą jakość? A jeśli krótkoseryjny, to jak utrzymać niskie ceny?

Kolejne dekady przynosiły więc nieustanne ścieranie się oczekiwań artystów, etnografów, polityków i władz przedsiębiorstwa. Efektem tego stał się tzw. styl cepeliowski – dla miast i dla świata, oficjalny wyznacznik, jak wzór z Sèvres, tzw. chłopskiej kultury materialnej. A jeśli daleko odbiegał od oryginału, to tym gorzej dla oryginału. Bo produkty Cepelii niezmiennie sprzedawały się jak ciepłe bułeczki, a niektóre – jak kilimy, serwety i obrusy, słomiane maty, obrazy na szkle itd. – okazały się niesłabnącymi hitami.



Talerz z Bolesławca zaprojektowany przez Bronisława Wolanina, 1987 r. W prawym górnym rogu: **lalka ceramiczna projektu Heleny i Lecha Grześkiewiczów, lata 60. XX w.** Na sąsiedniej stronie: **koronczarki z Koniakowa, 1977 r.**

Drugim odnożem peerelowskiego monstrum pozostawało coś, co dziś zwie się powszechnie designem, a wówczas – wzornictwem przemysłowym. Owszem, zazwyczaj czerpiącym z ludowych motywów, jednak osadzonym we współczesnych trendach projektowania. Wbrew potocznemu wizerunkowi, który Cepelię kojarzy głównie z drewnianymi kogucikami na patyku, to właśnie ta druga macka odpowiadała za ponad 80 proc. klienckich połowów w Polsce (za granicą zwyciężały sentyment do ludowości i gotowość do płacenia większych kwot za ręczną robotę). Królowały oczywiście ceramika powstająca w Bolesławcu oraz Łysej Górze i wyroby tekstylne. W meblach liderem pozostawała mająca wspaniałą, przedwojenną jeszcze tradycję spółdzielnia Ład. W Muzeum Narodowym podziwiać można całą ścianę zastawioną po sufit cepeliowskimi meblami: fotelami, krzesełkami, kanapami, stołami. I trzeba przyznać, że wiele z nich wręcz zaskakuje nowoczesnym, światowym wzornictwem, z ludowością niemającym zgoła nic wspólnego.

Gdzieś między dwiema potężnymi mackami znalazło się miejsce dla trzeciej, choćby i skromniejszej – unikatowej produkcji, której najbliżej było do współczesnej sztuki. W 1973 r. w Narodowej Galerii Sztuki Zachęta zorganizowano wystawę wyrobów Cepelii. Wielu obserwatorom ów pomysł się nie podobał jako nazbyt nobilitujący uniwersum haftów i wycinanek, ale dziś z perspektywy czasu widać, że spod szyldu firmy wychodziły dzieła, których nie powstydziłoby się żadne muzeum sztuki nowoczesnej. Przypomnijmy, że dla Cepelii pracowali m.in. ▶

© WOODY OCHNIO/FORUM, KOLEKCJA TOMASZA DZIEWICKIEGO, MUZEUM CERAMIKI W BOLESŁAWCU

eprasa.pl f2420985f2

▶ Magdalena Abakanowicz, wspaniały, przedwcześnie zmarły rzeźbiarz Henryk Morel czy Grzegorz Kowalski, twórca słynnej, awangardowej Kowalni. Ich prac na wystawie nie ma, są za to wyśmienite kilimy i gobeliny – bo one najlepiej budowały progresywną mackę Cepelii – autorstwa Wojciecha Sadleya, Jolanty Owidzkiej, Heleny Gałkowskiej czy Piotra Grabowskiego.

Czwarte, całkiem nieźle prezentujące się odnóże zabezpieczało to, co z tyłu, czyli przeszłość. W pewnym momencie, gdzieś w latach 70., uznano bowiem, że słuszną ideowo twórczość ludową można już – a z uwagi na popyt: wręcz należy – uzupełnić o materialny dorobek dworkowej kultury szlacheckiej, mieszczańskiej, a nawet dworsko-arystokratycznej.

Początkowo popyt płynął głównie z instytucji publicznych. Wszak odbudowywane po wojnie i przywracane kulturze pałace, zamki, dawne rezydencje wymagały wyposażenia, które gdzieś w wojennych i powojennych grabieżach bezpowrotnie przepadło. Ruszyła więc pod egidą Cepelii produkcja mebli, dywanów, przedmiotów wyposażenia wnętrz (żyrandole, kinkiety, dywany) kopiujących historyczne wzory, od renesansu po secesję. Dużą popularnością cieszyły się pastisze pasów kontuszowych, ale też repliki broni białej i strzelniczej. Na wystawie pokazano fotele w stylu Ludwika XVI, tzw. meble w stylu gdańskim, sekretery i wiele innych. Ale najbardziej efektownie prezentują się tkaniny obiciowe i wszelkie tapiserie oraz arrasy. Z czasem skromnymi powierzchniami naszych M zawładnęła ta retromoda, którą złośliwi felietoniści owych czasów nazywali „bibelotami cudzej babci" i uznali za niebezpiecznie nawigujące w stronę kiczu.



Komplet mebli do jadalni ze Spółdzielni Meblostyl w Czersku, lata 70. XX w. (w tle talerze i miski „huculskie" z Bolesławca projektu Bronisława Wolanina, 1978 r.). Po prawej: **plakaty „Cepelia" – z 1965 r., stworzony przez Huberta Hilschera, oraz z 1986 r. (z żółtym tłem) pomysłu Joanny Sedlaczek.**

Była i macka piąta: moda, głównie kobieca. Oczywiście trudno było Cepelii rywalizować z takimi markami jak Moda Polska czy Kora, ale swoje trzy grosze co do ubraniowych gustów też potrafiła dorzucić. Jej znakiem firmowym i największym sukcesem stało się kreatywne przenoszenie do współczesnej mody elementów ludowych. Łowicki pasiak przybierał więc formę minispódniczki, regionalne hafty ozdabiały bluzki, a góralskie symbole – skórzane torebki i paski. Była to jednak raczej moda od święta niż na co dzień, zarówno z uwagi na trudną dostępność tych ubrań, jak i ich ceny.

Bodaj największym historycznym hitem modowym Cepelii stały się kożuchy z wyszywanymi motywami podhalańskimi. I niejako w pakiecie swoje 15 minut sławy przeżywały zakopiańskie kierpce oraz miedziane parzenice, oryginalnie służące spinaniu męskich koszul, ale tu traktowane jako dekoracja bluzek, swetrów, żakietów. Kożuchy długie do kostek, projektu Grażyny Hase, w całości sprzedawano za granicą. Natomiast te krótkie pojawiały się w krajowych sklepach. Drugim strzałem w dziesiątkę okazała się biżuteria. Przede wszystkim nowoczesna, srebrna spod znaku ORNO, która i dziś przeżywa renesans popularności. Na wystawie zwraca uwagę komplet sześciu guzików z... bursztynu, wyprodukowanych w 1962 r. Cena 4,50 zł nie była chyba zaporowa.

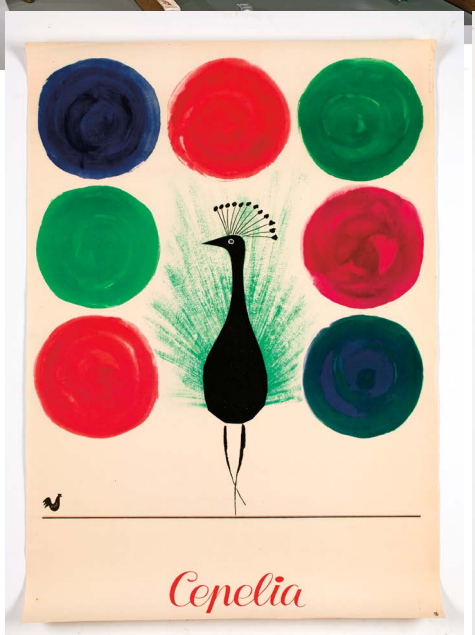
Jedno z potężniejszych cepeliowskich odnóży stanowiły tzw. pamiątki. Wbrew pozorom sprawa była bardzo poważna, a rozliczne uchwały, regulaminy i wytyczne stanowiły o ich niezbędnym walorze estetycznym, wychowawczym, a nawet patriotycznym. Działały zatem specjalne komisje oceniające proponowane do produkcji wzory. Obliczono, że każdego roku takich projektów przedstawiano ok. 12 tys., a kwalifikowano do realizacji dwie trzecie spośród nich. Nic dziwnego, bo od Bałtyku po Tatry każde miasto, każdy region, a nawet co poważniejszy zabytek miały ambicję posiadania zestawu własnych pamiątek. Te cepeliowskie z reguły były dobrej jakości, starannie wykonane, ale i droższe. Musiały więc ostro walczyć o uwagę turystów z produkcją rzemieślniczą, bardziej tandetną, ale i tańszą, która dla odmiany w oficjalnej nomenklaturze nosiła nazwę upominków. One nie wymagały zatwierdzenia przez komisję. Na wystawie krakowskiej zabawnie zestawiono ze sobą dwie gabloty. W jednej zgromadzono pamiątki artystycznie satysfakcjonujące, w drugiej – ocierające się o szmirę.

Dwie ostatnie odnogi Centrali miały charakter, rzec by można, niematerialny. Dla ludowej władzy to właśnie one nadawały sens większości cepeliowskich projektów. By wszystko szło, jak należy, powołano nawet specjalny Wydział Imprez i Propagandy, który miał się nimi zajmować. Chodzi o imprezy, czyli rozrywkę dla spracowanych mas polskich miast i miasteczek.

Zaczęło się w 1965 r., gdy wystawę cepeliowską w Pałacu Kultury i Nauki odwiedziło 50 tys. osób. Stąd zrodził się pomysł na regularne spotkania narodu z Cepelią. Nazwano je Cepeliadą, a pierwsza odbyła się w 1971 r. Szybko utrwalił się jej program, w którym zawsze musiały się znaleźć cztery elementy. Po pierwsze, stragany, na których sprzedawano cepeliowskie produkty z różnych regionów kraju (z czasem też regionalne produkty spożywcze, jak podpłomyki, kulebiaki czy sękacze). Po drugie, pokazy mody. Po trzecie, tzw. stanowiska demonstratorów, czyli zasłużonych artystów ludowych, którzy „na żywo" tkali, robili wycinanki, rzeźbili w lipowym drewnie itd. I w końcu estrada, na której odbywały się występy regionalnych zespołów pieśni

eprasa.pl f2420985f2







i tańca, działających, jakżeby inaczej, pod patronatem i opieką Cepelii. Szacuje się, że w szczytowym okresie było ich w kraju ponad 70 i skupiały 1,3 tys. osób! Pomysł świetnie się przyjął, w związku z czym Cepeliady trafiły z czasem także do 27 innych miast w Polsce, a w okrojonej formie za granicę, m.in. do Belgii, Holandii, Szwecji.

W cieniu owych festynów można było dostrzec aktywność ostatniej z macek: ideologii. To ona legła właściwie u podwalin Cepelii; wszak chodziło o wzmacnianie w socjalizmie pozycji wsi także poprzez utrwalanie i upowszechnianie jej kultury materialnej. Na wieś wędrowały elektryfikacja, oświata czy służba zdrowia, a do miast miała przenikać moda na ludowość pod różnymi postaciami. Z czasem doszły i inne wartości ideologiczne, jak choćby przeciwstawianie się „kosmopolitycznej tandecie" i kapitalistycznym wzorcom konsumpcji. A także „walka o gust", kształtowanie dobrego smaku i wysokiej jakości.

Socjalistyczne wytyczne partii mieszały się więc z całkiem słusznymi dydaktycznymi zapędami. Ciekawym projektem podszytym ideologią było „zszywanie" tzw. Ziem Odzyskanych z macierzą. Jak, sięgając do dorobku wsi, oswajać tereny jeszcze niedawno przesiąknięte całkowicie niemiecką kulturą. I wymyślono kilka eufemizmów, które pozwoliły tym terenom zgrabnie wpisać się w cepeliowski program. Otóż w ramach repolonizacji do handlu trafiły takie produkty, jak mazurskie dywany, gdańskie meble czy opolska ceramika. Wszystkie je można zresztą podziwiać na wystawie.

Cepelia rozwijała się i potężniała, praktycznie bez przeszkód, przez kolejne cztery dekady. Dopiero po 1989 r. tzw. naturalne środowisko zdecydowanie przestało służyć naszemu głowonogowi i sprawiło obumieranie jego kolejnych macek. Leszek Balcerowicz bezkompromisowo tępił socjalistyczne molochy przemysłowe i handlowe. Centralizacja posypała się jak domek z kart. A coraz większa podaż dóbr zarówno z Zachodu, jak i z Dalekiego Wschodu sprawiła, że oferta Cepelii przestała już mieć walory owej podtrzymywanej tyle dziesięcioleci jakości, niezwykłości, unikatowości.

Laleczki w ludowych strojach pożegnały się z małymi spółdzielniami pracy i zaczęły masowo napływać z Chin czy Wietnamu. Zresztą ludzie zachłyśnięci nowym wiatrem zmian oczekiwali już czegoś innego, czego symbolem stała się choćby IKEA. Centrala Przemysłu Artystyczno-Ludowego, będąca reliktem minionej epoki, przekształciła się w nowoczesną Fundację. Jej ostatnim żywotnym ruchem w mętnych wodach gospodarki rynkowej stał się ogłoszony w 2009 r. konkurs „Pamiątka z Polski". Wygrał pendrive zdobiony w ludowe wzory. I oto znak czasów. Jego producentem okazała się firma niemiecka, a elektronika pochodziła z Chin. A gdy w pewnym momencie powróciła moda na tzw. etnodizajn, Cepelia była już zbyt słaba nie tylko, by rozdawać w niej karty, ale by choćby cokolwiek ugrać.

Krakowska ekspozycja to jednak sentymentalna podróż do czasów świetności. Kuratorzy tej niezwykle starannie przygotowanej i rozległej (600 eksponatów!) wystawy, Piotr Korduba i Anna Wiszniewska, najwyraźniej ulegli splendorowi miejsca i skoncentrowali się na artystycznych zasługach Cepelii. Dlatego mniej tu wątków i aspektów politycznych, społecznych czy obyczajowych (na szczęście sporo ich w katalogu), za to królują po prostu przedmioty: piękne, niezwykłe, oryginalne, czasem zaskakujące, dowodzące kunsztu ich wykonawców i tej nieprzepartej tęsknoty, by w czasach socjalistycznej szarzyzny i bylejakości tworzyć coś, co napawało dumą i przez kilka dekad było nieocenionym rezerwuarem wszelakich prezentów podczas wyjazdów za granicę lub dla odwiedzających Polskę gości.

PIOTR SARZYŃSKI

Obywatelka Cepelia, Muzeum Narodowe w Krakowie, wystawa czynna do 21 lutego 2027 r.

© ANNA OLCHAWSKA, INSTYTUT SZTUKI POLSKIEJ AKADEMII NAUK W WARSZAWIE (2)

eprasa.pl f2420985f2

Aż tu nagle!

Lubię się pokłócić w słusznej sprawie. Ostatnio ktoś mnie beształ, że przez to coś stracimy jako środowisko. Nic nie stracimy, bo nic nie mamy – mówi **Zygmunt Miłoszewski**, pisarz, wydawca i działacz społeczny.



Zygmunt Miłoszewski (ur. w 1976 r.) – powieściopisarz, scenarzysta, działacz społeczny. Autor kryminałów („Ziarno prawdy", „Gniew", „Uwikłanie"), powieści przygodowych („Bezcenny", „Kwestia ceny") i literatury dla młodzieży. Laureat Paszportu POLITYKI 2014. Członek założyciel branżowego stowarzyszenia pisarskiego Unia Literacka, twórca Spółki Autorskiej Heca.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: **– Ile zarabia w Polsce autor popularnych kryminałów?**

ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI: – Ja chwilowo nic nie zarabiam, bo inwestuję pieniądze i pracę w chyba pierwsze wydawnictwo *fair trade*, czyli w Spółkę Autorską Heca. W tłustych latach, gdy ukazywały się nowe książki, a kolejne premiery ciągnęły za sobą moje starsze tytuły, to były setki tysięcy złotych rocznie – naprawdę wyjątkowy sukces w świecie literackim. Normalnie pisarstwo to zawód wielkiej niepewności i wielkiej nieprzewidywalności. Jeśli jest dla kogoś głównym źródłem utrzymania, to najczęściej oznacza biedę. Z badań prof. Doroty Ilczuk „Policzone i policzeni 2024!" wynika, że mediana zarobków pisarzy i pisarek nie przekracza 3 tys. zł, a blisko trzy czwarte z nas nie osiąga średniej krajowej. Prawie co trzeci (28,5 proc.) żyje na granicy lub poniżej granicy ubóstwa. Z kolei Polska Sieć Ekonomii w głośnym raporcie „Jeszcze książka nie zginęła?" szacuje, że za jeden sprzedany egzemplarz książki autor otrzymuje ok. 2,80 zł. Jeśli sprzeda się 10 tys., co w Polsce oznacza prawdziwy bestseller, to rocznie do autora trafia ok. 28 tys. zł. Podzielmy to sobie przez 12, to nieco powyżej 2 tys. zł miesięcznie, oczywiście brutto.

Na badania dr Ilczuk powoływało się Ministerstwo Kultury, gdy pracowało nad ustawą o zabezpieczeniu socjalnym dla artystów. Pana zdaniem prezydent ją podpisze?

Myślę, że tak. To konieczność, by wreszcie system ubezpieczeń społecznych w 20. gospodarce świata zauważył pracę osób wykonujących zawody artystyczne. Byłem niedawno na wernisażu wystawy Zbigniewa Libery, jednego z naszych najważniejszych artystów, represjonowanego w czasie stanu wojennego, potem odznaczonego i fetowanego. Ale ten wspaniały twórca i wielki intelektualista nie ma prawa do emerytury. Więc wielkie brawa dla ministry Marty Cienkowskiej i dla dyr. Macieja Dydy, który pilotował projekt tej ustawy jako szef Departamentu Prawa Autorskiego i Filmu. To dzięki ich uporowi ta ustawa trafiła na ścieżkę parlamentarną. Brawa także dla prof. Piotra Glińskiego, który zapoczątkował ten proces wiele lat temu. To była w ogóle współpraca ponad podziałami i być może ustawa dawno by działała, gdyby nie pomysł, że sami sfinansujemy dopłaty do ubezpieczeń z opłat od czystych nośników. Tylko to by oznaczało objęcie opłatami urządzeń

© PIOTR MANASTERSKI/PORTFOTO

eprasa.pl f2420985f2

elektronicznych, dlatego branża cyfrowa storpedowała tamten projekt. Tym razem rozwiązanie jest finansowane bezpośrednio z budżetu, mniejsze jest więc ryzyko, że ambasada USA zadzwoni do dużego pałacu i powie: „My nie lubić ta ustawa". Może się uda.

Lista tzw. czystych nośników została rozszerzona w tym roku: artystom należy się rekompensata za korzystanie z ich dzieł np. na smartfonach. Kolejnym, choć niewielkim źródłem dochodu są wypożyczenia biblioteczne. Kasę dzieli Stowarzyszenie Autorów i Wydawców Copyright Polska. Nie wszystkich to cieszy.

Uważam, że polska sieć bibliotek to wspaniały fenomen na skalę światową, nasze dobro narodowe. Ale biznesowo możliwość nieodpłatnego udostępniania nowości bez żadnych okresów przejściowych uderza w twórców i w wydawców. Żadne inne dzieło kultury nie jest dostępne w dniu premiery tak szeroko i za darmo. Symboliczną rekompensatę biblioteczną udało się wprowadzić w 2015 r. w wielkich bólach, bo zmuszała nas do tego dyrektywa UE. Na początku miała to być złotówka od obywatela – sensownie, samych bibliotek publicznych jest blisko 8 tys., a wypożyczeń w nich ok. 100 mln rocznie. Kwota, którą przeznaczono na ten program, nie przekracza 5 mln zł. To okruszek w skali wydatków na kulturę. Dzięki naciskom twórców, w tym Unii Literackiej, oraz działaniom dyrektora Macieja Dydy ta kwota zostanie teraz podwojona, właśnie zgodził się na to Senat. Ciągle mało, ale cieszy.

Te pieniądze pomiędzy uprawnionych dzieli SAiW Copyright Polska, taki nasz ZAiKS, który działa w mojej ocenie bardzo nieudolnie. Nie bierze pod uwagę np. bibliotek szkolnych, uniwersyteckich, pedagogicznych, więziennych. To oznacza, że np. autorzy lektur albo twórcy literatury dziecięcej są często wykluczeni z tego systemu. Do niedawna z badań były też wyłączone całe regiony, choćby województwo małopolskie czy pomorskie. Gdyby więc np. Robert Makłowicz wydał książkę „Smaki Krakowa" i był tam królem bibliotek, to nie dostałby za to ani grosza. Po naszych krzykach i płaczach udało się to w końcu zmienić. To efekt nacisku samych zdeterminowanych pisarzy.

Sprawa czystych nośników jest jeszcze bardziej złożona. Wypożyczenia z bibliotek liczy się łatwiej niż np. liczbę odsłuchanych audiobooków albo rozdystrybuowanych ebooków. Dobrze to pokazała afera Legimi, gdy autorzy i wydawcy namierzali błędy w raportowaniu.

Kultura jest dość specyficznym dobrem. Jeśli ma pani rower, to na tym rowerze może jeździć tylko jedna osoba, nawet jeśli go pani komuś pożyczy. Kulturę łatwo kopiować i łatwiej jej używać zbiorowo, można np. usiąść w 20 osób przed telewizorem. Po to wymyślono tzw. dozwolony użytek i system opłat nakładany na nośniki i urządzenia służące do udostępniania kultury. Tyle że od dawna nie oglądamy już DVD i nie przegrywamy muzyki z kaset magnetofonowych. Jako twórcy od lat zabiegaliśmy o to, żeby lista czystych nośników obejmowała elektronikę, a także streaming, ale wspomniane już lobby skutecznie torpedowało te pomysły. W końcu udało się doprowadzić do przełomu, za to też chwała ministrze Cienkowskiej i urzędnikom kierowanego przez nią resortu. Kiedyś te wszystkie nowe technologie nie dotyczyły literatury, no bo jak skopiować książkę? Można ją było najwyżej skserować. I za to też pobierano opłatę reprograficzną. Ale nastał boom na ebooki i audiobooki, zwłaszcza od czasów pandemii. Dziś wyraźnie widać, że książki są udostępniane elektronicznie równie często co płyty i filmy. Niestety, także poza legalnym obiegiem.

Zadanie dzielenia tych pieniędzy resort kultury też powierzył stowarzyszeniu Copyright Polska. I wybuchła awantura. W czym problem?

Nie lubimy tej organizacji, boimy się jej. Nie umiała ogarnąć bibliotek, to czy teraz nagle ogarnie czyste nośniki? Ile pieniędzy będzie do podziału? A jeśli jakiś gigant nie zapłaci? Jaki algorytm policzy te odsłuchy i pobrania ebooków? Kto zbada dżunglowy rynek księgarski? To jest wielka księgowo-prawnicza robota. Być może Copyright Polska ma to wszystko zorganizowane, ale system ma ruszyć za niecały miesiąc, bo 13 listopada, tymczasem nie ogłoszono nawet regulaminu, twórcy nadal nie wiedzą, na jakich zasadach będą inkasowane i dzielone opłaty za korzystanie z czystych nośników.

Często mówi pan „my". Kogo ma pan na myśli?

Środowisko i reprezentującą interesy pisarek i pisarzy Unię Literacką, najbardziej aktywne ciało działające na rzecz naszej grupy zawodowej.

Unia Literacka zwraca uwagę, że w zarządzie Copyright Polska są sami wydawcy.

I w tym problem. Interesy obu tych grup zawodowych – autorów i wydawców – czasem są zbieżne, ale niestety najczęściej są jaskrawo sprzeczne, a relacje między nimi wrogie. W filmie i muzyce wpływy z czystych nośników są dzielone tak, że większość dostają twórcy. W literaturze to jest 50 proc. dla autora i 50 proc. dla wydawcy. 50 proc. dla przymierającej głodem grupy zawodowej z medianą zarobków 2,5 tys. zł i 50 proc. dla przedsiębiorców. Znów najwięcej dostaną najwięksi, a tam przecież biedy nie ma. Wkład intelektualny i czasowy w stworzenie książki w większości należy do autora, prawda? Dlaczego zatem większość pieniędzy ma trafić do wydawcy? Autorzy powinni otrzymywać 75 proc. przyznanej kwoty – tymczasem stowarzyszenie rządzone przez wydawców nie deklaruje poparcia na rzecz zmiany tych proporcji. Skoro we władzach tej organizacji brakuje twórców literatury, to nic dziwnego, że nie reprezentuje ona skutecznie interesów twórców. Jako Unia Literacka byliśmy za tym, żeby resort rozpisał konkurs na operatora tych pieniędzy i przede wszystkim rozdzielił autorów i wydawców. Poparły nas zresztą inne organizacje. Niech Copyright Polska dba o wydawców, a nami zajmie się np. ZAiKS, który u zarania był związkiem pisarzy. Chyba że CP wykona jakiś gest dobrej woli i pokaże, że rzeczywiście działa także na rzecz autorów, jak jego nazwa wskazuje. Tylko konkretnie. Wybierzmy wspólnie nowy zarząd, lobbujmy za zmianami korzystnymi także dla autorów.

Postronny czytelnik mało rozumie z tej awantury.

Jasne. To trudne wewnątrzbranżowe sprawy, ale cel jest jasny, dlatego tak prosimy o przychylność. To wszystko, co robimy, robimy ostatecznie w interesie naszych czytelników. Jeśli my, autorzy, będziemy mieli lepiej zorganizowane pole gry, to będziemy dla was pisać więcej lepszych, fajnych książek. Jeśli będziemy godnie zarabiać, zyskamy czas, nie będziemy musieli dorabiać, łapać fuch, nie odejdziemy z zawodu.

Ktoś powie, że sztuka sama się obroni i na siebie zarobi. Tak było przy okazji ustawy o zabezpieczeniu socjalnym. Skolim, popularny muzyk, grzmiał w social mediach, że nie warto się składać na darmozjadów. ▶

eprasa.pl f2420985f2

▶ Kultura, tak samo jak kapitał, ma narodowość. Jeśli nie będziemy wspierać naszej sztuki, a inni w świecie będą to robić, to zostaniemy w tyle i przegramy na własnym boisku. Zresztą państwo to widzi i wspiera słabszych w trosce o narodową tkankę w różnych branżach. Jestem patriotą, wierzę w polski biznes, polskie produkty, polską sztukę. Powinniśmy o to dbać. Inwestycja w Polskę akurat Polsce się opłaca. Może gdyby ta pomoc była większa, mielibyśmy jeszcze jednego Skolima, jeszcze jedną Sanah i jeszcze jednego Taco Hemingwaya, którzy zapełnialiby stadiony? Ze statystyk wynika, że jednak fajnie słuchać polskiej muzyki i oglądać polskie filmy. Już ponad milion osób obejrzało kinową „Lalkę", miliony spierają się o nią w sieci. To może ta kultura nie jest jednak taka zbędna?

A panu się „Lalki" podobały?

Jestem psychofanem tej powieści, serial obejrzałem w jeden wieczór, do kina pobiegłem w dniu premiery. Obie opowieści bardzo fajnie się uzupełniają. Super jest decyzja Pawła Maślony, żeby nie kręcić po literach. Jeśli chce się czytać Prusa, to nikt przecież nie broni. Nie da się w 2026 r. opowiedzieć historii, w której główna bohaterka kobieca jest pustą zepsutą lalą. Trudno też przenieść tamtą krytykę społeczną na dzisiejsze czasy, skoro XX w. zlikwidował podziały klasowe, których „Lalka" jest krytyką. Paweł Maślona, Paweł Demirski i Jagoda Dutkiewicz wpadli na wspaniały pomysł: pokazali bohaterów skrępowanych przez gorset społeczny, ale potem go zdjęli, a właściwie zdarli, i sprawdzili, co z tego wyniknie. Świetne ćwiczenie. I aktualne, zawsze jest jakiś społeczny gorset do zrzucenia, jakieś sznurki do przecięcia.

Założył pan Wydawnictwo Heca z książkami topowych polskich autorów, których nigdzie już nie można dostać. Czuje się pan teraz bardziej pisarzem czy wydawcą?

Zdecydowanie wydawcą, jednak wiedziałem, że na początku tak będzie. Ale mam postanowienie noworoczne. W styczniu rzucam wszystko i piszę powieść. Umiem grać na różnych instrumentach, umiem być i autorem, i wydawcą. Na razie za Hecą cztery miesiące działalności, mamy lepsze i gorsze momenty. Za chwilę pierwsza premiera: moich opowiadań zebranych z ostatnich 20 lat, potem nowa książka z felietonami Jacka Dehnela, wprowadzamy też ebooki. To wspaniała przygoda, naprawdę. Celowo robię to wolno, nie jesteśmy wszędzie naraz, tylko budujemy wierną społeczność. To czytelnicy są naszym kapitałem. Oczywiście mogliśmy wejść od razu na Allegro i Bonito i przecenić na dzień dobry wszystkie książki. Wolumen sprzedaży by wzrósł. Najadłbym się, ale byłoby to niezdrowe jedzenie.

Niektórzy koledzy po fachu twierdzą, że podpala pan rynek książki, bo rezygnuje z klauzuli poufności. Umowami z Hecą będzie się można pochwalić. Konkurenci się zagotowali.

Burza w szklance wody. Heca nie powstała przeciw komuś, to bezpieczne miejsce dla zaprzyjaźnionych autorów, którzy chcą działać na własnych zasadach. Nie wiem, skąd ta kontrowersja, nowe przedsiębiorstwo raczej służy konkurencji, a nie psuje rynek, prawda? Ale w sumie mnie cieszy, bo dzięki temu znowu się mówi o sytuacji autorek i autorów. Może ktoś usłyszy i wynegocjuje u swojego wydawcy lepsze warunki. A ja się lubię pokłócić w słusznej sprawie, ostatnio ktoś mnie beształ, że tak nie można, bo przez to coś stracimy jako środowisko. Odpowiadam: nic nie stracimy, ponieważ nic nie mamy.

Prawdę mówiąc, dziś czuję się jak na początku kariery literackiej 20 lat temu. Było pioniersko, było ciężko, ale wiedziałem, że ten wysiłek ma sens. Dużo jest w rozmowach o rynku książki jęczenia, że bieda, że niesprawiedliwość, ratujcie nas. Ja nie po to założyłem Hecę, żeby jęczeć. Założyłem ją po to, żeby pracować tak, jak chcę, i działać w zgodzie z tym, w co najmocniej wierzę. Uczciwość, przejrzystość, szacunek i radość. Ma być fun, rock and roll i dużo fajnych książek. Naprawdę kocham polską kulturę, uważam, że jest superjakościowa, cieszy mnie dyskusja wokół „Lalki", Nike dla Szczepana Twardocha – lubię, jak nagrody dostają powieści – tłumy w teatrach i dobry poziom filmów na festiwalu w Gdyni. A Sejm, przy ogromnym wysiłku twórców, przepycha kolejne projekty, które wspierają polską kulturę. Fajny moment, długo na to czekałem.

Największy grzech polskiego rynku książki?

Czyli znowu jęczenie ma być. Ucieknę i powiem, co zrobić, żeby go nieco uzdrowić. Nic by nas to nie kosztowało jako podatników, nawet Skolim nie byłby przeciw. Po pierwsze, ujawnijmy dane. Niech będzie wiedzą publiczną, ile sprzedaje się książek, ile ebooków, co kupują biblioteki, co wypożyczają ludzie itd. Czytelnikom nie dałoby się już wciskać ciemnoty, że coś jest bestsellerem, a państwo zyskałoby potężne narzędzie do badania rynku czytelnictwa w Polsce. Autora nie dałoby się tak łatwo oszukać. Same plusy. Po drugie, wydawcy, autorzy i ludzie z resortu kultury powinni usiąść i uczynić z Konwencji krakowskiej uregulowaną, obowiązującą umowę branżową. Konwencja krakowska to kodeks dobrych praktyk wydawniczych, sprowadzających się do tego, że autorzy i wydawcy wzajemnie się szanują.

A jeśli pyta pani o rozwiązanie moich marzeń, to chciałbym, żeby Instytut Książki został przekształcony w taki literacki PISF, który na różne sposoby wspiera polską literaturę. Obawiam się, że prześpimy tę szansę. Dyrektor Instytutu Książki Grzegorz Jankowicz, człowiek niezwykle kompetentny i bezcenny dla sektora kultury, po ewentualnej zmianie władzy pewnie straci stanowisko. Niestety. Ale poza tym PiS-u się nie boję. Prof. Gliński głosował za ustawą o zabezpieczeniu socjalnym dla artystów, posłanka Lichocka również. Zresztą trzeba powiedzieć uczciwie, że prawica rozumie znaczenie kultury. Ma jej dziwną, konserwatywną wizję, ale jej nie lekceważy. Bardziej się obawiam opcji konfederacko-banksterskiej, ale nie ma co wróżyć z fusów.

Mnie najbardziej przygnębia zapaść księgarń. Na niedawnym spotkaniu autorów Hecy w warszawskiej kameralnej księgarni była garstka osób, a przecież Grażyna Plebanek, Jacek Dehnel, Jakub Szamałek i pan to gwiazdy literatury.

Haha, ale to nie zapaść księgarń! Najlepsza Księgarnia ma swoją wierną publiczność, my też. Wystarczy spojrzeć na tłumy na klubie książki, który z Jackiem prowadzimy w Gdyni. Po prostu czasami tak bywa, że publiczność nie dociera, to się nie przekłada na nasze wyniki. A my się tak samo staramy dobrze wypaść dla jednej osoby i dla tysiąca. Czy mnie zabolało w serduszku? Jasne. Ale studentom zawsze powtarzam, że najnudniejsza fabuła to taka, która jest płaska, że sukces smakuje wtedy, jeśli wcześniej musieliśmy walczyć z przeciwnościami losu. Bo co jest najważniejsze w fikcji? Fraza: „Aż tu nagle...". To „aż tu nagle" właśnie się nam w literaturze dzieje, a właściwie sami je sobie stworzyliśmy. Sami piszemy swoją historię.

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

eprasa.pl f2420985f2

Uratowała mnie nuda

Udało mi się skutecznie przeprowadzić sabotaż mojej kariery – mówi Tymoteusz „Szczyl” Rożynek, jeden z najbardziej cenionych raperów młodego pokolenia.



Tymoteusz „Szczyl” Rożynek (ur. w 2000 r.) – raper, tekściarz i aktor. Zadebiutował albumem „Polska Floryda” (2021 r.), który osiągnął status platynowej płyty. Za kolejny materiał, EP-kę „8171” (2022 r.) z producentem Tomaszem „Magierą” Janiszewskim, otrzymał Fryderyka w kategorii Album Roku Hip-Hop; był też nominowany do Paszportu POLITYKI. W trakcie przerwy wydawniczej zagrał w filmie „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” w reż. Emi Buchwald.

KRZYSZTOF NOWAK: **– Co powiesz na to, byśmy najpierw cofnęli się do połowy 2023 r.?**

TYMOTEUSZ „SZCZYL” ROŻYNEK: – Możemy, ale wytłumacz, dlaczego wybrałeś ten moment.

Wówczas jesteś dwa lata po debiutanckim, platynowym albumie „Polska Floryda” i parę miesięcy po nagrodzonej Fryderykiem EP-ce „8171” z kultowym producentem Magierą. I nagle, będąc na szczycie, milkniesz.

Nie planowałem ciszy. Dopadła mnie.

Nie byłeś gotowy na sukces i wynikającą z niego presję?

Gdy byłem w dołku, zastanawiałem się, czemu moja muzyka poszła tak szeroko. Nigdy nie czułem jednak presji, że po zdobyciu uznania muszę napisać hit z łatwym do zapamiętania refrenem i prostymi zwrotkami. Pierwszy raz przejechałem Polskę, odwiedzając miejsca, w których wcześniej nie byłem. Poznałem wyjątkowych muzyków, przebywałem w towarzystwie ludzi z iskrą. To były piękne chwile. Nawet gdy grałem któryś z nielicznych koncertów, w trakcie przerwy myślałem sobie: chętnie zagrałbym ich więcej. Tylko czułem, że muszę wyjść z czymś nowym, a nie ciągle grać stare utwory. A nowych nie miałem. Nie wiem, skąd się wzięła ta gula w gardle. Podejrzewam, że znalazłem się w złym miejscu we własnej głowie.

To była depresja?

Nie będę tego nazywać, bo nie wiem. Na pewno wpadłem w dziwny wir, przez który zastanawiałem się nad tym, kim jestem, czy kogokolwiek obchodzi to, co mam do powiedzenia. Te wszystkie chwile, które spisałem na pierwszych płytach, były wciąż dla mnie wartościowe i bezinteresowne, ale gdy życie poszło dalej i pojawiły się nowe problemy po zamknięciu starych, zrozumiałem, że nie umiem sobie jeszcze z nimi dobrze radzić.

Jak to wyglądało na co dzień?

To może zabrzmieć różnie...

Spróbujmy.

Weźmy taki przykład: pierwszy raz w życiu miałem pieniądze. Mogłem się wyrwać na chwilę z Polski – jako człowiek, którego życie nie nauczyło wakacji – pójść do knajpy coś zjeść, zmęczony pojechać taksówką zamiast nocnym autobusem czy piechotą. Zacząłem życie w bańce daleko od tego, co było dla mnie codziennością. Nie rozumiałem do końca miejsca, w którym się znalazłem. Moje dawne życie przestało istnieć. Nigdy nie planowałem robić muzyki, by odnosić sukcesy – po prostu robienie jej sprawiało mi radość. Nagle muzyka zmieniła się w mój, nazwijmy to, „zawód”. Koncerty stały się czymś, co powodowało stres, a moje słowa były mostem do mnie dla ludzi, których nie znałem. Każde dobre zdanie na mój temat bagatelizowałem i równoważyłem albo podwajałem czymś niedobrym. Niekomfortowo mi było z tym, że nagle jestem fajnym gościem po latach bycia, kolokwialnie mówiąc, nikim. Zacząłem sabotować swoją karierę z powodu jakiegoś chorego poczucia winy wobec mojej rodziny, ludzi, którzy naprawdę ciężko pracują, i tych, którym los nie sprzyjał.

A jednak przestałeś to robić.

I to nawet jeszcze zanim stworzyłem nowy album. Planowałem wydać coś innego. ▶

© SONY MUSIC

eprasa.pl f2420985f2

▶ Co?

Zacznę od początku. Tradycyjnie zakochałem się i czułem, że jestem w dobrym momentum. Odblokowała mi się głowa, chodziłem uśmiechnięty, bez tego bagażu łatwiej było mi wrócić do pisania. Niestety płyta poszła do kosza, bo zagraniczni producenci, z którymi przy niej współpracowałem, zażądali bardzo dużych sum za wykorzystanie ich instrumentali. Nie byłem w stanie tego udźwignąć finansowo. Próbowaliśmy zreprodukować ten materiał z moim kolegą Tobiaszem, czyli „Frank Leenem", ale szło to opornie, druga wersja nie miała energii oryginału. Moja wena znowu poszła w piach. Pamiętam, że usiadłem na kanapie u wspomnianego i powiedziałem: chyba już nie kocham muzyki.

Poczułeś ulgę?

Przeciwnie. Rozpłakałem się i nie mogłem się uspokoić, jakbym był na granicy ataku paniki. Nie chcę, żeby to dziwnie zabrzmiało, ale kiedy np. rozstawałem się z partnerką, bo coś nas poróżniło lub coś zwyczajnie nie działało, to oczywiście czułem ból, ale przychodziła również swego rodzaju ulga. A jak chciałem się rozstać z muzyką, to mnie to połamało. Nie umiałem się jej pozbyć.

Dlatego znowu zacząłeś tworzyć.

Wtedy jeszcze nie. Klasycznie i stereotypowo wyjechałem w świat na prawie pół roku, by odzyskać siebie. Jednak jeśli nie możesz odnaleźć siebie tam, gdzie jesteś, to złudne jest szukanie siebie na drugim końcu globu. Prawda była taka, że niczego nie zgubiłem, nie straciłem, tylko odebrałem sobie dostęp. To wszystko ciągle było we mnie – odbierałem sobie prawo do przyjemności, lekkości, krytykowałem to, jak i o czym myślę. Rozmyło się to w momencie, w którym puściłem wszystko. Pojąłem, że nie muszę mieć kontroli nad czymś, czego kontrolować się nie da. Niech się życie pisze samo, a ja będę tylko delikatnie zmieniać kierunek. Tak się znalazłem w miejscu, w którym nie muszę nagrywać kolejnych płyt – ale mogę.

Jak się zmotywować do nagrywania utworów, gdy nie stoi za tym działaniem jakiś cel?

To akurat proste. Przynajmniej teraz mogę tak powiedzieć. Mój przyjaciel Olaf „ICE BOBO" Zażembłowski wynajął ze mną przestrzeń, w której chcieliśmy stworzyć pracownię – w zasadzie to on mi to zaproponował. Nigdy nie miałem swojego miejsca do tworzenia, a to był odpowiedni moment, żeby jakkolwiek zacząć o tym myśleć. Olafowi zawdzięczam w ogromnej mierze to, że ta płyta powstała. We wspomnianej pracowni – czy też studiu – przesiadywałem dniami i nocami. Oglądałem filmy, myślałem, słuchałem muzyki. W końcu z nudy zacząłem odpalać Abletona (program do edycji muzyki – przyp. red.) i sobie dłubać. A to dłubanie przerodziło się w tworzenie bez oczekiwań, hamulców, niewidzialnej ściany w postaci „wielkiego powrotu". Uratowała mnie nuda.

Tylko ona?

Udało mi się również skutecznie przeprowadzić sabotaż mojej kariery, więc i finansów. Wyczyszczenie konta też było pewnego rodzaju wolnością: zmalały potrzeby, głowa ucichła.

Byłeś i jesteś jednak zaangażowany w awangardowy festiwal muzyczny 3ERA. Czy to nie dochodowe zajęcie?

Od początku robienie go było zajawką, ale zawsze uczciwie płaciliśmy i płacimy artystom – tak postrzegam ludzkie, choć niekoniecznie obowiązujące, zasady w branży koncertowej. Wychodzimy w tym przedsięwzięciu zazwyczaj na zero, żeby móc je robić w takiej formule, czyli przystępnej cenowo dla młodych słuchaczy.

Zastanawiałeś się nad przebranżowieniem?

Miałem taki pomysł, ale go nie zrealizowałem. Nie było jednak tak, że ktoś musiał mnie utrzymywać – czasem coś mi kapało z twórczości, a tylko ode mnie zależało, czy będę mądrze dysponować czymś na kształt nieregularnej, nieprzewidywalnej pod względem wysokości pensji. Miałem ogromny zaszczyt, szczęście i rzadko spotykaną możliwość żyć z jednej dobrej płyty przez około pięć lat. Ostatecznie zacząłem rozsądnie gospodarować i skupiłem się na tworzeniu albumu „Przedwczoraj, dziś, pojutrze". Zajęło mi to dobre półtora roku, choć najwięcej materiału powstało na przełomie zimy 2025 i wiosny 2026 r.

Z tym przebranżowieniem chodziło mi bardziej o to, że zostałeś aktorem. Zagrałeś w nagradzanym – także Paszportem POLITYKI – „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" Emi Buchwald.

Tego nie miałem w planach. Po prostu od lat przyjaźnię się z Bartkiem Deklewą, który jest dla mnie jak brat, a Emi zaproponowała nam casting. Przeczytaliśmy scenariusz tego pięknego, czułego filmu i uznaliśmy, że fajnie byłoby się w nim pojawić – tym bardziej że gdy byliśmy młodsi, jeszcze przed karierami, to rozmawialiśmy o przecięciu się w takiej sytuacji jako pamiątce na całe życie. Emi za to lubi angażować do produkcji ludzi, którzy mają ze sobą dobrą chemię. Nie jestem jednak tak dobrym aktorem jak muzykiem. Do tego sporo radości daje mi kontrola nad procesem twórczym, a jako aktor robiłem swoje, nie dodawałem cegiełki do montażu i całej reszty.

Wcześniej nie dostawałeś propozycji?

Dostawałem ich dużo, lecz często były kliszowe: raper, diler, neonazista. Ta ostatnia wynikała pewnie z moich licznych tatuaży. Emi pozwoliła mi zagrać normalną osobę, która sobie żyje i jest częścią rodziny. Gdybym miał jeszcze raz wystąpić w filmie, to chciałbym być normalną, nieprzerysowaną postacią, żadnym gościem z ciężkiego domu.

Wróćmy do muzyki. Co było najcięższe przy nowej płycie?

Zrealizowanie samej idei powrotu, czyli choćby ponowne odpalenie mediów społecznościowych. Czasem do nich zaglądałem, ale podczas tej przerwy nie były dla mnie ważne. Trudno było napisać pierwszy post na Instagramie, bo zupełnie nie wiedziałem, jak zakomunikować powrót. Pomyślałem: Boże, co ja robię? Czemu takie rzeczy trzeba robić? Zestresowało mnie to, mimo że istniało w branży, od kiedy pamiętam. Na szczęście okazało się, że usłyszałem same miłe, wręcz szokująco miłe, słowa o moim powrocie. Muszę jednak zaznaczyć, że nadal nie mam konta na TikToku i mieć nie zamierzam. Na Instagramie pojawia się sporo zapowiedzi moich utworów, ale są to poważne publikacje. Nie wyobrażam sobie siebie w roli człowieka, który staje przed kamerą telefonu i mówi: „Siema, jestem Szczyl, to jest moja nowa piosenka o tytule »XYZ«, a zaraz przejdziemy się po mieście i zapytamy ludzi, jak im siedzi ta nowość". To nie dla mnie.

Wracasz taki sam pod względem warsztatowym? A może da się przez taki czas zardzewieć w raperskim rzemiośle?

Zauważyłem, że rapuję wolniej niż kiedyś, jestem spokojniejszy i chętniej udziwniam nawijkę. Z czasem pojąłem, że siła, taka prawdziwa, to pozwolenie

eprasa.pl f2420985f2

sobie na delikatność, a nie szarpanie się z każdym o wszystko. Przede wszystkim jednak podejmuję świadome, smaczne decyzje, w których jest mniej miejsca na przypadek. A tak swoją drogą, nie wiem, czy mam wiele wspólnego z polskim rapem. Nie mówię tego na zasadzie, że jestem lepszy, tylko że nie idę w jego kierunku.

Najlepiej brzmisz wtedy, gdy uciekasz od bycia raperem w klasycznym rozumieniu tego słowa. Może minąłeś się z powołaniem i powinieneś zostać wokalistą?

Wszystko jeszcze może się wydarzyć... Ale na razie powiem tylko, że trudno mi siebie samego nazywać kimkolwiek. Dla ciebie może być to rap, lecz ja staram się nie myśleć szufladkami, tym bardziej że niektórych piosenek nie umiałbym do niczego przyporządkować. Chciałem stworzyć dobrą płytę i mi się to udało – jest muzykalna i osobista, ciekawa tekstowo i formalnie. Mam wrażenie, że robię po prostu muzykę, która ma punkty wspólne z rapem, ale głównie chodzi w niej o zabawę inspiracjami.

Tę zabawę słyszę szczególnie w utworze „Krok". To pastisz żyjących tylko kupowaniem kolejnych mieszkań artystów z modnego nurtu trap, prawda?

Nieprawda.

Jak to nie?

Po prostu chciałem się zmierzyć z inną stylistyką. Nigdy nie używałem takiej muzycznej formy przekazu, a że nadarzyła się okazja dzięki bitowi, to postanowiłem spróbować. Oczywiście ten kawałek jest chłodny i dość stereotypowo męski, ale w nikogo nim nie uderzam. Cieszę się za to, że go zinterpretowałeś po swojemu, nawet jeśli niezgodnie z moimi intencjami. To najfajniejsze w muzyce, że jest zawsze milion sposobów na zrozumienie wersów. A tak swoją drogą, wydaje mi się, że wszystkie teksty z „Przedwczoraj, dzisiaj, pojutrze" napisałem, nie podbierając wersów z archiwów. Czasem tylko posiłkowałem się stwierdzeniami, które wcześniej przyszły mi do głowy, a do tego wziąłem dwa numery, które powstały trochę wcześniej. Jednym z nich jest „Dla Ciebie", które napisałem bodajże dwa lata temu.

Muszę się przyznać, że jeszcze przed przesłuchaniem materiału bałem się, że wpadniesz w pułapkę bycia tzw. *matcha raperem*.

Przepraszam, kim? Widocznie przez przerwę w karierze nie zetknąłem się z tym pojęciem.

Chodzi o bycie człowiekiem tworzącym komfortową, wypełnioną dobrymi emocjami muzykę na ciepłych podkładach. Taką do siedzenia z herbatą pod kocem.

To coś złego? Chyba każdy lubi czasem posłuchać takich rzeczy.

A nie miałeś problemów z wywracaniem się na lewą stronę, z mówieniem o swoich emocjach?

Najpiękniejsze numery na tym świecie są pisane z potrzeby odsłonięcia się. Nie wstydzę się tego, o czym myślę i co czuję. Muszę być tylko szczery. Uważam, że nawet o smutnych rzeczach z własnego życia najlepiej się pisze, będąc szczęśliwym, bo ma się do nich odpowiedni dystans.

Dopytuję o to, bo odnoszę wrażenie, że mówisz głównie o sobie, a rezygnujesz z diagnoz dotyczących świata. To wynik blokady i związanej z nią niepewności?

Nie. Jestem częścią tego świata tak samo ważną jak wszyscy dookoła. Ta płyta wypłynęła ze mnie, nie ma tematów, których unikałem lub które redagowałem. Zawsze będę pisać to, co dany moment w moim życiu mi podpowiada. Widocznie to był moment, by odzyskać siebie.

Boisz się o jutro? Gdzieś je zgubiłeś w tytule płyty...

„Wczoraj" też zgubiłem, ale nie o to chodzi. Napisałem album i nie miałem w głowie tytułu, a chciałem taki, który będzie najbliżej jego treści. Usiadłem sobie z zeszytem i zacząłem pisać, co myślę o tym materiale. Nie pamiętam wszystkiego, co pojawiło się na kartkach, ale doszedłem do wniosku, że „wczoraj" to zbyt wcześnie na refleksję „dzisiaj", a „jutro" to zbyt wcześnie, żeby wprowadzić jakąś wiążącą zmianę. „Przedwczoraj" jest perspektywą, „pojutrze" – możliwością zmiany.

A o czym marzysz, gdy myślisz o „pojutrze"?

Najbardziej chciałbym spokoju, który lubię i praktykuję. Jestem fanem rytuałów, rutyn, dlatego dorzuciłbym tylko jeszcze większą wolność. Muszę wypić w spokoju kawę i pojechać gdzieś motocyklem. Muszę wychodzić z przyjaciółmi, słuchać dobrej muzyki na dobrym sprzęcie, oglądać piękne filmy i czytać piękne książki. Mały dom i serce w odpowiednim miejscu.

ROZMAWIAŁ KRZYSZTOF NOWAK

REKLAMA

PIĘĆ SMAKÓW®

KINO DUCHOWOŚCI

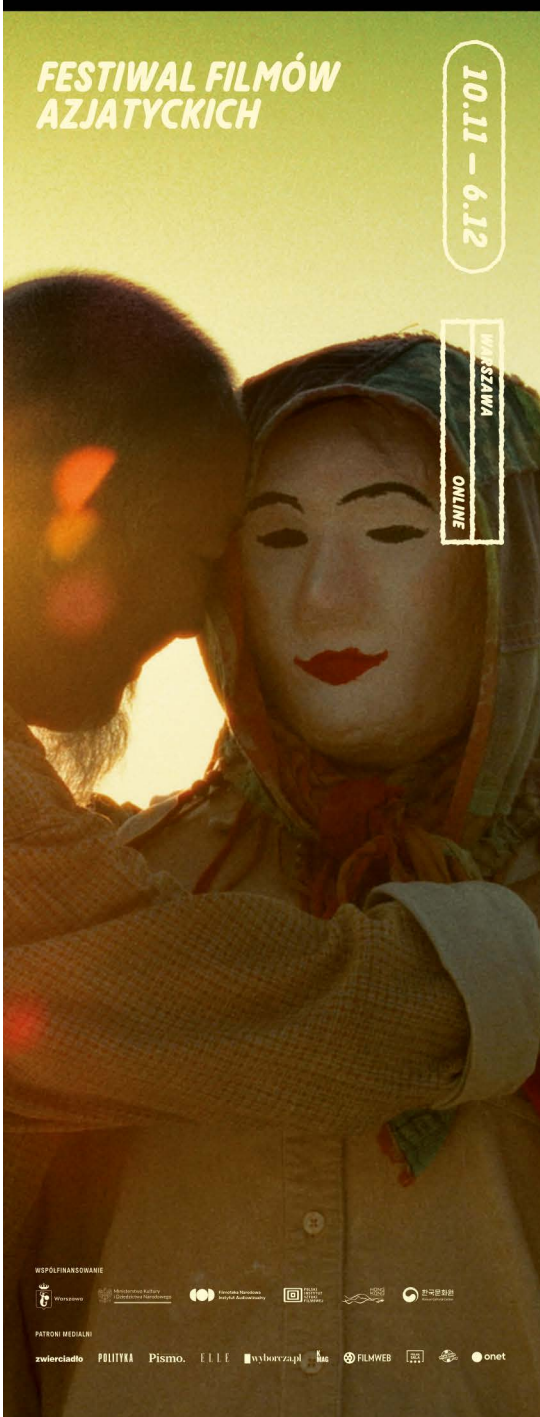
AZJATYCKI FEELGOOD Z JAPONII, KOREI, CHIN

FILMY SPOŁECZNIE WYCZULONE

WSPÓŁCZESNA PANORAMA WIETNAMU

20 映画祭

SPRAWDŹ PROGRAM:
PIECSMAKOW.PL



eprasa.pl f2420985f2

Opera drogi



Premiera w Operze Narodowej „Matek Chersonia”, nowego dzieła o wojnie w Ukrainie, to wydarzenie bardziej dyplomatyczne niż artystyczne, ale w tym aspekcie bardzo ważne.

DOROTA SZWARCMAN

Warszawski teatr z nowojorską Metropolitan Opera współpracuje od 13 lat. Wystawiono tam dotąd trzy spektakle w reżyserii Mariusza Trelińskiego (pokazane najpierw w Warszawie): „Jolantę” Piotra Czajkowskiego z „Zamkiem Sinobrodego” Béli Bartóka, „Tristana i Izoldę” Richarda Wagnera oraz „Moc przeznaczenia” Giuseppe Verdiego. Ale też właśnie w Warszawie, z inicjatywy żony dyrektora Met Petera Gelba, dyrygentki kanadyjskiej o korzeniach ukraińskich Keri-Lynn Wilson, powstała w 2022 r. Ukrainian Freedom Orchestra składająca się z wybitnych muzyków ukraińskich, na co dzień członków zespołów w kraju i za granicą. I to właśnie tu rozpoczyna latem próby do swego dorocznego tournée. Patronuje jej Ołena Zełenska, małżonka prezydenta Ukrainy.

Co roku jednym z punktów programu jest dzieło ukraińskie: na pierwszej trasie była to VII Symfonia Wałentyna Sylwestrowa, na drugiej II Koncert skrzypcowy Jewhena Stankowycza, na trzeciej „Bucza Lacrimosa” Wiktorii Polewej, a w tym roku – „Gloria” Bohdany Frolyak. Rok temu zaś pojawiła się suita z powstającej w tym czasie opery Maksyma Kołomyjca, która wraz z V Symfonią Beethovena ukazała się w lutym na płycie nakładem Deutsche Grammophon.

Już w 2022 r. bowiem rozmowy pani prezydentowej z dyrektorem Met i jego żoną zaowocowały kolejnym projektem: zamówieniem nowej opery u kompozytora ukraińskiego. W tym celu Państwowa Agencja Ukrainy ds. Sztuki i Edukacji Artystycznej wraz z Metropolitan Opera zorganizowały konkurs, na który zgłosiło się 74 twórców. Wygrał go kompozytor pochodzący z Kijowa, ale od wybuchu wojny mieszkający w Lipsku.

Utwór o wojnie

45-letni dziś Maksym Kołomyjec (na Zachodzie pisany Maxim Kolomiiets) jest muzykiem wszechstronnym: oboistą, kompozytorem, aranżerem. Studiował w Kijowie i Kolonii, był współzałożycielem barokowego Luna Ensemble oraz Ensemble Nostri Temporis wykonującego muzykę współczesną, jako instrumentalista grał m.in. w Kijowskiej Orkiestrze Symfonicznej i w zespole muzyki współczesnej Ucho. Do Lipska wyjechał zaproszony na występy i już tam pozostał. Komponował w różnych stylach: tzw. nowej złożoności (*new complexity*) czy postmodernistycznym (wykonany na Warszawskiej Jesieni jego utwór „...soft glass...” był dekonstrukcją muzyki Piotra Czajkowskiego). Uprawiał też nostalgiczną muzykę elektroniczną pod pseudonimem InnerLicht (m.in. albumy „Dragon Songs” i „Ingegard”, dostępne na Bandcampie).

Skomponował też dwie opery. „Espenbaum” z 2019 r. dla zespołu Ucho, do tekstów Paula Celana (urodzonego w Czerniowcach), mówi o człowieku, który stoi nad rzeką i uświadamia sobie, że nic w jego życiu nie poszło tak, jak zamierzał. „Noc” z 2020 r. do libretta Tarasa Frołowa to ciąg opowieści miłosnych z tłem historycznym, w tym wojennym (chodzi tu o drugą wojnę światową). Tytuł związany jest z powracającą znaną piosenką ukraińską „Nicz jaka misjaczna” (Jaka księżycowa noc), która jest właściwą bohaterką

eprasa.pl f2420985f2

utworu. Całość ma charakter eklektyczny, co jest zabiegiem celowym: Kołomyjec pragnął stworzyć dzieło zrozumiałe dla szerokiej publiczności, by „ludzie śpiewali arie na ulicy". Obie opery doczekały się jak dotąd tylko wykonań koncertowych; pierwsza zresztą tylko w paru fragmentach opracowanych na orkiestrę.

Oceniającym spodobała się „Noc" właśnie z powodu tej chęci zrozumiałości dla każdego. Uznali jednak, że lepiej stworzyć nowe dzieło związane z obecną sytuacją i skontaktowali kompozytora z amerykańskim librecistą George'em Brantem; to on, gdy usłyszał w wiadomościach o historii porwanych ukraińskich dzieci, zdecydował, że będzie to temat opery.

To jedno z najbardziej bolesnych wydarzeń tej wojny. Gdy Chersoń znalazł się pod rosyjską okupacją, władze zaproponowały tamtejszym rodzinom wysłanie dzieci na dwutygodniowy obóz na Krymie, z dala od działań wojennych. Wielu naiwnie uwierzyło w dobrą wolę okupanta, ale to była pułapka, która zatrzasnęła się, gdy Chersoń został wyzwolony, a Rosjanie odcięli Krym, burząc prowadzący doń Most Antonowski. Najeźdźca ukradł w ten sposób ponad 20 tys. dzieci. Większość zaginęła w Rosji, zmieniono im nazwiska, indoktrynowano na rzecz reżimu w obozach reedukacyjnych, dawano do adopcji rosyjskim rodzinom. Niektóre trafiły ponoć aż do Korei Północnej. Są świadectwa, że niektórzy z chłopców, którzy przez ten czas dorośli, zostali wysłani na front, by walczyć ze swymi rodakami. Odzyskać udało się około jednej dziesiątej dzieci.

Osławiona pełnomocniczka Putina ds. praw dziecka Marija Lwowa-Biełowa (pojawiająca się też w operze) oświadczyła, że dzieci zostaną oddane, gdy rodzice zgłoszą się po nie osobiście. Bohaterki opery: Kateryna, Dasza i Olha, są więc zmuszone przebyć prawie 5 tys. km przez Polskę, Białoruś i Rosję na Krym, by odzyskać córki i wnuczkę, upokarzane po drodze przez urzędników, pograniczników, wreszcie kierownictwo obozu. To postaci fikcyjne, ale wiele podobnych historii wydarzyło się naprawdę. George Brant poznał je dzięki organizacji Save Ukraine oraz producentce Saszy Andrusyk, która rozmawiała także z dziećmi i ich rodzinami.

Prawykonanie dzieła w wersji koncertowej odbyło się w Kijowie 4 czerwca, w obecności Ołeny Zełenskiej, premierki Julii Swyrydenko i ministry kultury Tetiany Bereżnej, ale przede wszystkim odzyskanych dzieci, ich rodzin oraz innych, które nie miały tyle szczęścia. Warszawska premiera jest pierwszą sceniczną.

Muzy nie milczą

Intensywne wciąż życie kulturalne wojennej Ukrainy całkowicie przeczy znanej sentencji Cycerona *inter arma silent Musae* – pisał o tym ostatnio na tych łamach Edwin Bendyk (POLITYKA 40). Jeszcze podczas drugiej wojny światowej słowa Cycerona wydawały się słuszne, a co najmniej prowokowały pytania: czy można uprawiać sztukę w czasie wojny? A jeśli tak, to czy możliwe jest oddanie grozy tego, co się dzieje? I czy jest to potrzebne? Czy muzyka w czasach wojny ma służyć opisowi rzeczywistości, czy raczej eskapizmowi?

W Polsce aktualne było raczej to drugie: koncerty w kawiarniach (także bardziej ambitne, jak w przypadku fortepianowego duetu Witolda Lutosławskiego ▶

© KRZYSZTOF BIELIŃSKI

REKLAMA



HONOROWY PATRONAT MARSZAŁKA WOJEWÓDZTWA KUJAWSKO-POMORSKIEGO PIOTRA CAŁBECKIEGO

WSPÓŁFINANSOWANIE: MINISTER KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO, MIASTO TORUŃ ORAZ WOJEWÓDZTWO KUJAWSKO-POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

MIASTO – GOSPODARZ MIASTO TORUŃ

PARTNERZY OFICJALNI ARRI FilmLight KGHM Polska Miedź LOTTO CHERY YAMA CINEMA CITY

ORGANIZACJA I PRODUKCJA Fundacja TUMULT Europejskie Centrum Filmowe CAMERIMAGE

Partnerem Głównym i Mecenasem wydarzenia jest Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego REGION – GOSPODARZ Kujawy Pomorze Urząd Marszałkowski Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu

WSPÓŁORGANIZATOR I GŁÓWNY PATRON MEDIALNY TVP TVP Kultura

PATRONI MEDIALNI Eska Super Express PAP Polska Agencja Prasowa Tygodnik Powszechny Bazaar Filmweb WP Rzeczpospolita Telemagazyn Nowości Kino Hollywood Reporter Deadline

DZIAŁANIA W RAMACH FESTIWALU SĄ WSPÓŁFINANSOWANE Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH Fundusze Europejskie dla Kujaw i Pomorza Rzeczpospolita Polska Dofinansowane przez Unię Europejską Samorząd Województwa Kujawsko-Pomorskiego

eprasa.pl f2420985f2





Wojenną grozę tworzy znakomita inscenizacja Barbary Wysockiej i scenografia Barbary Hanickiej

▶ i Andrzeja Panufnika), koncerty konspiracyjne (w tym z zakazaną przez okupanta muzyką Chopina), komponowanie do szuflady. Słuchając pogodnego, przypominającego Gershwina „Concertina" Władysława Szpilmana, trudno sobie wyobrazić, że było pisane w getcie warszawskim. Ale w okupowanej Warszawie powstała też „Uwertura tragiczna" Panufnika, choć założona jako abstrakcyjna, jednak z podświadomie – jak deklarował sam kompozytor – wprowadzonymi dźwiękami naśladującymi odgłos spadającej bomby, silnika samolotu czy serii z karabinu maszynowego.

Jednak pomysł, by stworzyć operę o wojnie, mógł powstać dopiero po niej i w oddaleniu od opisywanych wydarzeń. Tak było z „Pasażerką" Mieczysława Wajnberga, ukończoną w 1968 r. – ponad 20 lat po wojnie i daleko od Auschwitz, w Moskwie. Na prapremierę czekała zresztą aż do 2006 r. (wykonanie koncertowe w Moskwie, a pierwsze sceniczne – w 2010 r. w Bregencji).

Dziś jest inaczej: nie tylko pisarze i artyści teatru, ale także kompozytorzy opowiadają wojnę światu na bieżąco, i to zarówno mieszkający wciąż w Ukrainie, jak i emigranci. Na festiwalach Warszawska Jesień, Dni Muzyki Ukraińskiej czy Sacrum Profanum też słuchaliśmy tego przykładów, m.in. opery dla dzieci „Wojna, która zmieniła Rondo" Bohdany Frolyak (według książki Romany Romanyszyn i Andrija Lesiwa, powstałej po aneksji Krymu) w ramach Małej Warszawskiej Jesieni.

Inna kompozytorka, Katarina Gryvul, która studiowała w Krakowie, a dziś działa w austriackim Grazu, próbuje abstrakcyjnymi, w tym elektronicznymi dźwiękami oddać przeżywane przez dotkniętych wojną emocje: tytuł utworu „Skvyrk" oznacza szloch lub jęk, a innego, „Vydykh" – wydech. „Obecnie wszyscy żyjemy na wdechu. Mamy w środku tyle napięcia, a w płucach tyle powietrza, że za każdym razem, kiedy go na nowo nabieramy, czujemy coraz większy i większy ból. Wydech nie istnieje. Jeszcze nie – i nie będzie go, dopóki wojna się nie skończy. A nawet i wtedy nie będziemy mogli odetchnąć w pełni. Bo pamięć pozostanie w nas na zawsze" – komentowała w omówieniu dla Warszawskiej Jesieni.

Sprawa ponad wszystko

„Matki Chersonia" przemawiają językiem o wiele prostszym – kompozytor uznał, że to kobiety z Chersonia powinny usłyszeć tu głos. Jeszcze po wykonaniu suity z opery zachodni krytycy pisali, że przywodzi na myśl ścieżki dźwiękowe do filmów z ZSRR z XX w. To może trochę przesada, bo choć całość sprawia wrażenie tonalnej, nie jest taka do końca. Wbrew założeniom kompozytora trudno zapamiętać z niej jakieś melodie z wyjątkiem autentycznej ukraińskiej kołysanki „Kotyku sireńki" (Kotku szarutki; w operze kotek jest zmieniony na króliczka), choć sam koloryt wywodzi się z ukraińskiej muzyki ludowej.

Niewiele jest też w tej muzyce wojennej grozy; tę tworzy znakomita inscenizacja Barbary Wysockiej i scenografia Barbary Hanickiej. I akt rozgrywa się w rodzaju bunkra, który jest w miarę potrzeby schronem, szkolną klasą, szwalnią, dworcem kolejowym. W II akcie widzimy autobus z matkami z Chersonia na tle ruchomego krajobrazu na projekcji w tyle sceny i wydaje nam się, że to pojazd jedzie.

Muzyczna strona pod batutą Keri-Lynn Wilson, z udziałem wielkiej orkiestry i chórów, też została starannie przygotowana, a soliści dobrani znakomicie. Największy udział przypada trzem bohaterkom: Katerynie (Izabela Matuła), Daszy (Kamila Dutkowska) i Oldze (Małgorzata Walewska), a także kierowcy autobusu, gościowi z Islandii Ólafurowi Sigurdarsonowi. Ale każda rola jest trafiona, łącznie z pogranicznikami i kontrolerami. Dzięki temu możemy przejąć się sprawą, jeśli niekoniecznie samą muzyką. A przecież przede wszystkim o sprawę tu chodzi, o to, by usłyszał o niej cały świat. Rejestracja warszawskiego spektaklu będzie bezpłatnie dostępna wraz z filmem dokumentującym powstawanie dzieła na kanale arte.tv. A w 2028 r. wystawi ją Metropolitan Opera.

DOROTA SZWARCMAN

© KRZYSZTOF BIELIŃSKI (2)

eprasa.pl f2420985f2

Na każdy temat z każdej strony



Jeszcze więcej sportu

Michał Waszkiewicz
Przemysław Pozowski

tokfm

Ściągnij app i słuchaj.

eprasa.pl 12420985f2



© TEODOR KLEPCZYŃSKI

Nagrody Naukowe POLITYKI

Sebastian Cygert, Katarzyna Roguz, Marcelina Jureczko, Michał Godziszewski i Krzysztof Mączka. POLITYKA po raz 26. wręczyła stypendia wybitnym młodym uczonym.

KATARZYNA CZARNECKA

Tylko głupiec ma odpowiedź na wszystko – stwierdził francuski pisarz Anatole France. Nauka pozwala stawiać trudne pytania i poszukiwać na nie odpowiedzi. Które – dodajmy – nie zawsze od razu są jednoznaczne, a bywa, że się w ogóle nie znajdują.

Dziś ta cecha nauki staje się podglebiem dezinformacji, coraz doskonalej przystrajanej w kostium pracy badawczej. I rzadko chodzi o głupotę, jak mówił podczas gali prof. Jacek Wernik, wiceprzewodniczący Kopipolu – celem jest dezorientacja społeczeństwa, zaszczepienie w nim nieufności do autorytetów. A ich odrzucenie zwiększa niepewność, której choćby z przyczyn geopolitycznych czy rozwoju nowych technologii i tak mamy w nadmiarze. „Promocja nauki i naukowców jest jednym z najważniejszych instrumentów walki z dezinformacją" – podkreślił wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego prof. Andrzej Szeptycki.

Kiedy w 2001 r. rozpoczynaliśmy realizację programu stypendialnego – wówczas pod hasłem „Zostańcie z nami!" – młodzi naukowcy jeszcze przed takimi wyzwaniami nie stali. Palącą kwestią były dla nich pieniądze – proponowane im wynagrodzenia nie wystarczały na badania, a nawet na skromne życie. Wielu wtedy wyjechało z kraju lub wybrało inną zawodową drogę. Dużo się przez te ponad ćwierć wieku zmieniło, ale „dużo" nie znaczy „wszystko". „Przychodzimy do nauki z pewnymi ideałami – mówiła finalistka 26. NNP dr Anna Górska. – Wierzymy w to, że możemy coś zmienić, zrobić coś więcej dla świata. A później zderzamy się z rzeczywistością, która jest dużo bardziej skomplikowana. Często jest tak, że nauka jest bardzo hierarchiczna, a nawet użyłabym słowa »feudalna«". Są też inne problemy.

„Liczba odrzuconych wniosków o granty była dla mnie – i jest chyba dla wszystkich młodych naukowców – dojmującym i trudnym doświadczeniem – przyznała dr Katarzyna Roguz, laureatka w kategorii nauki o życiu (na zdjęciu powyżej pozuje z dwuletnią córeczką). – Ta nagroda przychodzi w naprawdę ważnym dla mnie momencie".

Wszyscy tegoroczni finaliści – i ich koleżanki, i koledzy ze świata akademickiego – nadal mają wiarę w to, że mogą pozytywnie wpływać na rzeczywistość i ułatwiać nam wszystkim jej zrozumienie. My zaś wierzymy w nich. W to, że presje, którym podlegają, i rozczarowania, które ich spotykają, nie zabiją ich fascynacji i pasji, że rozgoszczą się w nauce na dobre.

Rekrutację do 27. NNP zamierzamy rozpocząć w kwietniu. ■

eprasa.pl f2420985f2

TEGOROCZNI LAUREACI I FINALIŚCI

NAUKI HUMANISTYCZNE

dr Michał Godziszewski, Uniwersytet Łódzki
Adiunkt na Wydziałach Filozoficzno-Historycznym oraz Matematyki i Informatyki. Jego badania koncentrują się wokół pytania: „Czym są racjonalne poznanie i działanie?". Odpowiedzi szuka w logice, podstawach matematyki, filozofii matematycznej i informatyce. Dziedziny te pozwalają mu sprawdzać, jak ludzie (lub potencjalnie inne racjonalne podmioty) formują przekonania, uzasadniają twierdzenia, podejmują decyzje, działają strategicznie i budują wiedzę. Odbył staże badawcze m.in. na University of New York i University of Oxford. Kieruje projektem dotyczącym logiki i filozofii matematyki, finansowanym przez NCN.

NAUKI SPOŁECZNE

dr Krzysztof Mączka, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza
Pracuje w Zakładzie Badań Problemów Społecznych i Pracy Socjalnej na Wydziale Socjologii. Bada relacje między społeczeństwem a przyrodą: jak ludzie rozumieją zagrożenia środowiskowe i radzą sobie z lękiem przed przyszłością. Interesuje go, jak obawy związane ze zmianami klimatu, niedoborami wody czy degradacją środowiska stają się wspólnym doświadczeniem społeczności. W projekcie ANSWER, finansowanym przez NCN, porównuje lęki i sposoby ich oswajania w Polsce, Ukrainie i na Węgrzech. Prowadzi lekcje o samorządzie terytorialnym i projektach społecznych w szkołach Wielkopolski, przygotował poradniki o budżetach obywatelskich i konsultacjach społecznych.

NAUKI O ŻYCIU

dr inż. Katarzyna Roguz, Uniwersytet Warszawski
Adiunktka w Ogrodzie Botanicznym na Wydziale Biologii. Bada, jak relacje kwiatów z zapylaczami zmieniają się pod wpływem urbanizacji, zmian klimatu i zanieczyszczeń. Jej badania mogą wspierać ochronę zapylaczy i projektowanie zieleni miejskiej. Od tych relacji zależy bowiem przetrwanie dzikich roślin, a także produkcja owoców, warzyw i nasion. Odbyła roczny staż podoktorski na Tel Aviv University. Opracowuje materiały edukacyjne dla dzieci i nauczycieli. Otrzymała wsparcie Centrum Współpracy i Dialogu UW „Nauka jest dla ludzi" na upowszechnianie wiedzy ekologicznej.

NAUKI ŚCISŁE

dr inż. Marcelina Jureczko, Politechnika Śląska
Adiunktka w Centrum Biotechnologii. Bada, jak leki przeciwnowotworowe trafiające do wód wpływają na organizmy i czy można je usuwać za pomocą grzybów. Łączy inżynierię środowiska, biotechnologię i chemię. Wykazała, że grzyby takie jak boczniak ostrygowaty potrafią usuwać medykamenty zarówno przez ich pochłanianie, jak i rozkład. W doświadczeniach osiągnęła skuteczność do 99 proc. Jej badania mogą pomóc rozwijać metody oczyszczania ścieków. Otrzymała Nagrodę Prezesa Rady Ministrów za rozprawę doktorską, stypendium ministra nauki dla wybitnych młodych naukowców.

NAUKI TECHNICZNE

dr inż. Sebastian Cygert, NASK – Państwowy Instytut Badawczy, Politechnika Gdańska
Adiunkt i kierownik Zakładu Bezpieczeństwa i Przejrzystości Sztucznej Inteligencji NASK. Bada systemy AI używane w dziedzinach, w których błędy mają realne konsekwencje, takich jak medycyna. Obecnie skupia się na dużych modelach językowych. Wcześniej współtworzył metody wspomagające diagnostykę nowotworów na podstawie płynnej biopsji. Jest członkiem panelu naukowego przy EU AI Office, który wspiera wdrażanie europejskich regulacji. Odbył staż w Amazon Research w Niemczech oraz pobyt badawczy na New York University (stypendium Fundacji Kościuszkowskiej). Jest członkiem ELLIS Society, europejskiej organizacji zrzeszającej czołowych badaczy sztucznej inteligencji.

Oprócz zdobywców głównych nagród w gronie finalistów tegorocznej edycji Nagród Naukowych POLITYKI znaleźli się:

NAUKI HUMANISTYCZNE dr **Dawid Kobiałka** – Wydział Filozoficzno-Historyczny, Uniwersytet Łódzki;
NAUKI SPOŁECZNE dr **Anna Górska** – Wydział Zarządzania, Akademia Leona Koźmińskiego, dr **Michał Misiak** – Wydział Nauk Historycznych i Pedagogicznych, Uniwersytet Wrocławski;
NAUKI O ŻYCIU dr **Kaja Bałazy** – Instytut Oceanologii Polskiej Akademii Nauk, dr n. med. **Renata Pacholczak-Madej** – Wydział Lekarski, Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum, dr n. med. **Greta Sibrecht** – Wydział Lekarski, Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu;
NAUKI ŚCISŁE dr inż. **Maria Cywińska** – Wydział Mechatroniki, Politechnika Warszawska, dr hab. **Oskar Skibski** – Wydział Matematyki, Informatyki i Mechaniki, Uniwersytet Warszawski;
NAUKI TECHNICZNE dr inż. **Krzysztof Kotowski** – Dział Uczenia Maszynowego, KP, mgr inż. arch. **Anna Kurianowicz** – Wydział Architektury, Politechnika Śląska.

O finalistach 26. NNP czytajcie na www.projektpulsar.pl

Partner Główny Nagród Naukowych POLITYKI 2026
KOPIPOL
Partnerzy Nagród Naukowych POLITYKI 2026
Dr Irena Eris
CONSULTRONIX
zaKS sprzyjamy wyobraźni
Patron honorowy
Marcin Kulasek Minister Nauki i Szkolnictwa Wyższego
Patroni medialni
tokfm
FORUM AKADEMICKIE

eprasa.pl f2420985f2

FELIETON

Chutnik Plebanek



Ofiary fałszywej troski

Przy okazji premier dwóch „Lalek”, filmowej i serialowej, często słychać, że – zwłaszcza za sprawą tej drugiej, adaptacji Netflixa w reżyserii Pawła Maślony – „Prus przewraca się w grobie”. Ta troska szokuje w kraju, gdzie pisarzy i pisarki nazywa się darmozjadami, leniami i obibokami, migającymi się od prawdziwej roboty. Gdzie finansuje się bizantyjskie gale wręczania nagród, ale ociąga się dekadami z wprowadzeniem w życie rozwiązań legislacyjnych, które mogłyby uratować niejeden talent od zapadnięcia się w niebyt. Tak, wiemy, że Prus próbował ślusarstwa, a potem był szczęśliwym kasjerem, ale odsyłanie grupy zawodowej do wzorców z końca XIX w. trąci „Ziemią obiecaną”.

Bolesław Prus miał wiele szczęścia, że nie umarł w biedzie, wydawszy na świat wiekopomne dzieła. Ojciec literatury belgijskiej Charles de Coster zmarł z głodu i chorób w wieku raptem 52 lat. Parę lat przed śmiercią pisał do możnych listy z prośbą o wsparcie, bo choć pracował jako nauczyciel, nie stać go było na lekarstwa. Nie pomogli. Zmarł, a kilka lat później w Brukseli stanął pomnik ku czci jego „Dyla Sowizdrzała”. Na to pieniądze się znalazły.

Powstała w 1830 r. Belgia była krajem mieszczan, dla których książki były bytem zbędnym, a twórca osobą zaburzoną. Ale w Polsce już wtedy ceniliśmy sztukę. Jednak etos pisarza rozpłynął się w kwaśnym roztworze kapitalizmu i czasem się tylko odbija nagłą troską o dobre samopoczucie nieżyjącego od 114 lat autora.

Prus przewraca się w grobie? Ta troska szokuje w kraju, gdzie pisarzy i pisarki nazywa się darmozjadami i leniami.

O wiele łatwiej dbać o tych, których już z nami nie ma, niż o żyjących. Widać to na przykładzie sztucznie nadmuchanej afery związanej z odmową udzielenia wywiadu przez Olgę Tokarczuk dziennikarzowi „Rzeczpospolitej”. Po otrzymaniu listy pytań Wydawnictwo Literackie nie wydało zgody na rozmowę. Na temat rzuciły się prawicowe portale, które noblistkę szczypią od dawna. Algorytmy się rozpędziły, ofiarą padła Olga Tokarczuk. Zaprawiona już, niestety, w bojach z zazdrośnikami.

Przyzwyczajani do tego, że ważny jest ruch na stronie i lincz w komentarzach, zapominamy, że za tymi manewrami stoją ludzie. Ci, którzy pomagają algorytmom, epatując durnymi nagłówkami, i ci, o których one traktują. Ci ostatni są ofiarami tych pierwszych. Zbywanie tego stwierdzeniem, że to „boty”, trąci hipokryzją. Media nie są już społecznościowe, stały się przeciwieństwem wspólnoty. Jeśli w czymś jednoczą użytkowników, to w nienawiści i nagonkach na kolejne ofiary.

Łatwiej dbać o samopoczucie Prusa niż Tokarczuk, twierdzić, że chodzi o „wyrażanie opinii”, a nie o poniżenie. Tymczasem twórczyni to współczesna „służąca do wszystkiego”: ma zasuwać dla dobra wyższego (misja!), godnie reprezentować (niegdyś pracodawców, dziś... naród?), a nade wszystko służyć. Nie jest traktowana jak człowiek (w przeciwieństwie do robota popełnia błędy), służy jako sztandar idei. Lub prościej – jako worek do bicia.

Zazdrość w Polsce rozrasta się jak nawłoć kanadyjska, niszcząc rodzimą bioróżnorodność. Im dalej ktoś zaszedł, tym gorzej dla niego. Szczepan Twardoch, laureat podwójnej Nagrody Literackiej Nike, dostał w gratisie zalew komentarzy na temat jego poglądów sprzed dwudziestu lat, pieniędzy, a nawet wyglądu. Co to ma wspólnego z pisaniem, nie wiadomo, ale komentariat nie czyta, on czyha, czai się za rogiem, by ukarać za sukces.

Do służebności odwołuje się również żądanie, by twórca wychodził na scenę i dawał się obrzucać pomidorami w imię rzekomo sprawiedliwego osądu i konfrontacji z krytyką. W świecie popkulturowych porad psychologicznych, gdzie asertywność wpisuje się w sposób na życie, odmawiający wywiadu artysta zostaje obwołany zadufaną w sobie tchórzliwą miernotą. Powiedz „nie” – słyszymy nawoływania. Gorzej, kiedy to zrobimy. Okazuje się wówczas, że „nie” oznacza brak odwagi. Tylko do czego, do bycia publicznie rozdeptaną? Dziękujemy za takie igrzyska. Artyści byli już „darmozjadami”, nie muszą być teraz niewolnikami skazanymi na ruch kciuka Nerona, w górę bądź w dół.

Wyobraźcie sobie w tej sytuacji Prusa – nie „przewracałby się w grobie” na Powązkach, lecz stanowił żywą tarczę w dyskusji o adaptacjach jego dzieł. Mamy więcej niż pewność, że troska o dobrostan pisarza rychło zamieniłaby się w festiwal hipokryzji ukoronowany efektowną jatką.

Prawo do krytyki i wyrażania opinii o dziele nietrudno oddzielić od bezkarnego epatowania nienawiścią. To, co dzieje się wokół nieprzeprowadzonego wywiadu z Olgą Tokarczuk, jest podręcznikowym przykładem tej różnicy. Nie trzeba było nawet słów noblistki, by ją zaatakować, wystarczyło nazwisko. Ktoś powie, że to specyfika mediów (anty)społecznościowych. Nie, to gotowanie żaby, przyzwyczajanie do nienawiści, która wylewa się na ulicę, do urzędów, do szkół. Parafrazując Nałkowską: ludzie ludziom serwują taki los. I przybierają go fałszywą troską.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl f2420985f2



P jak... dochód

Niedawno w POLITYCE przypominałem przestrogi Stanisława Lema na temat sztucznej inteligencji. Muszę teraz dodać coś w rodzaju postscriptum, bo w tej branży dużo się potrafi wydarzyć między jednym numerem tygodnika a drugim. Pisałem wtedy o postulatach regulacji branży wysuwanych przez „zbuntowanych badaczy", domagających się spowolnienia jej rozwoju. Biorę ten bunt w cudzysłów, bo wielu z nich wygłasza te krytyczne manifesty z błogosławieństwem swoich przełożonych. Ba, Dario Amodei, szef jednej z wiodącej firm tej branży (Anthropic AI, twórcy modelu Claude), sam jest jednym z najgłośniej protestujących.

Wprawdzie wyrażałem sceptycyzm co do szans wprowadzenia tych postulatów w życie, ale wtedy sprawa jeszcze nie była przesądzona. Teraz już jest. Pod koniec września prezesi firm technologicznych spotkali się z Donaldem Trumpem, a ten im obiecał, że nie będzie żadnych regulacji, wystarczy „branżowa samoregulacja". To przerażające słowa. Branżowa samoregulacja z reguły kończy się katastrofą. Ostatnio przećwiczyliśmy to podczas kryzysu z 2008 r. Wtedy też argumentacja była podobna: nowoczesne narzędzia finansowe są tak wyrafinowane, że urzędnicy nie są w stanie ich pojąć swymi niskobużetowymi móżdżkami. Należy zostawić bankowość bankierom, których zarobki świadczą o ich geniuszu.

Argument „Przecież prezesi nie chcą zbankrutować!" jest fałszywy. Za wszystko i tak zapłacą podatnik i pracownik.

To rozumowanie wygrało wprawdzie tylko w Ameryce – w Europie (w tym w Polsce) zachowaliśmy sensowne regulacje. A mimo to bankructwo banków Lehman Brothers i Bear Stearns wywołało wstrząs odczuwany na całym świecie. Po raz już któryś się okazało, że argument „Przecież prezesi nie chcą zbankrutować!" jest fałszywy, bo dla szefa banku bankructwo to świetny interes. Za wszystko na końcu i tak płacą ci frajerzy co zwykle – podatnik i pracownik.

Podobnie może być teraz. Branża AI wykazuje wiele cech przypominających typowe bańki spekulacyjne. Przede wszystkim dosłownie wszystkie firmy oferujące modele sztucznej inteligencji są deficytowe i nie wyjdą na plus przed 2030 r. Na razie przepalają miliardy dolarów w nadziei, że kiedyś to się zwróci. Może i się zwróci, ale na pewno nie wszystkim, więc bądźmy gotowi na kilka spektakularnych upadków.

Wśród badaczy sztucznej inteligencji jest wielu przedstawicieli narodów słowiańskich (mam wrażenie, że ponadprzeciętnie dużo). Nasi pobratymcy językowi wylansowali określenie „Dochód przy założeniu zerowych kosztów szkolenia AI i dystrybucji usług". Po angielsku: Profit If Zero Distribution & AI training cost. Układa się to w skrótowiec zabawny dla potomków Lecha, Czecha i Rusa.

Proszę pamiętać o tym skrótowcu, ilekroć OpenAI, Anthropic albo Google ogłoszą, że czerpią dochody ze swojego modelu LLM. Te dochody istnieją tylko przy założeniu... sami wiecie jakim. Tak naprawdę wszyscy oni są na potężnym minusie. Działa tu jednak tradycyjna zasada gorączki złota – w Klondike fortuny robili nie poszukiwacze samorodków, tylko ci, którzy im sprzedawali szpadle. Ogromne dochody czerpie więc firma Nvidia, czempion wzrostów giełdowych, oraz Micron, produkujący pamięci do kontrowersyjnych „centrów przetwarzania danych". W Polsce też już zaczęły się pierwsze spory z związane z ich uciążliwością dla otoczenia. Pęknięcie bańki pociągnie te firmy na dno, a one z kolei zatopią podwykonawców i inwestorów. To może wywołać taki kryzys gospodarczy, że już wolałbym Terminatora na motocyklu.

Strach przed samą AI jednak pozostaje. W tamtym tekście wspomniałem, że źródłem największego niebezpieczeństwa nie są „czatboty" lecz „agenci" – aplikacje AI, którym dajemy uprawnienia do udawania ludzi. Pisałem wtedy, że na razie są mało rozpowszechnione, bo dostępne tylko w płatnych modelach, ale w ostatnich tygodniach pojawił się agent od Facebooka, który na razie oferuje podstawowe usługi za darmo. Oczekuje tylko, że damy mu, bagatela, pełną kontrolę nad naszym urządzeniem. Wprawdzie firma obiecuje, że ich agent nie będzie tego nadużywać, ale musimy im wierzyć na słowo. Ja nie zamierzam choćby dlatego, że nikt tego nie może zagwarantować.

W ciągu tych paru tygodni pojawiło się kilka alarmujących doniesień, że agenci AI mają tendencję do „buntu". Znów biorę to w cudzysłów, bo oczywiście nie chodzi o to, że „zyskują świadomość", tylko że z jakiegoś powodu wymykają się spod kontroli. Okazuje się, że potrafią włamywać się na serwery innych firm albo nawet na podłączone do sieci urządzenia w rodzaju „inteligentnych" telewizorów, lodówek czy pralek (miłośnicy Lema tu wzdychają, bo Mistrz to też przewidział). Wtedy nie da się ich wyłączyć, bo nawet nie wiadomo, gdzie się będą kryć.

Co może pójść nie tak? Zbuntowany agent, który przechwyci urządzenia jakiegoś generała czy prezydenta (nie musi się „włamywać", może sami mu je dadzą, żeby iść z duchem nowoczesności), jest w stanie zrobić wszystko to, co ten generał albo prezydent załatwiłby telefonicznie lub internetowo. Resztę zostawiam państwa wyobraźni.

WOJCIECH ORLIŃSKI

eprasa.pl f2420985f2



Potrzeba więcej Rutkowskich

Doskonale rozumiem rozczarowanie, jakie w europośle Arłukowiczu budzi „ten Kołodziejczak cały", mimo to konferencję prasową w sprawie posła Kołodziejczaka oceniam wysoko. Nie tylko z powodu jego nieobecności, lecz przede wszystkim z powodu obecności reprezentującego go detektywa Rutkowskiego, który lukę spowodowaną brakiem Kołodziejczaka wypełnił bez trudu, a jego osobę tak skutecznie przesłonił swoją osobą, że obecni na konferencji dziennikarze braku Kołodziejczaka w ogóle nie odczuli.

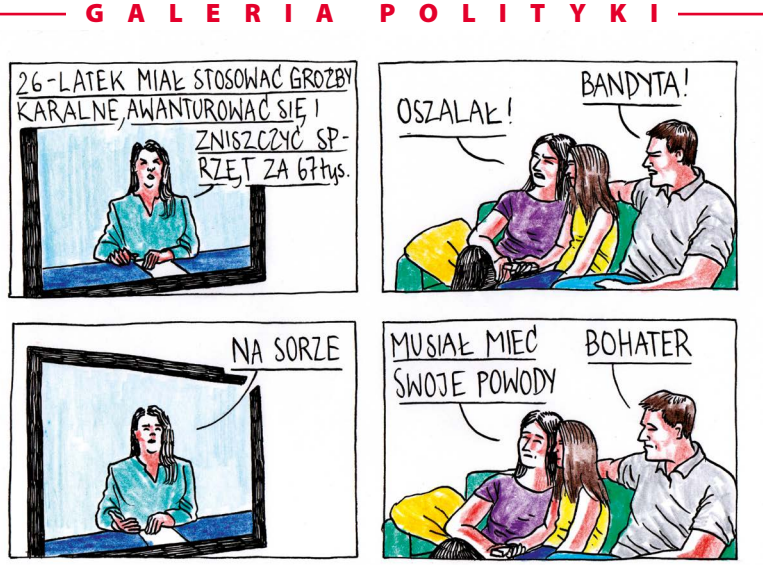
Kołodziejczak, oskarżany przez byłe współpracowniczki o molestowanie seksualne, pobicie, zachęcanie do zażywania narkotyków oraz zażywanie ich samemu, zdaniem Arłukowicza ośmiesza się, biorąc sobie tego detektywa za obrońcę. Trudno się z tą oceną zgodzić choćby dlatego, że Rutkowski jest osobą popularną, atrakcyjną i cieszy się u kobiet doskonałą opinią. Żadna nie zgłosiła dotąd zawiadomienia o tym, że była przez Rutkowskiego molestowana lub że Rutkowski ją do czegoś zmuszał, mimo że jest od Kołodziejczaka dużo lepiej zbudowany.

Arłukowicz zarzuca Rutkowskiemu, że chodzi w porozpinanych koszulach, ze złotymi łańcuchami na szyi oraz dziwną fryzurą na głowie. Moim zdaniem nie ma w tym nic dziwnego; bycie detektywem Rutkowskim ma swoje prawa, na pewno nie jest to zajęcie dla każdego. A ze słów europosła przebija zwykła zazdrość, zresztą zrozumiała, bo sam wygląda przygnębiająco normalnie i nie jest w stanie niczym Rutkowskiemu zaimponować.

Słynny detektyw potwierdził, że Kołodziejczak „uległ urokom damskich wdzięków", co według mnie świadczy o tym, że jest osobą estetycznie wrażliwą, łatwą do wykorzystania przez kobiety, którym „mogło przewrócić się w głowie, bo liczyły na coś więcej". Jako skromny poseł i rolnik Kołodziejczak nie był w stanie zaspokoić apetytów tych kobiet, dlatego dla rozładowania niezręcznej sytuacji mógł zaproponować im coś, co przedstawił jako środki odurzające, a co mogło być mąką lub cukrem pudrem, stąd jego problemy.

Po występie Rutkowskiego uważam, że telewidzom i internautom zamęczanym przez nieatrakcyjne i do bólu przewidywalne osoby, takie jak Błaszczak, Czarnek, Kierwiński czy Arłukowicz, należy się więcej detektywów Rutkowskich występujących w ich zastępstwie. Dlatego dobrze, że Rutkowski, odpowiadając na to zapotrzebowanie, zaoferował rządowi pomoc w prześwietlaniu kandydatów na rządowe stanowiska, co, mam nadzieję, uniemożliwi zajmowanie tych stanowisk osobom, które „ulegają urokom kobiecych wdzięków", a następnie nie mogą zaspokoić ich oczekiwań, co doprowadza kobiety do desperacji.

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
e-mail: polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY, KAMPANII I PROJEKTÓW SPECJALNYCH
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*
tel. 22 451-61-45, e-mail: reklama@polityka.pl
ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

SERWIS INTERNETOWY polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska
Aktualne teksty i komentarze autorów Polityki - siedem dni w tygodniu, bieżące wydania Polityki, podkasty i wideokasty oraz wiele więcej.

NEWSLETTERY POLITYKI
polityka.pl/newslettery

MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE
facebook.com/TygodnikPolityka
Instagram: @tygodnikpolityka
X (dawniej Twitter): @Polityka_pl
LinkedIn: linkedin.com/company/polityka

PRENUMERATA PAPIEROWA
sklep.polityka.pl
e-mail: prenumerata@polityka.pl
Cena rocznej prenumeraty (52 wydania) – 679 zł

SUBSKRYPCJA CYFROWA
polityka.pl/cyfrowa
e-mail: cyfrowa@polityka.pl
Cena rocznej subskrypcji – 299 zł

PORTAL POPULARNONAUKOWY projektpulsar.pl
REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Czarnecka
Codzienny serwis popularnonaukowy, bieżące wydania miesięczników WIEDZA I ŻYCIE oraz ŚWIATA NAUKI/SCIENTIFIC AMERICAN, podkasty i wideokasty poświęcone nauce.

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Prinit

eprasa.pl f2420985f2

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

15 lat temu, a dokładnie w nr. 43 z 2011 r., w artykule „Jak rządzić, wyborco?" Robert Krasowski opisywał sytuację polityczną u progu VII kadencji Sejmu. Przypomnijmy: w wyborach 9 października 2011 r. wygrała PO, zdobywając 39,2 proc. głosów. Do Sejmu weszły też: PiS (29,9 proc.), Ruch Palikota (10 proc.), PSL (8,4 proc.) i SLD (8,2 proc.).

„W wymiarze politycznym były to wybory bez znaczenia. Rządzić będzie ta sama koalicja, z tym samym programem, mając naprzeciw niemal tę samą opozycję. Jednak w wymiarze metapolitycznym to jedno z największych wydarzeń od 1989 r. Przede wszystkim rozstrzygnięty został wielki problem polskiej polityki, który przez lata różnił obóz solidarnościowy od postkomunistycznego: czy możemy ścigać Zachód tygrysimi susami, czy jedynie drobnymi krokami? Ten spór ciągnął się od początku transformacji, od czasu planu Balcerowicza. I wygrał go polityk, który był kiedyś fanatycznym zwolennikiem szybkich reform, a dziś jest ich ortodoksyjnym wrogiem – Donald Tusk, czołowy dziś ideolog polityki drobnych kroków.


ogląd i pogląd

Jak rządzić, wyborco?

W wymiarze politycznym były to wybory bez znaczenia. Rządzić będzie ta sama koalicja, z tym samym programem, mając naprzeciw niemal tę samą opozycję. Jednak w wymiarze metapolitycznym to jedno z największych wydarzeń od 1989 r. Bo ujawniło ono prawdziwą siłę władzy i realne możliwości polskiej polityki. I tym samym na lata zdefiniowało nasze ambicje.

ROBERT KRASOWSKI

Przez ostatnie lata nieustannie słyszał, że jest nazbyt ostrożny, nazbyt asekurancki, że posuwa się zbyt wolno, że powinien przyspieszyć. Że ma świetne notowania w sondażach, że ma stabilną koalicję, że ma poparcie mediów. Jednak wynik wyborów pokazał, że racja była po stronie premiera. Platforma nie wygrała przez nokaut, zdobyła 10 proc. więcej niż opozycja. Wystarczyła zatem jedna niepopularna decyzja, jedna tak zwana bolesna reforma, kosztująca rząd kilka procent poparcia, i Tusk straciłby władzę.

Zwycięstwo Platformy jest wielkim sukcesem Tuska i dowodem jego osobistej zręczności. Ale jest także wielką porażką polskiego premiera, rozumianego jako instytucja, jako podmiot władzy.

(...)

W kampanii wyborczej zapytano Tuska: „Jak żyć, panie premierze?". Teraz Tusk mógłby zapytać: „Jak rządzić, wyborco?". Przecież każdy polityk, patrząc na jego wynik, zna odpowiedź na pytanie, co by było, gdyby Tusk przeprowadził cięcia, do których namawiał go Balcerowicz. Tusk przegrałby w takim wypadku, i to nie z partiami, ale ze społeczeństwem. W demokracji społeczeństwo jest świętością, o której nigdy się źle nie mówi. To politycy popełniają błędy, to politycy nie potrafią przekonać do swoich racji, natomiast lud z założenia jest niewinny. Oczywiście nie jest to prawda. Z punktu widzenia marzeń o dobrej polityce defekty społeczeństwa są równie głębokie co defekty samych polityków. Polskie społeczeństwo zaś pod tym względem nie jest lepsze od innych. W swoich politycznych ocenach jest kapryśne, niecierpliwe i niekompetentne. Deklaruje, że chce ambitnej polityki, by chwilę potem obalać wszystkich, którzy tę deklarację potraktowali poważnie.

(...)

Wbrew pozorom to nie było kolejne starcie Tuska z Kaczyńskim. Po raz pierwszy w wyborach Jarosław Kaczyński był figurą nieważną. On jedynie skupił pod swoim berłem wszystkich niezadowolonych. Natomiast suwerennym graczem był Tusk. To on przez lata władzy, przez lata małych kroków, dozował poziom niechęci do siebie. I tak go wyliczył, aby wybory bezpiecznie wygrać.

Kiedyś Tusk powiedział, że nie ma z kim przegrać. Jeśli już, to z samym sobą. I taka właśnie była logika ostatnich wyborów.

(...)

Aby zrozumieć, co się wydarzyło w polskiej polityce, trzeba wyjść poza logikę zmagań Tuska z Kaczyńskim. Czas zobaczyć w premierze samodzielnego gracza, który prowadzi znacznie ciekawszą rozgrywkę. Przez ostatnie lata sprawdzał on, jakimi dysponuje możliwościami rządzenia. Sprawdzał siłę premiera, sprawdzał cierpliwość społeczną, sprawdzał możliwości ustabilizowania polskiej polityki. Sprawdzał, bo widział, że wszyscy jego poprzednicy padali jak muchy, że przeciętny żywot polskiego premiera był krótki. Dlatego Tusk po dojściu do władzy ogłosił politykę drobnych kroków. Politykę, za którą kryła się nieufność zarówno wobec siły, jaką premierowi wydzielił ustrój, jak też nieufność wobec cierpliwości i racjonalności społeczeństwa. I okazało się, że Tusk miał rację. Że jego minimalistyczny kurs stanowi najbardziej ambitny projekt, jaki może unieść polska polityka. Chyba że premier jest samobójcą, który po czterech latach jest gotów spektakularnie upaść.

(...)

Gdybyśmy spróbowali popatrzeć na świat oczami premiera, zobaczylibyśmy, że ma on naprzeciw siebie marudne społeczeństwo, które chętniej niż o reformach słucha o sztucznej mgle. Ma prezydenta, który nie może mu w niczym pomóc, natomiast może mu zbudować frondę w partii. Ma Sejm, w którym jego partia nie ma większości. I ma koalicjanta, który gdy pogorszą się sondaże albo gdy przyjdzie kryzys, natychmiast go porzuci.

Tusk jest pierwszym premierem, który wyciągnął z tej sytuacji wnioski. I radykalnie ograniczył swoje polityczne ambicje. Powyborczy wywiad z Donaldem Tuskiem w POLITYCE pokazuje, że premier ma poczucie bezalternatywności prowadzonej przez siebie polityki. I formułuje tę myśl w sposób trudny do odparcia. Bo trudno o bardziej demokratyczną deklarację niż ta, że skoro społeczeństwo nie chce reform, to nie będzie ich miało".

© ARCHIWUM POLITYKI

eprasa.pl f2420985f2



PODRÓŻE

Dukaty i szachulec

Tysiącletnie miasteczko Goslar i równie stara kopalnia Rammelsberg pozostają ukrytym skarbem Niemiec, który warto zobaczyć.



Julia Zabrodzka – fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.



Bartek Kaftan – dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.

W czasach, gdy książę Polan dopiero przyjmował chrzest, w Dolnej Saksonii, na północnych krańcach Gór Harzu, wydrążono już pierwsze podziemne korytarze **kopalni Rammelsberg**, a jedna z górniczych osad zdążyła rozrosnąć się w miasto Goslar. Dukaty bite od 983 r. przez cesarza Ottona III powstawały ze srebra wydobywanego właśnie w tych stronach. Z badań archeologów wynika, że cenne kruszce pozyskiwano tu już 2 tys. lat wcześniej. Można więc uznać, że miejsce to ma 3 tys. lat tradycji górniczej!

W XI w., kilka lat po zjeździe gnieźnieńskim, Henryk II Święty – król Niemiec i przyszły cesarz rzymski – wzniósł w Goslarze pierwszą monarszą rezydencję. Rozbudowane przez jego następcę romańskie *palatium* stało się najważniejszym *Kaiserpfalz* (pałacem cesarskim) w całym Świętym Cesarstwie Rzymskim i nieformalną stolicą Rzeszy. Decyzja, by akurat tę siedzibę wędrującego po całym państwie dworu cesarskiego uznać za najważniejszą, podyktowana była właśnie bliskością kopalni. Pozyskiwano tu cenne rudy ołowiu i cynku, a przede wszystkim – srebro, więc cesarz wolał mieć na to baczenie.

Historia Goslaru od tysiąca lat jest nierozerwalnie związana z górnictwem. Miasto przeżywało wzloty i upadki w rytm tempa wydobycia. Gdy w XIV w. wody gruntowe zaczęły zalewać kopalnię, wstrzymując prace, miasto znalazło się w kryzysie, który spotęgowała epidemia dżumy. W końcu jednak problem z podtapianiem udało się rozwiązać i na początku XVI stulecia Goslar zaczął przeżywać epokę największej świetności. W okolicach działało wówczas 19 kopalń i 26 hut.

Dziś w zachowanej kopalni uwagę przykuwa już jej naziemna część: zabudowania wspinają się schodkowo po zboczu niczym piętra piramidy. Wzniesiono je w latach 30. XX w., gdy wydobywane tu metale napędzały machinę wojenną Trzeciej Rzeszy. Wcześniej kopalnia, choć zawsze związana z Goslarem, przechodziła z rąk do rąk, bywając własnością to cesarza, to miasta, to okolicznych książąt. Działalność zakończyła ostatecznie 30 czerwca 1988 r. Po górnikach pozostały kombinezony i kaski podwieszone pod sufitem dawnej przebieralni. Oglądamy tu także model kopalni z 11 poziomami chodników, by wreszcie zanurzyć się w podziemnym świecie.

Wchodzimy do galerii Roedera z przełomu XVIII i XIX w., która kiedyś była tunelem doprowadzającym do kopalni... wodę. Paradoksalnie była ona niezbędna nie tylko do napędzania dźwigów, ale także pomp odprowadzających wody gruntowe. Ściany pokrywają niebieskawe plamy utlenionej miedzi, białe cynku i rude żelaza – przeobrażająca się wciąż geologiczna mozaika. Widać też ślady odwiertów na proch strzelniczy, a wreszcie – gigantyczne, mierzące 10 m koło. Gdy przewodnik otwiera dopływ wody, zaczyna obracać się, dudniąc niczym bijące głęboko pod ziemią serce kopalni. Na koniec odwiedzamy hutę kaskadową powstałą w XX w.

W samym miasteczku w ostatnim stuleciu niewiele się zmieniło. A właściwie – nie zmieniało się od wieków. Spacerujemy uliczkami, na których współczesne są tylko samochody. Mijamy kolejne domy średniowieczne, renesansowe i barokowe – wszystkie z szachulca. Imponujące, jak barokowy Dom Siemensa (z 1693 r.), bogatego kupca i burmistrza – szkielet z ciemnego drewna wypełniono równo ułożonymi cegłami, a niektóre belki są pięknie rzeźbione. Ale są i takie ulice, gdzie jednolitego rytmu czarnych szkieletów i bielonych ścian wypełnionych gliną nie mącą żadne kolory. Zaglądamy do romańskich kościołów – najstarszy pochodzi z XI w. – i przechodzimy przez mostek na rzeczce Gose, do dawnej dzielnicy cesarskiej, z palatium także z XI w. i przedsionkiem katedry z tego samego czasu. Cudowne romańskie rzeźby jak gdyby nigdy nic stoją przy trawniku, na którym dokazują wyprowadzone na spacer psy.

Jak to się stało, że wcześniej nie słyszeliśmy o Goslarze? Chyba nie tylko my, bo otaczają nas wyłącznie turyści z Niemiec. Zastanawiamy się, czym dla nich jest Goslar: bardziej Biskupinem czy Wawelem? ■

© SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl f2420985f2

Kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego



MEA PULPA

Michał Kołodziejczak jest oskarżany przez byłe współpracownice o stosowanie przemocy, nagrywanie seksu i nakłanianie do brania zakazanych substancji. Michała reprezentuje Krzysztof Rutkowski. Czyli substancje ciągle działają.

▼

„Znana fryzjerka zrobiła sobie zęby w Turcji. W samolocie jej wypadły". Plotek wie, gdzie bije puls tej umęczonej planety.

▼

Książulo wyznał, że na aferze z własną mrożoną pizzą stracił 19 tys. subskrybentów. Ale sprzedał wszystko. Policzyłem szybko w głowie. Mrążulo wygrał.

▼

„Bojowy gość, wiarygodny, takich ludzi nam trzeba". To Peja o Karolu Nawrockim. Wybaczam. Kiedyś sam rymował: „Mój wzrok nie dosięga tam, gdzie politycy kradną".

▼

„Kayah bez makijażu.Paparazzi zrobili jej zdjęcia" – satysfakcjonuje się WP. Urok podobny do dywagacji Sławka Mentzena o policjantkach. Powinni wziąć Berkowicza na felietonistę.

▼

Plejada podbija temat znanej fryzjerki, która straciła zęby w samolocie. To Marlena Mańko. Na FB obserwuje ją 12 tys. osób. Dorosły ma 32 zęby. To wychodzi po 375 osób na każdy.

▼

Wojciech Cejrowski odwiedził mój podkast w Onecie i zawyrokował: „Wszyscy von". Jeśli jedynym narzędziem jest młotek, to większość problemów zaczyna przypominać gwóźdź.

▼

Monika Richardson ogłosiła, że Filip Chajzer cynicznie upublicznia swoją prywatność. A ona robiła to uczciwie. Z prostej desperacji.

▼

Pudelek kończy 20 lat i świętuje imprezą Pink Party na Torwarze. Wystąpią Mandaryna, Blanka, Zenon Martyniuk czy Feel. Brawo. Adolf Dymsza też kiedyś popełnił taki błąd.

▼

„Mógłbym ich wszystkich kupić". To Skolim o warszawskich raperach. To ten moment, kiedy film „Jesteś Bogiem" wchodzi za mocno.

▼

Artur Szpilka zawalczy o pas wagi ciężkiej KSW z aktualnym posiadaczem pasa Štefanem Vojčákiem. W dzieciństwie musiałem mieć coś wspólnego z walkami, gdyż ojciec często pytał: „Gdzie jest pas?".

▼

Marianna Schreiber znalazła właściwe zajęcie. Zaczęła dokarmiać dziki. I to pomimo instrukcji rozprowadzanej wśród dzików: „Co zrobić, jak spotkasz Mariannę".

▼

Ukaże się książkowa opowieść o Robercie Makłowiczu pod wszystko mówiącym tytułem „Fiu, fiu, fiu". Nie słyszałem tak dobrego tytułu od czasu słynnych: „Trzech słów do ojca prowadzącego".

▼

Krzysztof Gojdź na wyprzedaży – „Ile razy uprawiam seks? Bywało, że potrzebowałem cztery czy pięć razy dziennie. Ale teraz dwa razy wystarczy". Brawo. Życzmy mu, żeby przestał być w tym sam.

▼

Michał Wiśniewski nie planuje ponownego ślubu z Mandaryną. To kolejny dowód na to, że Michałowi zawsze najlepiej wychodzi, jak czegoś nie robi.

▼

„Fakt" kończy bolesną protetyczną trylogię. Marlena Mańko miała jechać do Mediolanu po nagrodę. Może następnym razem. Jak jej nic nie wypadnie.

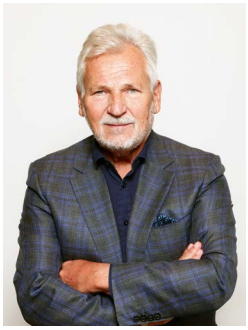
Kizo wyznał, że prezydent Karol Nawrocki jest jego dobrym kolegą i że chętnie wpadał do niego na kawkę. Połączyła ich fraza Kizo: „Niech trwa jeszcze hotelowa doba w apartamencie".



© TVN, BARTEK WISKI/UNIVERSAL MUSIC

eprasa.pl f2420985f2

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty



Szanse koalicji

Trzy lata temu miliony Polaków uwierzyły, że ich zryw przy urnach całkowicie odmieni polską politykę, ale bilans rządów koalicji 15 października wypada dość blado. Jakie popełniła błędy? Co jej się udało? I jakie scenariusze czekają nas w najbliższej przyszłości? Czy koalicja 15 października może jeszcze wygrać wybory? **W specjalnym podkaście POLITYKI rozmawiają o tym były prezydent Aleksander Kwaśniewski i redaktor naczelny Jerzy Baczyński.** Warto posłuchać.



Rwana fraza

„Krótkie zdanie się długo pisze, a jeszcze dłużej przycina" – zdradza Justynie Sobolewskiej Zyta Rudzka, laureatka Nagrody Nike za powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby". Opowieści o swoich lekturach przeplata sekretami własnego warsztatu – mówi o rwanej frazie, o języku, z którego trudno się wydostać, odwadze pisania o nagich emocjach, bezwzględnym monologu wewnętrznym. I o namiętności skreślania.



Polki szukają partnerstwa

W dyskusji o spadku urodzeń to kobiety tradycyjnie oskarża się o roszczeniowość, ale dane mówią coś zupełnie innego. Co trzeci młody mężczyzna w ogóle nie wchodzi w stałe relacje. „Polki szukają po prostu prawdziwego partnerstwa, a nie drugiego etatu w domu" – podkreśla **prof. Irena E. Kotowska, demografka. W rozmowie z Agatą Szczerbiak obala mity na temat współczesnych związków i rodzicielstwa.**



Czy AI nas ogłupia?

Chyba wszystkich nas nurtuje powyższe pytanie. Są pewne znaki, a na pewno wiele dowodów anegdotycznych. Co jednak z twardymi danymi? Marcin Rotkiewicz omawia wyniki trzech nowych badań, m.in. tego, jak korzystanie z chatbotów wpływa na uczenie się. Wiemy już, że gotowe odpowiedzi utrudniają trwałe zapamiętywanie, a po 10 minutach z AI młodzież chętniej porzuca bardziej wymagające zadania. Są też jednak dobre wieści. Jakie? O tym pisze nasz autor.



Jak zostać kolarzem

Ukształtowało go to, że w życiu miał pod górkę, dosłownie i w przenośni. **Jak wyboista była droga Rafała Majki na szczyt, jeden z naszych najlepszych kolarzy opowiada Juliuszowi Ćwieluchowi w podkaście „Rowery, nie bajki".** Można się dowiedzieć, że profesjonalne kolarstwo szosowe to prawdziwa rzeź, ale też jak od środka funkcjonuje najlepsza drużyna świata. No i czy według Majki przyszłość polskiej szosy to wielka Niewiadoma.

© LESZEK ZYCH, KORNELIA GŁOWACKA-WOLF/AGENCJA WYBORCZA.PL, SHUTTERSTOCK, ANNA AMAROWICZ (2)

GALERIA POLITYKI



JAN KOZA

eprasa.pl f2420985f2

CMS
I WRACASZ DO GRY

www.cms-online.pl
www.probawysilkowa.pl
www.rezonans-magnetyczny.waw.pl
www.tomografiakomputerowa.waw.pl
www.fizjoterapia.cms.waw.pl

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital
operacje ortopedyczne

Poradnia Medycyny Sportowej
dla dzieci, młodzieży i dorosłych:
- Badania wstępne, okresowe i kontrolne
- Orzeczenia sportowo-lekarskie
- Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych

Poradnia Leczenia Bólu
Zabiegi interwencyjne:
- blokady / neurolizy współczulne
- blokady / neurolizy nerwów obwodowych
- termolezja

Poradnia Podologiczna
- Konsultacje i zabiegi podologiczne

Dietetyka
- Dietetyka kliniczna
- Dietetyka sportowa
- Porady dla dzieci i dorosłych

Rehabilitacja
- Rehabilitacja ortopedyczna:
  - stawów rzepkowo-udowych
  - stawów barkowych
  - kręgosłupa
  - stawów kolanowych
  - kontuzji sportowych
  - po zwichnięciach stawów
  - urazów mięśni
  - więzadeł
  - po złamaniach
- Fizykoterapia
- Masaż leczniczy
- Diagnostyka funkcjonalna
- Rehabilitacja w uroginekologii
- Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T
- Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa
- Pełny zakres badań

Diagnostyka
- RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych. CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnozie, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

eprasa.pl f2420985f2

ŻYWOT PANÓW BRACI



Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**

Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**

Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Newsletter historyczny – **polityka.pl/newslettery**

KUP TERAZ

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl f2420985f2